

S. TERESA ANTONIETTA FRĄCEK RM

ZESŁANIEC NAD BRZEGAMI WOŁGI. ŚWIĘTY ABP ZYGMUNT SZCZĘSNY FELIŃSKI CZEŚĆ III

♦ Pomoc świadczona ubogim

Rozpatrzmy to zagadnienie w odniesieniu do czterech kategorii potrzebujących, którzy znaleźli się w kręgu dobroczynnej działalności abp. Felińskiego, a mianowicie: pomoc dla polskich wygnańców, wspieranie ubogich w Jarosławiu, wspomaganie zakładu dla sierot w Warszawie, pomoc dla własnej rodziny. Dwa pierwsze zagadnienia znamy z listów współczesnych i relacji naocznych świadków, dwa następne ponadto z urzędowych sprawozdań. Władze bowiem rosyjskie zażądały ścisłych rozliczeń z sum jakie arcybiskup przeznaczył na cele dobroczynne w Warszawie i w latach 1863-1870 ściśle je kontrolowały.

Abp Feliński odznaczał się wielkim miłosierdziem wobec bliźnich, zwłaszcza najuboższych. Wyraźnym tego dowodem było założenie ochrony dla sierot i starców w Petersburgu oraz zgromadzenia zakonnego, by niosło pomoc ubogim, a także liczne dzieła miłosierne zainicjowane w Warszawie, m. in. sierociniec i szkoła dla ubogich dzieci pod opieką sióstr Rodziny Maryi oraz otwarcie dzieła miłosierdzia pod opieką sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Na zesłaniu w Jarosławiu, choć jego możliwości materialne były ograniczone i sam cierpiał niedostatek, to jednak niósł pomoc ubogim, bez względu na wyznanie i narodowość. Wspomagał ich nie z tego, co mu zbywało, ale ujmując sobie z istotnych potrzeb codziennego życia.

Już w 1863 r. arcybiskup zarządził, by z jego biskupiego uposażenia wypłacano mu w Jarosławiu tylko 300 rubli miesięcznie (3.600 rubli rocznie), a resztę przeznaczył na cele dobroczynne w Warszawie. Jednakże i tych 300 nie przeznaczał na swoje potrzeby. Wiadomo bowiem, że w okresach najtrudniejszych na swoje utrzymanie i 2 osób ze swego otoczenia wydawał w sumie ok. 50 rubli miesięcznie, a więc niewiele więcej ponad ubogie uposażenie innych zesłańców. Pozostałą część przeznaczał dla potrzebujących.

Uważał on, że udzielanie pomocy bliźnim nie jest tylko zachętą, radą, lecz stanowi ścisły obowiązek i to obowiązek sumienia, od którego uwolnić może tylko „materialna niemożliwość”. W Jarosławiu poprzestawał na lichym ubraniu, obuwii i pożywieniu,¹ aby w ten sposób zaoszczędzić i zwiększyć fundusze na niesienie pomocy potrzebującym.

♦ Pomoc abp. Felińskiego niesiona wygnańcom polskim

Pomoc ta przybrała różne formy i rozmiary. Dom jego stał się przystanią dla polskich zesłańców, którzy korzystali także z jego pomocy finansowej: wygnańców, przejeżdżających przez Jarosław gościnnie przyjmował (ks. Jan Narkie-

¹ Por. List Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego, 24 stycznia/ 2 lutego 1874 r., ACR, Rzym: *Mulieres*.

wicz, ks. Jan Piotrowski); zatrzymujących się w Jarosławiu zapraszał do swego domu na odpoczynek (ks. Ludwik Woźniakowski, ks. Franciszek Sidorowicz, ks. Kazimierz Weloński), utrzymując ich własnym kosztem, sprawiając im ubranie (księża z Tunki); otaczał staraniem chorych zesłańców – opłacał kwaterę i zaopatrywał w żywność 86 letniego ks. Walentego Nawrockiego. Wspomagał finansowo zesłańców duchownych i świeckich; przyjmowali oni pieniądze jako „pożyczkę”, choć arcybiskup traktował je jako dar. August Pohoski pisze, że nie spotkał wypadku, by ktoś zwrócił taką pożyczkę. W źródłach jednak znajduje się taki fakt. Edward Nowakowski, po powrocie z zesłania, poprzez karmelitanki z Krakowa odesłał abp. Felińskiemu do Jarosławia „dłużek”. On jednak nie traktował tych pieniędzy jako pożyczki.²

Arcybiskup wspomagał także zesłańców cierpiących głód w więzieniu w Jarosławiu: przez 2 lata dawał dozorczy więzienia pewną sumę pieniędzy, „aby im lepsze dawano pożywienie”, a było ich 500. Zaopatrzył ich w książki do nabożeństwa i elementarze, „iżby ci, co nie umieją czytać nauczyli się czytania”. Wśród tych więźniów był Jan Korbiel z Tenczynka, który na elementarzu od abp. Felińskiego nauczył się czytać i pisać.³ Jedną ze współczesnych relacji podaje, że niejeden z wygnańców „nadużywa jego dobroci”, z tego powodu „w domu często niedostatek”.⁴ W pismach arcybiskupa nie znajdujemy ani słowa skargi, przeciwnie, uważał się widząc zesłańców w nędzy, ze zrujnowanym zdrowiem, bolał nad tym, że nie jest w stanie więcej im pomóc.⁵

Pomagał też arcybiskup biednym w samym Jarosławiu. W 1872 r. w liście do siostry Zofii wspominał, że utrzymuje „przy kościele dwoje staruszków” i niejednokrotnie musi zrobić „wydatek” dla biednych, „którym sumienie nie pozwala odmówić pomocy dopóki są jakiegokolwiek środki”.⁶ W tym czasie sam znajdował się w skrajnej sytuacji materialnej, odmówił pomocy siostrze, stawiając potrzeby ubogich na pierwszym miejscu. Ofiarność jego dla ubogich dostrzegali mieszkańcy Jarosławia. Antonina Pawłowska ogólnie podkreśla jego miłosierdzie, August Pohoski natomiast podaje, że wielokrotnie był świadkiem jego ofiarności dla biednych, za co ci publicznie okazywali mu szacunek.

◆ Pomoc dla sierot w Warszawie

Dokumenty potwierdzają, że arcybiskup przez całe 20-letnie zesłanie wspomagał materialnie zakład dla sierot w Warszawie przy ul. Żelaznej 97, który założył w 1862 r. i oddał pod opiekę sióstr Rodziny Maryi. W zakładzie tym przebywało w 1865 r. 30 sierot i 36 sióstr, a do prowadzonej przez nie szkoły uczęszczało 600 dzieci.⁷ Jednakże nie mógł tego czynić swobodnie i w takim rozmiarze jak tego pragnął. Rząd bowiem warszawski, z polecenia cesarza, kontrolował tę część

² „Wiadomości Kościelne”, Lwów, 4 (1876), n. 27, 20 września; A. Pohoski, Wspomnienia, k. 3, ARM F-e-13/9; List abp. Felińskiego do karmelitanek, 19/ 31 1877 r.; por. List m. Jadwigi Wielhorskiej do Edwarda Nowakowskiego, 26 stycznia 1877 r.

³ Relacja Jana Korbiela z Tenczynka, w: Smoczyński, Wspomnienia, s. 44-45, nota 96.

⁴ „Wiadomości Kościelne”, Lwów, 4 (1876), n. 27, 20 września.

⁵ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 19/ 31 marca 1882 r.

⁶ List abp. Felińskiego do Zofii Poniatowskiej, 8/ 20 grudnia 1872 r.

jego pensji, którą dysponowali jego pełnomocnicy w Warszawie, i skrupulatnie badał „na co mianowicie pieniądze te przez Felińskiego są przeznaczane”; żądał też szczegółowych sprawozdań i ścisłych rozliczeń.⁸

Dysponujemy sprawozdaniami z lat 1863-1871. Zakład dla sierot nazywany jest w nich różnie: „ochronka”, „zakład”, lub też „Zakład dla ubogich dzieci”, a najczęściej „szkoła elementarna”, lub „szkoła dla biednych dzieci” przy ulicy Żelaznej (1866).⁹

„Sprawozdanie” za okres: czerwiec 1863 – kwiecień 1864: pełnomocnicy z „polecenia ks. Felińskiego” przeznaczyli „dla ochronki” –1.379 rubli sr., 35 kopiejek, oraz ok. 300 rubli na opłacenie podatku z budynków tegoż zakładu, jak też sąsiedniego sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. W „Projekcie Etatu na rok 2/14 kwietnia 1864 –2/14 kwietnia 1865” znalazła się suma 3. 651 rubli sr. 63 kopiejek na „Wsparcie udzielone zakładowi Matek Miłosierdzia”, na podatki z budynków, spłacenie długów zaciągniętych na ich restaurację, na wspieranie ubogich i utrzymywanie w tym zakładzie 11 sierot.¹⁰

Niestety władze rządowe nie zatwierdziły powyższej sumy, Dyrektor komisji rządowej WR i OP, Karol Dębowski, dopatrywał się, że budynki zakładu są zapisane na Juliana Felińskiego. Oddając tę sprawę do decyzji namiestnika zwrócił uwagę, „że wskutek usunięcia tegoż wydatku cały zakład może upaść”. Namiestnik jednak skreślił wszystkie sumy związane z budynkami i zdecydował, że „winien opłacać je właściciel, Julian Feliński”.¹¹ Zezwolił jedynie na wypłacenie zakładowi tylko 792 ruble sr na utrzymanie w nim kosztem arcybiskupa 11 sierot.¹²

„Sprawozdania i kwity z lat 1865-1871” – wskazują, że zakład, nazywany „szkołą elementarną”, otrzymywał 792 ruble sr., wypłacane w 3 ratach po 264 ruble; ich odbiór kwitowała przełożona Florentyna Dymman lub jej zastępczyni Zofia Choroszevska (obydwie siostry Rodziny Maryi).¹³ W latach 1871-1883: zakład nadal otrzymywał 792 ruble sr z pensji arcybiskupa, jednakże rząd nie wymagał już sprawozdań i rozliczeń; uznano wreszcie, że fundusze te są jego własnością i może nimi swobodnie dysponować.

Choć rząd skreślił sumy przeznaczone na budynki zakładu, to jednak arcybiskup spłacał długi kosztem wyrzeczeń w Jarosławiu i oszczędności jego pełnomocników w Warszawie, gdyż Julian, fikcyjny ich właściciel, przebywał w Rzymie; zgromadzenie zaś Rodziny Maryi istniało tajnie i nie mogło wystę-

⁷ List ks. M. Gorzelańskiego do Juliana Felińskiego, 13 stycznia 1865 r., ACR, Rzym: *Sacerdotes*.

⁸ Sprawozdanie plenipotentów z lat 1863-1864, w: AGAD, Warszawa, *Centralne władze wyznaniowe w Królestwie Polskim*, vol. 278: „Fundusze arcybiskupa warszawskiego”.

⁹ Tamże, vol. 278-279.

¹⁰ Tamże. „Projekt Etatu...”, s. III (10 rubryk), vol. 278, k. 211-214, 216-217, 218-219.

¹¹ Decyzja namiestnika podana przez sekretarza stanu Rady Administracyjnej do dyrektora głównego Komisji WR i OP, 23 kwietnia/ 4 maja 1864, n. 3293, AGAD, vol. 278, k. 128-v.

¹² Tamże, k. 130-132 v, 133-135, Pismo dyrektora głównego WR i OP do plenipotenta, 27 kwietnia/ 9 V 1864, n. 7080.

¹³ Por. „Projekt Etatu na rok 1865”, noszący datę 7 marca 1865 r., vol. 278, k. 173-174.

pować jako właściciel obiektu.

◆ Pomoc świadczona rodzinie

Oprócz osobistych trosk wiele cierpień i kłopotów przysporzyła arcybiskupowi krańcowo trudna sytuacja jego własnej rodziny. Przejawiała się ona w 2 formach: pomoc finansowa udzielana rodzeństwu i pomoc w kształceniu ich dzieci. Udzielał tej pomocy oszczędzając i ujmując sobie z istotnych potrzeb.

Rodzinę swoją traktował arcybiskup na równi z ubogimi, potrzebującymi pomocy. Okoliczności bowiem w jakich znalazło się jego rodzeństwo całkowicie usprawiedliwiają jego ofiarność. Brat Alojzy (1820-1878), dwukrotnie żonaty z Ewą Brynk (5 dzieci) i nauczycielką – Szwajcarką (3 dzieci), mieszkał wraz z rodziną w Wojutynie, ale materialnie źle mu się wiodło, niezaradny w sprawach gospodarczych popadł w długi, nie miał środków na kształcenie dzieci. W tej sytuacji arcybiskup wspomagał brata finansowo, aby pomóc mu w wydzwignięciu gospodarstwa z ruiny, a nawet posłał mu do pomocy sługę Wojciecha.¹⁴ W 1875 r. Alojzy ze zmartwienia rozchorował się i trzy lata później zmarł, pozostawiając żonę i 8 dzieci bez środków do życia.¹⁵ Wiktoria (1831-1868), najmłodsza siostra, mieszkająca z mężem Wincentym Wydźgą i 4 dzieci w Zboroszowie, dzielna, ale słabego zdrowia, przeniosła się w 1867 r. do Warszawy w celu kształcenia dzieci,¹⁶ ale wkrótce zmarła (17/29 kwietnia 1868). Jej córka Stefania, przybyła w 1875 r. do arcybiskupa do Jarosławia, tam poślubiła aptekarza Augusta Pohoskiego i wraz z mężem towarzyszyła mu do końca wygnania. Siostra Zofia (1825-1908), żona Adama Poniatońskiego z Cepcewicz, została także srodze doświadczona przez los. Mąż jej za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię (1863-1869), a po powrocie zmarł w Warszawie (1872), majątek rodzinny rząd skonfiskował, a ona sama z 3 dziećmi musiała szukać schronienia u rodziny w Wojutynie, u sióstr Rodziny Maryi w Warszawie lub u obcych ludzi w Chołoniowie. Jej to najwięcej pomagał arcybiskup.¹⁷

Wszyscy oni rzeczywiście znajdowali się w potrzebie i w swoich kłopotach zwracali się do brata arcybiskupa o wsparcie. Stale i w różnych formach korzystali z jego pomocy, ale chyba do końca nie zdawali sobie sprawy kosztem jakich wyrzeczeń on to czynił.¹⁸ Nazywali go „ojcem” i „dobroczyńcą”, ale często nadmiernymi prośbami ranili jego miłosierne serce. Bywały wypadki, że nie mógł przyjść z pomocą rodzinie. W 1868 r. upominał brata Alojzego, by nie ciągał nowych zobowiązań skoro z dotychczasowych nie może się wywiązać.¹⁹ W 1870 r. zrobił siostrze Zofii „gorzką wymówkę” za to, że wymaga od niego

¹⁴ Wyjątek z listu abp. Felińskiego do Juliana Felińskiego zamieszczony w liście tegoż do m. M. Darowskiej, 29 listopada 1875 r.

¹⁵ List abp. Felińskiego do bp. Popiela, 15/ 27 kwietnia 1878 r.

¹⁶ Listy Zofii Poniatońskiej do Juliana Felińskiego, 2/14 maja 1868 r., 3 czerwca 1870 r., 3 lutego 1871 r.

¹⁷ Listy Zofii Poniatońskiej do Juliana Felińskiego, 25-29 stycznia, 3 czerwca 1870, 17 lutego 1872 r.; por. 15/ 27 marca 1867, 2/14 maja 1868 r. (drobne ofiary arcybiskupa dla Adama Poniatońskiego).

¹⁸ Por. Listy Zofii Poniatońskiej do Juliana Felińskiego, 23 czerwca 1870, 8 marca 1871, 10/22 stycznia 1873 r.

¹⁹ Por. Listy Zofii Poniatońskiej do Juliana Felińskiego, 2 września i 2 grudnia 1868 r.

„ofiar ponad siły”. Radził jej samej zaoszczędzić z pieniędzy, które stale od niego otrzymywała, aby innym pomóc, a nie obciążać go „nad miarę”. W 1872 r. odmówił jej pomocy, gdyż już „ani jotę” nie mógł zmniejszyć swych wydatków. W tym samym roku nie mógł nic dać na zrobienie pomnika na grobie zmarłej matki.²⁰

Wyżej nad dobra materialne cenił arcybiskup wychowanie dzieci, toteż w tej dziedzinie najwięcej pomagał rodzeństwu. Pieniądze, które przeznaczył na ich wychowanie zabraniał przeznaczać na inne cele.²¹ W latach 1862-1868 utrzymywał swym kosztem w pałacu arcybiskupim w Warszawie 6 ubogich chłopców z Wołynia, zwanych „wychowankami” arcybiskupa. Pozostawali pod opieką jego pełnomocników i uczęszczali do miejscowych szkół. W 1868 r. władze carskie przejęły pałac arcybiskupi pod rządową administrację, zlikwidowano wówczas mieszkanie arcybiskupa, a jego „wychowanków” przeniesiono do „domu stypendystów arcybiskupa przy ul. Żelaznej”, gdzie pozostawali około 2 lat pod opieką ks. Mikołaja Gorzelańskiego, kapelana tamtejszego zakładu dla sierot.²² W latach 1870-1883 arcybiskup przyjął kolejno „na wychowanie” w Jarosławiu 4 chłopców z rodziny, którzy uczęszczali do tamtejszego gimnazjum. Od 1870 r. przebywał u niego bratanek Bohdan Feliński, od 1873 drugi bratanek Zygmunt i siostrzeniec Szczęsny Poniatowski; w 1877 r. miał „dwóch synowców i jednego siostrzana”, a w 1882 r. 12 letniego bratanka.²³ Jeden z jego wychowanków, krewny, Władysław Feliński, wyjechał do Rzymu na studia teologiczne (także na koszt arcybiskupa), wstąpił do zmartwychwstańców; zmarł w nowicjacie w opinii świętości (1870).²⁴

◆ Pomoc materialna dla księży zesłańców

Abp Feliński, nie tylko otoczył opieką duchową zesłańców i przyjmował ich gościnnie w Jarosławiu, ale nadto niósł im pomoc materialną, a nadto przejął „zbawienną w skutkach” rolę pośrednika w przekazywaniu zesłanym księżom ofiar pieniężnych przesyłanych na jego ręce z kraju i zagranicy.²⁵ Ciężki bowiem los „księży sybiraków” – wzbudził w różnych środowiskach współczucie i ofiar-

²⁰ Listy Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego, 16/31 października 1870 r., 10/22 stycznia 1873 r., z urywkiem listu abp. Felińskiego z 8/20 grudnia 1872 r., 14 września 1872 r.

²¹ Por. List Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego, 15/27 czerwca 1874 r.

²² „Wychowankowie abp. Felińskiego”, AGAD, *Centralne Władze wyznaniowe w Królestwie Polskim*, sygn., vol. 278-279; Listy ks. Mikołaja Gorzelańskiego do Juliana Felińskiego, 10 czerwca 1869, 5 października 1869 r.; List Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego, 2 września 1869 r.

²³ Listy abp. Felińskiego do bp. Popiela, 29 listopada 1870 r., 1/13 września 1873 r. Listy Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego, 16-31 paźdz. i 20 listopada 1870, b.d. (n.796), 29 lipca, 11 sierpnia, 6/18 paźdz. 1873 r.; do karmelitanek, 13 lutego 1877 r.; do nieznanej adresatki, 15/27 marca 1882 r.

²⁴ Listy abp. Felińskiego do Władysława Felińskiego, 23 lipca/4 sierpnia 1867 r.; List Juliana Felińskiego do o. Hieronima Kajsiewicza, 23 września 1867 r.; List o. H. Kajsiewicza do o. Aleksandra Jełowickiego, 1 października 1867; List o. P. Semenenko do o. Aleksandra Jełowickiego, 2 listopada 1867 r.; Listy Zofii Poniatowskiej do Juliana Felińskiego i Władysława Felińskiego z lat 1868-1870, ACR, Rzym: *Sodales, Exsodales*; List abp. Felińskiego do bp. Popiela, b.d. [1870], n. 54 (151).

²⁵ Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 312-313.

ność. Nie była to inicjatywa nowa. Od powstania listopadowego rozwinęła się w społeczeństwie polskim akcja niesienia pomocy zesłańcom, w której uczestniczył także młody Feliński, syn wygnanki syberyjskiej, podczas swego pobytu w Sokółce.²⁶ Los jednak zesłanych księży po powstaniu styczniowym, rozrzuconych na olbrzymich obszarach Rosji, był szczególnie ciężki.

Dokładna liczba zesłanych księży jak wspomnieliśmy – nie jest znana, szacuje się ją od 300 do 400. Abp. Feliński pisał o 400 księżach zesłanych.²⁷ Potwierdzają to inne źródła, wymieniające około 410 księży, z których prawie 160 mieszkało we wschodniej Syberii, około 100 w zachodniej oraz około 150 w guberniach Rosji europejskiej.²⁸ Jedni księża byli zesłani na „posielenie”, inni skazani na „katorgę” – ciężkie roboty. Jedni pobierali minimalne zaopatrzenie rządowe (6 rubli, a od 1877 – 10 rubli miesięcznie), inni byli go całkowicie pozbawieni. Nieliczni tylko mogli pełnić funkcje kapłańskie, większość pozostająca pod „nadzorem policyjnym” była tego prawa pozbawiona.

W 1867 r. księży ze wschodniej Syberii zgromadził rząd we wsi Tunka, w guberni irkuckiej. Według informacji abp Felińskiego z 1870 r. przebywało tam 150 księży, odizolowanych i pozbawionych wpływu na społeczeństwo, w trudnej sytuacji materialnej. Według innych źródeł, w pewnych okresach, liczba ich miała sięgać do 300. Pozostawali oni w nieludzkich warunkach pod ścisłym nadzorem policyjnym.²⁹

Ogłaszane manifesty carskie z 1865, 1867, 1868, 1871, 1874, 1876 i 1882 łagodziły ich ciężką sytuację, ale tylko nieliczni uzyskali całkowitą wolność i wrócili do swych diecezji. Część z nich otrzymała w 1874 r. pozwolenie na przesiedlenie do guberni Rosji europejskiej, niektórym udało się zdobyć paszporty na wyjazd za granicę. Uwolnieni w 1882 r. często nie mieli funduszu na powrót do kraju.³⁰ Wielu z nich utraciło zdrowie na zawsze, a spora ich część zmarła z powodu wycieńczenia, ostrego klimatu, trudnych warunków. Wszystkie te sprawy znajdują odbicie w korespondencji arcybiskupa.³¹

Z pomocą duchową i materialną zesłanym księżom spieszyły pojedyncze osoby lub też organizowane w tym celu komitety, z których wymienimy następujące:

❖ hr. Róża z Łubieńskich Sobańska (1799-1880) i Ksawera z Brzozowskich Grocholska (1807-1872), które zasłużyły się w niesieniu pomocy zesłańcom polskim po 1831 r., kontynuowały tę akcję po 1863 r.; arcybiskup pozostawał z nimi w kontakcie;

²⁶ Listy Z. Sz. Felińskiego do matki z lat 1846-1847, ARM F-c-4.

²⁷ List abp. Felińskiego do hrabiny Kamili Bystrzonowskiej, 21 grudnia 1878 r.

²⁸ K. Gadacz, *Działalność charytatywna Kamili Bystrzonowskiej na rzecz księży-sybiraków w świetle korespondencji abp. Felińskiego*, w: „Nasza Przeszość”, Kraków 1986, t. 65, s. 63; Urban, s. 460.

²⁹ E. z S. [Edward Nowakowski z Sulgostowa], *Wspomnienie o duchowieństwie polskim znajdującym się na wygnaniu w Syberii w Tunce*, Poznań b.d.; List abp. Felińskiego do Juliana Felińskiego, 1 czerwca 1870, *Votum na Sobór*; Prawdzicki, s. 317-329.

³⁰ Listy abp. Felińskiego do hr. Kamili Bystrzonowskiej, 28 stycznia 1882 r.; do karmelitanek, 19/31 marca 1882 r.

³¹ Por. Listy abp. Felińskiego do bp. Popiela z lat 1863-1882, do karmelitanek, z lat 1874-1882 oraz do Kamili Bystrzonowskiej z lat 1878-1882.

❖ ks. Aleksander Kieroński (1832-po 1911), zesłaniec z 1863 r., który przeszedł przez Tunkę, uwolniony w 1870 r., osiadł w Nowosiólkach koło Złoczowa w Galicji i rozwinął szeroką akcję w prasie katolickiej, informując społeczeństwo o ciężkim położeniu zesłanych księży; zebrane dla nich fundusze przysyłał na ręce „mężów zaufanych”, którzy je rozdzielali za pokwitowaniem; wraz z ks. Aleksandrem Maryańskim (1845-1912) opublikował *Wykaz alfabetyczny biskupów i kapłanów oraz zakonników polskich przebywających do obecnej chwili na wygnaniu w Syberii i głębokiej Rosji*, Lwów 1881;

❖ hr. Władysław Plater (1808-1889) zamieszkały w Szwajcarii, założył w 1875 r. międzynarodowe Towarzystwo dla wspierania księży sybiraków; na ten cel zbierał ofiary we Francji, Italii, Niemczech; z tego funduszu księża otrzymywali zapomogi;³²

❖ hr. Kamila Bystrzonowska (1813-1889), przebywająca od 1845 r. w Paryżu rozwinęła tam owocną akcję charytatywną na rzecz ubogich; po 1863 r. rozszerzyła zasięg swej działalności, zbierając ofiary dla „księży sybiraków”, które przysyłała na ręce abp. Felińskiego do Jarosławia, a listy jego, z potwierdzeniem odbioru pieniędzy i ich przekazania sybirakom, składała na ręce arcybiskupa Paryża;³³

❖ karmelitanki krakowskie (wysiedlone z Poznania), przez listy rozbudzały ofiarność na rzecz zesłanych księży, a zebrane ofiary, także „ze składek angielskich”, przysyłały do Jarosławia, które abp. Feliński przekazywał potrzebującym; tą samą drogą przysyłał ofiary dla sybiraków ks. prałat Stanisław Spis (ur. 1843) z Krakowa.³⁴

„Pomysł, aby abp Felińskiego uczynić głównym opiekunem zesłanych księży był bardzo rozsądny”. Cieszył się w społeczeństwie polskim „całkowitym i powszechnym zaufaniem jako najdosłojniejsza osobistość wśród politycznych wygnańców, znał także dzięki kontaktom osobistym i korespondencyjnym ich „położenie i potrzeby”.³⁵

Bystrzonowska przekazywała zebrane ofiary Felińskiemu przez pośred-

³² Szkoda, że zebrane pieniądze przez Platę, a były to znaczne sumy – do 100 tys. franków, nie zostały w całości przekazane dla księży, gdy oni tego bardzo potrzebowali; część z nich przeznaczył Plater na cele propagandowe, a część skapitalizował w zakupionej w Rapperswilu willi i tylko odsetki przekazywał dla wygnańców; w 1881 r., gdy na zesłaniu przebywało jeszcze 269 kapłanów, z funduszu Platę otrzymywało zapomogę tylko 24 zesłanych księży. Por. St. Kieniewicz, *Plater*, PSB, t. 26, Wrocław 1981, s. 686-691; por. List Władysława Platę do Józefa Ignacego Kraszewskiego, 19 stycznia 1881 r., BJ, Kraków, rkps 6526/IV, s. 600-601.

³³ Gadacz, *Działalność charytatywna Kamili Bystrzonowskiej na rzecz księży sybiraków w świetle korespondencji abp Felińskiego*, „Nasza Przeszłość”, Kraków, 65 (1986), s. 61-90.

³⁴ Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 31 marca 1882 r., 26 paźdz./7 listopada 1875 r. i 4/ 16 stycznia 1877 r.; do bp. Dunajewskiego, 31 lipca 1883 r., Archiwum Kurii Biskupiej w Krakowie. O kontaktach abp. Felińskiego z hr. Bystrzonowską i karmelitankami świadczy ponad 20 jego listów z lat 1874-1889, przechowywanych w oryginałach lub kopiach w 4 archiwach: w Paryżu, Rzymie i 2 w Krakowie.

³⁵ Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 313.

nictwo krakowskich karmelitanek, a do zmartwychwstańców pisała: „Męczennik za wiarę cierpi, i cierpi już 17 lat abp Feliński”. Informowała też, że otrzymała jego autograf i „wyciąg z jego listu”.³⁶ Jedną z takich przesyłek przywiózł od niej z Paryża ks. Zygmunt Golian i przekazał s. Marii Ksawerze, karmelitance.³⁷ Te zaś przekazywały je do Jarosławia przez okazję, przez kompanie handlowe, a najczęściej „przez Bank za rewersami z podpisem księdza arcybiskupa”.³⁸

Abp Feliński rozdzielał ofiary księżom, a ofiarodawcom składał rozliczenie i podziękowanie w imieniu własnym i obdarowanych wygnańców. W jego liście z 10 grudnia 1880 r. do kwestarki paryskiej czytamy:

Piszę do Pani w imieniu ... wygnańców, którzy dzięki współczującej trosce naszej Tabith i niewyczerpanej łaskowości naszych pobożnych dobroczyńców znad Sekwany, mogą się wyrwać z nędzy, znajdując środki do zaspokojenia przynajmniej najniezbędniejszych potrzeb do życia.

Zamieścił też wykaz ofiar jakie otrzymał i miejscowości, do których je przesłał: Cywińsk (60 rubli), Kostroma (150 r.), Jadryń (110 r.), Pinega (40 r.), Powieniec (60 r.), Rybińsk (50), Symbirsk (60), Tomsk (60 r.), Wielki Ustług – Ustług (70 r.).³⁹

Nie wiadomo jaka w ogólności suma przeszła przez ręce abp Felińskiego. Z wymienionych kwot w listach do Bystrzonowskiej wynika, że były to znaczne ofiary, od kilkuset do 1000 franków, w sumie 4.800 franków oraz 469 rubli i 60 kopiejek.⁴⁰ Nie jest to pełny rejestr, gdyż z innych źródeł wiadomo, że w 1881 r. otrzymał z Paryża ponadto 1000 franków⁴¹. Znacznie mniejsze sumy pochodziły od karmelitanek z zorganizowanych przez nie akcji, od Grocholskich i Brzozowskich z Podola, od ks. Stanisława Spisa z Krakowa oraz 750 rubli „ze składek angielskich”. W jego liście do karmelitanek czytamy: „Jakaż to radość była kiedy sukurs tak obfity przybył dla naszych biedaków, z których niektórzy już nawet na powszedni chleb nie mieli”.⁴² Zachowały się tylko nieliczne listy arcybiskupa do księży zesłańców i ich odpowiedzi, a według A. Pohoskiego stanowiły one najważniejszą i najobfitszą część w jego korespondencji.⁴³ Wiadomo, że z powodu „składki na Sybiraków” miał duże trudności ze strony władzy.⁴⁴

³⁶ List Kamili Bystrzonowskiej do o. Piotra Semenki, 11 marca 1876 r., ACR: *Mulieres*.

³⁷ List ks. Zygmunta Goliana do o. Piotra Semenki, 30 listopada 1875 r., ACR, Rzym: *Sacerdotes*.

³⁸ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 19/31 marca 1882 r.; List s. Marii Ksawery Czartoryskiej do o. Wacława Nowakowskiego, b.d. (po 1883).

³⁹ Cytat i wykaz miejscowości oraz wysokość wysłanych ofiar. List abp. Felińskiego do hr. Kamili Bystrzonowskiej, 10 grudnia 1880 r., Archiwum Arcybiskupstwa Paryskiego, Paryż: „Liasse Pologne”.

⁴⁰ Listy abp. Felińskiego do hr. Kamili Bystrzonowskiej, 21 grudnia 1878 r., 10 grudnia 1880 r., 28 stycznia, 9 i 29 kwietnia 1882 r. Biblioteka Polska w Paryżu

⁴¹ Por. List abp. Felińskiego do karmelitanek, 4/16 lutego 1881 r.

⁴² Tamże, listy z 4/ 16 stycznia, 19/31 stycznia (cytat), 2 kwietnia 1877 r., 16 lutego 1881 r.

⁴³ A. Pohoski, *Wspomnienia*, k. 3.

⁴⁴ List Juliana Felińskiego do m. Marceliny Darowskiej, 2 września 1882.

Po uwolnieniu abp Feliński nadal interesował się losem zesłanych księży, starał się dla nich o zapomogi, które przysyłał na ręce ks. Dubowika, proboszcza w Moskwie.⁴⁵ Odwiedził hr. Władysława Platera w Rapperswilu (1883), by podziękować mu za opiekę nad sybirakami, przyczynił się do założenia Komitetu Opieki nad zesłanymi księżmi, który powstał w Krakowie, planował założenie domu opieki dla chorych księży powracających z wygnania; dwóch zesłańców przy nim zamieszkało, dla innych starał się o miejsca pracy.

Fundacja kościoła w Jarosławiu

Jednym z najtrwalszych dzieł abp. Felińskiego na wygnaniu, które zjednało mu szczególną życzliwość ludzką było ufundowanie kościoła katolickiego w Jarosławiu.⁴⁶ Wspomnieliśmy już, że katolicy tegoż gubernialnego miasta, słynącego z kilkudziesięciu cerkwi prawosławnych, należeli do odległej parafii w Moskwie, a po 1870 r. do bliżej położonej w Twerze, skąd raz lub dwa razy do roku przybywał kapłan z posługą duszpasterską.⁴⁷ Toteż pobyt w Jarosławiu arcybiskupa – wygnańca, który od początku udostępnił swą kaplicę tamtejszym katolikom i roztoczył nad nimi opiekę duchową był niewątpliwie dla nich wielkim dobrodziejstwem. Przy każdorazowej zmianie mieszkania arcybiskup poszukiwał zawsze obszernej sali na kaplicę. Potrzeba urządzenia stałej kaplicy skłoniła go w 1872 r., pomimo trudności materialnych, do kupienia domu. Jednakże i ta kaplica okazała się za małą, by pomieścić katolików.⁴⁸

I wówczas arcybiskup podjął śmiały plan budowy kościoła w Jarosławiu. Po raz pierwszy informacje na ten temat pojawiają się w jego korespondencji w 1874 r., a zwłaszcza w 1875 r., jako fakt niemal dokonany. Miano już wówczas nabyty na ten cel duży budynek piętrowy, zrobiony plan i kosztorys jego przebudowy na kościół, a nawet złożone do władz rządowych odpowiednie papiery z prośbą o pozwolenie na otwarcie kościoła, a nawet otwarto w dolnej jego kondygnacji tymczasową kapliczkę.⁴⁹

O fundacji kościoła pisał arcybiskup w 4 listach do bp. Popiela w latach 1875-1882,⁵⁰ w 8 do karmelitanek (1874-1877),⁵¹ do Grocholskich z Podola (1875) i hr. Kamili Bystrzonowskiej z Paryża (1882), a także do swego brata Ju-

⁴⁵ List abp. Felińskiego do Kamili Bystrzonowskiej 11 listopada 1883, Dźwiniaczka, Bibl. PAN, Kórnik, rkps 7618.

⁴⁶ List abp. Felińskiego do Komitetu Krakowskiego, 31 lipca 1885; Pohoski, Wspomnienia, k. 2-2v; por. Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 313.

⁴⁷ Por. *Ordo Divini officio et missarum pro Archidioecesis Mohiloviensi in annum 1877*, Petropoli 1876, s.128.

⁴⁸ Listy abp. Felińskiego do bp. Popiela, 9/21 września 1872 r.; *Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, arcybiskup warszawski w Jarosławiu*, w: „Wiadomości Kościelne”, Lwów, 4 (1876), n.1 (1 stycznia).

⁴⁹ Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 26 października/8 listopada 1874 r., list z 19/31 stycznia (kaplica w nabytym domu), 18/30 września 1875 r.

⁵⁰ List abp. Felińskiego do bp. Popiela, 26 kwietnia/8 maja i 3 lipca 1875, 19 października 1879, 20 kwietnia 1882 r.

⁵¹ Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 26 października/8 listopada 1874, 19/31 stycznia, 18/30 września, 26 października/7 listopada 1875, 7/19 stycznia 1876, 4/16 stycznia, 19/31 stycznia, 1/13 lutego 1877 r.

liana w Rzymie, a choć te ostatnie nie zachowały się, to echo ich znajdujemy w listach Juliana do m. Marceliny Darowskiej.⁵² Drobne informacje o fundacji świątyni znajdujemy w „Wiadomościach Kościelnych” z 1876 r. oraz we wspomnieniach ks. Jana Narkiewicza,⁵³ ks. Mariana Tokarzewskiego (1913), Augusta Pohoskiego i w zeznaniach Antoniny Pawłowskiej.⁵⁴ W *Pamiętnikach* arcybiskup nic nie pisze na ten temat.

Analizując korespondencję odnosi się wrażenie, że zadziałano wobec władz przez zaskoczenie, posiadano już budynek, potrzebne było tylko zezwolenie rządu. Zbudowanie kościoła od fundamentów byłoby sprawą trudniejszą, a może nawet w ówczesnych warunkach – prześladowania Kościoła i zerwania konkordatu (1867) – niemożliwą. Sprawy związane z fundacją kościoła mają bogatą korespondencję urzędową między gubernatorem Jarosławia i departamentem wyznań w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Niewątpliwie abp. Feliński był animatorem fundacji kościoła, sam jednak urzędowo nie występował, ale miejscowi katolicy. Oni to skierowali do gubernatora jarosławskiego pismo, 19 września 1874 r., z petycją:

Mieszkańcy jarosławskiej guberni, wyznania katolickiego, [...] nie mając w mieście Jarosławiu swego kościoła, pozostają bez nauki wiary i pociechy duchownej na wypadek choroby, (toteż prosili – A.F.) o pozwolenie na otwarcie kościoła.

Prośbę podpisało 12 osób. W tej sprawie gubernator jarosławski zwrócił się 26 września tego roku. do metropolity mohylewskiego, zwierzchnika wszystkich kościołów w imperium rosyjskim, o wydanie swojej opinii, na co tenże pozytywnie odpowiedział 3 października (nr 2259) twierdząc, że prośba katolików jarosławskich zasługuje na udzielenie im pozwolenia na otwarcie kościoła, gdyż rzeczywiście pozostają bez nauki wiary i mają wielkie trudności w zaspokojeniu swoich potrzeb duchowych.⁵⁵

Kolejne prośby jarosławscy katolicy skierowali do gubernatora 25 stycznia i 27 lutego 1875 r., w których przedstawili następującą sprawę: w związku ze sprzedażą na aukcji murowanej jednopiętrowej kamienicy, przy ul. Żelaznej nr 2, która według opinii architekta może być przebudowana na kościół, prosili o przyspieszenie udzielenia im pozwolenia na urządzenie w niej katolickiego kościoła.⁵⁶ Rzeczywiście, w tym czasie „Wiadomości guberni jarosławskiej” (1874, nr 96 z 5 grudnia 1874) ogłosiły informację o aukcji przy tamtejszym Sądzie Okręgowym – 27 lutego 1875 r. Wystawiony na sprzedaż dom, z obszer-

⁵² Listy abp. Felińskiego do Grocholskich, 18/30 września 1875 r., do hr. K. Bystrzonowskiej, 20 stycznia 1882 r.; por. List ks. Juliana Felińskiego do m. Marceliny Darowskiej, 16 lipca 1876, Mentorella, AGSIC, P.91.II.61.

⁵³ [Jan Narkiewicz], *Pamiętnik księdza wygnańca*, Lwów 1876, s.190.

⁵⁴ Po raz pierwszy całościowo opracował zagadnienie fundacji kościoła ks. prof. H. Wyczawski (s. 313-314), a s. Teresa Frącek RM opublikowała fragmenty korespondencji odnoszące się do tegoż kościoła: *Pasterz wygnaniec*, „Przegląd Katolicki”, Warszawa, 73 (1985), nr 37, 15 września.

⁵⁵ Pisma, Archiwum Państwowe Jarosławskiej Obłasti (GAJO), Kancelaria gubernatora: Sprawa abp. Felińskiego, f. 73, op. 1, d. 6074, k. 1, 5-6.

⁵⁶ Tamże, k. 15.

nym ogrodem, należący do Michała i Aleksandra Chołopowych, został oceniony na 5.000 rubli i od tej sumy wywoławczej rozpoczęła się aukcja. Dom kupił radca dr Antoni Wałudzki za 7.000 rubli.

Następnego dnia po aukcji, 28 lutego 1875 r., tenże Antoni Wałudzki skierował do gubernatora następujące pismo:

Zgodnie z oświadczeniem podanym Waszej Wysokości przez katolików Jarosławia, nabyłem na aukcji dom od Chołopowych, na ulicy Żelaznej, który pragnę ofiarować na urządzenie w nim rzymskokatolickiego kościoła, jeśli otrzymam na to zgodę wyższej władzy.

W dniu 23 października 1875 r., Wałudzki złożył kolejne pismo do jarosławskiego gubernatora, w którym ponownie oświadczył, że pragnie należąco do niego dom ofiarować na urządzenie w nim rzymskokatolickiego kościoła.⁵⁷

Długo jednak trwały formalności urzędowe związane z pozwoleniem na otwarcie kościoła w Jarosławiu. Korespondencja toczyła się między gubernatorem a departamentem obcych wyznań w ministerstwie spraw wewnętrznych, arcybiskupem mohylewskim i komitetem katolickim w Jarosławiu. Z dokumentów wynika, że Wałudzki wyraził oficjalnie gotowość darować dom komitetowi, jak tylko ministerstwo wyda pozwolenie na urządzenie w tym domu kościoła, ale gdyby umarł przed udzieleniem tegoż pozwolenia, to pragnie, aby obecne jego oświadczenie miało moc zapisu testamentowego; dom ten tylko wówczas powinien wrócić do niego lub jego spadkobierców, jeżeli władze nie zezwolą na urządzenie w tym domu kościoła (k.42). Pozwolenie jednak na otwarcie kościoła przeciągało się, a powodem – jak wynika z akt – było to, że w Jarosławiu przebywał na wygnaniu warszawski arcybiskup Feliński (k. 77v).

Katolicy prosili o pozwolenie na zbieranie dobrowolnych składek na przebudowę domu na kościół i to pozwolenie zostało im wydane.⁵⁸ Rejestrem dobrowolnych składek zajął się radca Jan Kotwasowski, który je wpisywał do specjalnej księgi urzędowej, wydanej mu z kancelarii gubernatora, 4 października 1876 r. (nr 3973). Do września 1879 r. zebrano 4.605 rubli,⁵⁹ ale pozwolenie nie nadchodziło.⁶⁰

Z korespondencji abp. Felińskiego wynika, że zamożny doktor Wałudzki już w jesieni 1874 r. ofiarował na kościół piętrową kamienicę, z obszernym

⁵⁷ Tamże, k. 18, 35. Wałudzki nie pozostawił formalnego dokumentu darowizny swojego domu na urządzenie w nim kościoła.

⁵⁸ Pismo ministerstwa spraw wewnętrznych do gubernatora jarosławskiego, 6 maja 1876 r., z pozwoleniem na zbieranie składek, tamże, k. 36.

⁵⁹ Tamże, k. 49; Pismo jarosławskiego gubernatora do departamentu obcych wyznań, 6 września 1879 r. (o zebraniu 4.605 rubli), tamże k. 92.

⁶⁰ Antoni Wałudzki zmarł w styczniu 1878 r. nie zostawiwszy dokumentu, który by prawnie określał prawa katolików jarosławskich do jego domu. Domem tym opiekował się kapelan arcybiskupa, ks. Zabiełło, on to zwrócił się do gubernatora 6 listopada 1879 r. z prośbą o wydanie mu kopii dokumentów związanych ze sprawą kościoła. Zbierano je w tym celu, by udowodnić, że ofiarowany dom jest własnością Kościoła.

ogrodem⁶¹ „i złożył deklarację na ręce gubernatora, że ofiaruje go na parafię”.⁶² Dom ten miał być przerobiony na kościół przez wyburzenie ścian wewnętrznych i potrzebną adaptację;⁶³ parafianie złożyli do władz prośbę o pozwolenie na otwarcie kościoła, dołączając plan jego przebudowy i kosztorys jej – opiewający na 4.600 rubli.⁶⁴

W styczniu 1875 r. arcybiskup urządził kaplicę w dolnej części domu przeznaczanego na kościół i odprawiał w niej publiczne nabożeństwa;⁶⁵ „urządzamy dolny kościółek – pisał – mający nieco charakter katakumbowy, ale bardzo poważnie wyglądający”.⁶⁶ Zbierał fundusze na kościół, pisał listy do znajomych w kraju i zagranicą z prośbą o ofiary; polecał modlitwom karmelitanek krakowskich tę „małą świątynię”, dziękował im za ofiary:

Dzięki też serdeczne za życzliwe zajęcie się losami przyszłego kościółka naszego... Dzięki stokrotne za przyrzeczoną ofiarę... (1874).

A wkrótce donosił:

My tu doczekaliśmy się wreszcie oficjalnego pozwolenia na zbieranie składki na budowę Kościoła ... Krzątamy się jak możemy, ale jeśli z kraju pomoc nie przybędzie, trudno spodziewać się rychłego skompletowania sumy (1875).

W jesieni rząd zatwierdził plan i kosztorys przebudowy, opiewający na 4.600 rubli, udzielił „oficjalnego pozwolenia na zbieranie składki” na ten cel, jednakże ostateczne pozwolenie na rozpoczęcie przebudowy miało być udzielone „po skompletowaniu i złożeniu w banku całej kwoty”.⁶⁷ W lutym 1876 r. arcybiskup oczekiwał rozstrzygnięcia sprawy kościoła przez ministra w Petersburgu,⁶⁸ ale dopiero w czerwcu t.r., minister kazał sobie przedstawić plan i kosztorys zamierzonego kościoła.⁶⁹

W końcu 1876 r. rząd nakazał zamknięcie kaplicy w domu przeznaczonym na kościół, zaznaczając, że nabożeństwo wolno będzie tam odprawiać „aż zbierze się cała suma i dom przerobi się wedle zatwierzonego planu”. W styczniu 1877 r. arcybiskup złożył do „Kasy kościelnej” ofiary otrzymane z zagranicy; do połowy stycznia „z powodu ubóstwa parafii tysiąca nawet nie zebrano”; w końcu tego miesiąca stan kasy wynosił 1200 rubli; arcybiskup ufał, że przy pomocy Bożej „cały kapitał się zgromadzi”; planował urządzenie loterii i rozszerzenie zbiórki,

⁶¹ Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 26 października/8 listopada 1874 r., do rodziny Grocholskich, 18/ 30 września 1875 r.; do bp. Popiela, 26 kwietnia/8 maja 1875 r.; A. Pohoski, *Wspomnienia*, k. 2-2v.

⁶² List abp. Felińskiego do bp. Popiela, 26 kwietnia/8 maja 1875 r.; Pohoski, *Wspomnienia*, k. 2-2v.

⁶³ Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 314.

⁶⁴ List abp. Felińskiego do bp. Popiela, 26 kwietnia/8 maja 1875 r.

⁶⁵ Tamże, i 3 lipca 1875 r.; Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 19/31 stycznia, 18/30 września 1875 r.; A. Pohoski, *Wspomnienia*, k. 2-2v.

⁶⁶ List abp. Felińskiego do Grocholskich, 18/ 30 września 1875 r.

⁶⁷ Listy abp. Felińskiego do s. Marii Ksawery Czartoryskiej, karmelitanki, 26 października/8 listopada 1874 r., do przełożonej karmelitanek w Krakowie, 26 października./7 listopada 1875 r.

⁶⁸ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 7 19 lutego 1876 r.

⁶⁹ List Juliana Felińskiego do m. Marceliny Darowskiej, 16 lipca 1876 r.

gdyż jak pisał „sami nie podaliśmy przedsięwzięciu”.⁷⁰ W lutym 1877 r. w odpowiedzi na jego „odezwy” płynęły liczne ofiary, „dnia prawie nie ma – pisał – żeby nowy datek nie przybył”; karmelitanki prosił raczej „o jałmużnę duchową modlitw i westchnień do nieba, niż o datek pieniężny”.⁷¹

W 1879 r. abp. Feliński zwierzał się: „nie mogąc doczekać się pozwolenia na budowę naszego kościółka sprzedaliśmy już w tym roku cegłę, zakupioną przed dwoma laty”.⁷² W 1882 r. zebrał na kościół ponad 10 tys. rubli, ale pozwolenie nie nadchodziło. Liczył na wynik rokowań między Rosją a Stolicą Apostolską.⁷³

Arcybiskup nie działał osobiście, lecz włączył w to dzieło jarosławskich „parafian”, zorganizował komitet budowy kościoła, założył „kasę kościelną”; mówił o nim w liczbie mnogiej: „nasz kościółek”, „oczekujemy na pozwolenie”, a nawet: „obecnie jest to dla mnie *la grande question du jour*” (1877).⁷⁴ Troska o kościół tak dalece przesłoniła jego potrzeby osobiste, że gdy nowy gubernator Jarosławia zapytał go w 1879 r. czy ma jakąś osobistą prośbę do przedstawienia cesarzowi, „odpowiedział, że prosi o pozwolenie na rozpoczęcie budowy kościoła. Na to mu nic nie odpowiedziano”.⁷⁵

Dzięki pasterzowi zebrano na kościół do 1882 r. nie tylko 4.600 rubli, ale ponad 10 tysięcy i złożono je w banku, pozwolenie jednak nie nadchodziło. Według A. Pohoskiego „na przeszkodzie dla rządu była bytność w Jarosławiu ks. arcybiskupa”.⁷⁶ To samo notują akta urzędowe. Widocznie obawiano się jego szerszej działalności. W pismach bowiem urzędowych znajduje się pytanie przysłane z ministerstwa ilu katolików było w Jarosławiu w 1863 r., a ilu obecnie, jaki wpływ ma na to obecność w tym mieście abp. Felińskiego. I rzeczywiście, dopiero po jego wyjeździe z Jarosławia, nadeszło rządowe pozwolenie (1884).⁷⁷ Natomiast 26 marca 1886 r. posiadłość ta została notarialnie zapisana na własność konsystorza rzymskokatolickiego archidiecezji mohylewskiej.⁷⁸

I chociaż abp. Feliński nie miał już wpływu na dalsze prace, to jednak katolicy tamtejsi uważali go zawsze za fundatora swego kościoła, ponieważ od niego wyszedł pomysł, jemu Wałudzki ofiarował dom na kościół, on zebrał potrzebne na budowę fundusze i on zgromadził dla tej świątyni różne przedmioty liturgiczne.⁷⁹

⁷⁰ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 4/16 lutego 1876 r., 4/16 stycznia i 19/31 stycznia 1877 r.

⁷¹ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 1/13 lutego 1877 r.

⁷² List abp. Felińskiego do bp. Popiela, 7/19 października 1879 r.

⁷³ Listy abp. Felińskiego do bp. Popiela, 8/20 kwietnia 1882 r. i do Kamili Bystrzonowskiej, 28 stycznia 1882 r.

⁷⁴ List abp. Felińskiego do karmelitanek, 5/16 stycznia 1877 r.; por. list do Grocholskich z 18/30 września 1875 r.

⁷⁵ List Juliana Felińskiego do m. Marceliny Darowskiej, 13 lutego 1879 r.

⁷⁶ A. Pohoski, *Wspomnienia*, k. 2v.

⁷⁷ Pozwolenie ministra spraw wewnętrznych, w piśmie do gubernatora jarosławskiego, 29 lutego 1884 r., nr 656, por. Pismo jarosławskiego gubernatora, 3 stycznia 1884 r., nr 402, GAJO, Sprawa abp. Felińskiego, k. 117-119.

⁷⁸ Tamże, pismo z 26 marca 1886 r., nr 458, k. 136 v.

⁷⁹ Listy abp. Felińskiego do karmelitanek, 19/31 stycznia, 18/30 września, 26 paźdź./7 listopada 1875 r.; Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 314.

Przy kościele w Jarosławiu, który figurował w spisie archidiecezji mohylewskiej jako „dom modlitwy” pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego,⁸⁰ została utworzona w 1886 r. formalna parafia. Kiedy po 30 latach (1913) ks. Marian Tokarzewski objął obowiązki proboszcza w Jarosławiu, odnalazł tam trwałe ślady „świętego życia i owocnej działalności” abp. Felińskiego, „który nie tylko kościół zbudował z niczego, ale, co ważniejsze, utrwalił ducha katolickiego i polskiego w trzech pokoleniach”.⁸¹

Uwolnienie abp. Felińskiego

Nowy papież, Leon XIII, który objął rządy w Kościele w 1878 r., nie poszedł po linii Piusa IX publicznych oskarżeń skierowanych przeciw Rosji, lecz od początku swego pontyfikatu przyjął pokojową linię działania, wyciągając pojednawczą dłoń zarówno do króla pruskiego jak i do cara rosyjskiego. Dla papieża, zatroskanego o katolików pod berłem rosyjskim „najpilniejszą sprawą było przywrócenie stosunków dyplomatycznych”, zerwanych w 1877 r. w związku z memoriałem kard. Symeoni, którego ksiązę Urusow, półurzędowy przedstawiciel Rosji przy Watykanie, nie przyjął.

Aleksander II na gest papieża odpowiedział pozytywnie,⁸² ale na razie ani on ani ksiązę A. Gorczakow, minister spraw zagranicznych Rosji, nie spieszyli się z rozpoczęciem rokowań, zajęci sprawami kongresu berlińskiego (1878), a także wewnętrznym niepokojem w Rosji, gdzie nasilał się ruch „nihilistów”, miały miejsce spiski, zamachy, strzały, wybuchy bomb.

Pierwsze próby nawiązania stosunków z Rosją podjął Watykan przez pośrednictwo rządu hiszpańskiego i jego ambasadora w Petersburgu już w 1878 r.⁸³ Następne sondáže i konkretne rozmowy miały miejsce w Wiedniu w latach 1878-1880, a zakończyły się ostatecznie podpisaniem układu w Rzymie w 1882 r.

Pewien wpływ na rozpoczęcie rozmów prowadzących do uregulowania stosunków między Watykanem a Rosją miał list abp. Felińskiego z grudnia 1878 r., skierowany do sekretariatu stanu Leona XIII, przez pośrednictwo księżnej Zofii z Branickich Odescalchi, która pełniła ważną rolę w kontaktach Stolicy Apostolskiej z klerem i wiernymi pod berłem rosyjskim. Ona pośredniczyła w przesyłaniu listów kard. Ledóchowskiego, a także sekretarza stanu, pisanych w imieniu Leona XIII do abp. Felińskiego, posyłając je drogą prywatną do Jarosławia. Jak wynika z listu nie wszystkie przesyłki i jego odpowiedzi docierały do celu.

W liście swym abp dziękował za otrzymane błogosławieństwo papieża, za słowa umocnienia i zachęty od kardynała, wyrażał uczucia najwyższej czci i

⁸⁰ Por. *Diectorium Divini officii et missarum pro archidioecesi mohiloviensi... in Annum Domini 1897*, Wilno, 1897, p. 231.

⁸¹ Ks. Marian Tokarzewski, *Straż przednia. (Ze wspomnień i notatek)*, Warszawa [1925], s. 121-122.

⁸² List Leona XIII do Aleksandra II, 20 lutego 1878 r.; drugi list papieża, 12 kwietnia 1880 r. „z okazji 25 rocznicy wstąpienia na tron”; Odpowiedź imperatora, 17 kwietnia 1880 r., ASV, AA.EE.SS.: „Russia e Polonia” (1880), poz. 468, fasc. 141.

⁸³ Tajny memoriał skierowany do rządu hiszpańskiego w celu nawiązania kontaktów z Petersburgiem, 1879, tamże, „Russia”, 1879, nr 29.

przywiązania do Stolicy Apostolskiej. O swoim położeniu pisał, że istotnie jest krzyżujące dla jego natury, ale w otrzymanej zachęcie z Watykanu znajduje moc i siłę do trwania i pełnienia woli Bożej. Nie chciałby, aby Ojciec święty przez współczucie dla jego osoby dążył do zmiany jego położenia. Wyraźnie oświadczył: jeżeli dobro Kościoła może coś zyskać przez „prowizję” stolicy arcybiskupiej warszawskiej, w aktualnych okolicznościach, jedno słowo Watykanu wystarczy, aby zrezygnował ze swego urzędu. Każdy zakon będzie dla niego upragnioną przystanią. Lecz jeśli jego rezygnacja przyniosłaby tryumf siły nad prawem, jeśli jego przykład pozbawiłby innych pasterzy odwagi wiernego trwania w swych obowiązkach bez względu na prześladowania zewnętrzne, jeśli nowy porządek byłby wprowadzony wbrew władzy kościelnej, to on sto razy wolałby, by jego ciało gniło powoli w więzach, a serce usychało z tęsknoty raczej, niż miałby otrzymać wolność i powrót do urzędu kapłańskiego za cenę koncesji, które absolutnie nie przyniosłyby korzyści dla dobra Kościoła.

Arcybiskup uważał, że ostateczna godzina rozstrzygnięcia spraw religijnych w Rosji jeszcze nie nadeszła. Konieczne są zasadnicze zmiany w jej polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Wiedząc, że niektóre osoby w Rzymie czynią starania o jego uwolnienie, dla ulżenia jego sytuacji osobistej, dlatego wypowiada swoje w tej mierze zdanie, aby Stolica święta w swych decyzjach brała pod uwagę nie tylko ogólną sytuację, ale też jego osobiste pragnienia, które przez innych mogłyby być niedokładnie przedstawione. Toteż prosi adresatkę tegoż listu, aby przekazała kardynałowi jego uwagi, by mógł wziąć je pod uwagę, gdy Ojciec święty będzie podejmował decyzje w sprawie uregulowania spraw Kościoła. Wyraźnie oświadczył, że chętnie zrezygnuje z arcybiskupstwa i to bez żadnych ograniczeń ze swej strony, dla dobra owczarni, która mu została powierzona, ale będzie boleśnie dotknięty, gdyby to zostało uczynione z małymi koncesjami tylko przez wzgląd na jego osobistą pozycję.

Powyższy list wywarł wielkie wrażenie w kołach watykańskich, podnoszono męstwo i ofiarność zesłanego pasterza. Jego treść analizowano i rozważano na sesjach plenarnych Kongregacji Nadzwyczajnych Spraw Kościoła, i choć zawarte było w nim zdanie, że nie nadszedł jeszcze moment ostatecznego uregulowania spraw religijnych z rządem rosyjskim, to jednak w dużym stopniu zaważył on na decyzji Stolicy Apostolskiej o rozpoczęciu pertraktacji z Rosją.

Pertraktacje, które doprowadziły do uwolnienia abp. Felińskiego rozpoczęły się w 1879 r. w Wiedniu między pro-nuncjuszem apostolskim mons. Lodovico Jacobini'm, od września tego roku kardynałem, a Jewgienijem Nowikowem, ambasadorem rosyjskim w Austrii. Z inicjatywą nawiązania rozmów wyszedł nuncjusz 10 grudnia 1878 r. Przez cały 1879 r. trwały rozmowy wstępne dotyczące podstawowych zagadnień projektu układu.⁸⁴

Watykan obejmował układami całość spraw Kościoła katolickiego, który w imperium rosyjskim znajdował się w krytycznym położeniu. Jako podstawę przyjął zagadnienia poruszone już w memoriale kard. Symeoni z 1877 r., ale ujął je nie w formie zarzutów lecz spraw do rozstrzygnięcia. Na czoło wysunął:

⁸⁴ Por. Raport mons. Jacobini'ego, 12 grudnia 1878 r. o pierwszej rozmowie z ambasadorem Rosji, 10 grudnia, tamże, „*Russia-Polonia*”, poz. 438, fasc. 131; A. Boudu, *Stolica święta a Rosja*, t. II, s. 585-594.

obsadzenie wakujących stolic biskupich, powrót z zesłania biskupów, wolność w zarządzie kościelnym, swoboda w rozwoju życia religijnego i w kontaktach ze Stolicą Apostolską, cofnięcie zarządzeń antykościelnych, sprawa unitów.⁸⁵ Wykluczał natomiast z rozmów kwestię wprowadzenia języka rosyjskiego do kultu katolickiego, a o to najbardziej chodziło stronie rosyjskiej, dlatego zwlekała z rozpoczęciem pertraktacji, a następnie je utrudniała.⁸⁶

Powyższe życzenia Stolicy Apostolskiej ujęte w 13 punktach, przedstawił kard. Jacobini ambasadorowi Novikowi 18 listopada 1879 r. Jednakże odwołanie biskupów z wygnania, a zwłaszcza abp. Felińskiego, sprawa unicka – były to kwestie przy odczytywaniu których dyplomata rosyjski tylko przecząco potrząsał głową.⁸⁷

Odpowiedź Rosji na powyższe życzenia Stolicy Apostolskiej została przedstawiona kard. Jacobini'emu dopiero 3 marca 1880 r. przez nowego ambasadora Rosji w Wiedniu Oubrill'a w tak zwanym *Pro-memoria*. Podzieliło ono życzenia Watykanu na 4 kategorie: „możliwe do rozwiązania”, „mogące doprowadzić do ugody, „mające stać się przedmiotem do wyjaśnień” i wreszcie kwestie „odłożone na przyszłość”. Sprawa zesłanych biskupów została zepchnięta do ostatniego punktu. W wyjaśnieniu podano: „powrót wygnanych biskupów do diecezji nie może być dopuszczony”. Według opinii ambasadora rosyjskiego były to sprawy „zawieszona, nie odmówiona”. Rosyjskie *Pro-memoria* wywołało w Rzymie „gorzkie rozczarowanie”. Dali temu wyraz kardynałowie 3 kwietnia 1880 r. Przeważała jednak opinia kontynuowania rozmów; takie też było zdanie Leona XIII, toteż 9 kwietnia kard. Nina polecił Jacobini'emu „przystąpić do rokowań *ad referendum*”.⁸⁸

Formalne konferencje rozpoczęły się 21 kwietnia 1880 r. w siedzibie nuncjatury w Wiedniu i trwały 6 miesięcy do 31 paźdz. tegoż roku. Z ramienia Watykanu prowadził je kard. Jacobini, ze strony rosyjskiej wspomniany ambasador Oubrill, któremu towarzyszył Aleksander Mossołow, „rzeczywisty radca stanu”, dyrektor departamentu obcych wyznań w ministerstwie spraw zagranicznych, ten sam, który brał udział w rozmowach w Petersburgu (1878) między Będą Dudikiem a Makowem i baronem Kohn'em.⁸⁹

Niejako wstępem do układów w Wiedniu była wymiana listów między Leonem XIII a Aleksandrem II, utrzymana w tonie nadziei na zawarcie pokoju i zaspokojenie potrzeb katolików w państwie rosyjskim (1880). Papież skorzystał

⁸⁵ Tamże, s. 599-604; Sprawy najbardziej pilne, 7 marca 1879, ASV, AE, „Russia”, n. 109.

⁸⁶ Pismo nuncjusza Jacobini'ego do sekretarza stanu kard. Nina, 18 marca 1880, AE, „Russia”, nr 109; Boudou, *Stolica święta a Rosja*, t. II, s. 614-615.

⁸⁷ Tamże, s. 606.

⁸⁸ List kard. Jacobini do kard. Nina, 5 marca 1880 r., n. 15182, ASV, Archiwum Nuncjatury Wiedeńskiej (ANW), vol. 548, k. 80, 81-85v, O *Pro-memoria* rządu rosyjskiego, „Russia e Polonia”, poz. 455, fasc. 137; Relacja na Kongregację – 3 kwietnia 1880, sesja 485, „Russia”, n. 30; List, 9 kwietnia 1880 r., n. 39875, minuta, poz. 455, fasc. 137, k. 5-12; oryginał, ANW, vol. 548, k. 97-101; Boudou, *Stolica święta a Rosja*, t. II, s. 609, 613, 616.

⁸⁹ Tamże, s. 618-619.

z 25 rocznicy wstąpienia na tron cesarza, by przesłać mu życzenia, ale odpowiedź, choć uprzejma, nie rokowała nadziei na zmianę kursu polityki rosyjskiej wobec Kościoła katolickiego.⁹⁰

- **Sprawa abp. Felińskiego w rokowaniach**

Jednym z bardzo ważnych i trudnych do rozstrzygnięcia punktów, i to od początku, okazała się sprawa abp. Felińskiego. Papież stawiał jako warunek układów powrót arcybiskupa do Warszawy, tymczasem ambasador rosyjski już na pierwszej konferencji, 21 kwietnia 1880 r., powołując się na instrukcje, wyraźnie oświadczył, że abp Feliński nigdy nie powróci do Warszawy.⁹¹

W ciągu następnych konferencji w maju, czerwcu i lipcu „Jacobini bronili sprawy arcybiskupa, podkreślając gorące życzenie w tym względzie Leona XIII. Niestety wszystko było daremne”. Jak bardzo zależało papieżowi, by abp Feliński wrócił do Warszawy, świadczy jego chęć napisania własnoręcznego listu w tej sprawie do imperatora rosyjskiego. Musiał jednak zrezygnować z tego zamiaru wobec stanowczego oświadczenia ambasadora rosyjskiego, że taki list nie będzie przyjęty w Petersburgu.⁹²

Według dyplomaty rosyjskiego brały w tym udział „osobiste uczucia cesarza”, odwet za 1863 r. Wówczas abp Feliński był głuchy na rady i nalegania cesarza, teraz cesarz bierze odwet. „Według moich instrukcji, oświadczył, nie mam prawa przyjmować podobnej prośby nawet od referendum”. Nie godził się też na pozostawienie Felińskiemu tytułu arcybiskupa warszawskiego, a powierzenie zarządu diecezji koadiutorowi *cum futura successione*. Sugerował natomiast mianowanie dla Warszawy biskupa pomocniczego jako administratora, na co z kolei nie godził się kard. Jacobini, uważając, że po 17 latach prowizorycznego stanu archidiecezja powinna otrzymać własnego pasterza.

Wobec kolejnych nalegań Watykanu ambasador kategorycznie odrzucił możliwość powrotu abp. Felińskiego do Warszawy. W tej sytuacji kard. Jacobini radził, by zrezygnować z dalszych starań, gdyż inaczej nie osiągnie się porozumienia. Ten fakt ukazał Stolicy Apostolskiej nie tylko niechęć cara wobec „szlachetnego arcybiskupa od 17 lat niewinnie cierpiącego na wygnaniu”, ale też podważył jej zaufanie w „dobrą wolę” rządu rosyjskiego i w „pragnienie pokoju” przez niego manifestowane.⁹³

Wobec nieprzejednanego stanowiska Rosji Leon XIII był zmuszony wyrzec się myśli powrotu Felińskiego do Warszawy. Jego wikariusz generalny, biskup-nominat Rzewuski, podzielił ten sam los. Był to wypadek bez precedensu. Jedynie co uzyskała Stolica Apostolska dla nich, to poręczenie rządu rosyjskiego przyznania

⁹⁰ List Leona XIII do Aleksandra II, 12 kwietnia 1880 r.; odpowiedź cesarza, 17/29 kwietnia 1880 r., ASV, AA.EE.SS.: „Stampe per le Congregazioni”, 24 i 27 czerwca 1880 r., sesja 495, nr VIII e IX, s. 74-75, 76-77, „Russia-Polonia”, nr 33; minuta i oryginał, tamże, poz. 455, fasc. 137, k. 13-14, 24-25.

⁹¹ Boudou, s. 622-623; Wyczawski, *Arcybiskup*, s. 319.

⁹² Boudou, s. 623; Listy kard. Nina do kard. Jacobini’ego, z 5 lipca 1880 r., nr 40813 i nr 40814, dwie odpowiedzi kard. Jacobini’ego, 13 lipca i 26 lipca 1880 r. ASV, AA.EE.SS.: „R.-P.” (1880), poz. 468, fasc. 142, k. 3-10v, 11-12.

⁹³ Pismo kard. Jacobini’ego do kard. Nina, 13 lipca 1880 r. i odpowiedź tegoż z 26 lipca 1880 r.; por. E. Winter, *Russland und des Papsttum*, część II, Berlin 1961.

im pensji i jeśli o to poproszą, swobodny wyjazd z Rosji⁹⁴. Sekretarz stanu w liście do kard. Jacobini'ego oświadczył, że papież odpowiednio wynagrodzi męstwo i zasługi abp. Felińskiego.⁹⁵

Po tym kompromisie ostatecznie uzgodniono w sierpniu 1880 r. tekst art. 2, dotyczący abp. Felińskiego. Warto tu zaznaczyć, że przy omawianiu ewentualnego kandydata na stolicę arcybiskupią warszawską, strona rosyjska proponowała różnych kandydatów. Watykan jednak nie godził się i wysuwał kandydaturę bp. Wincentego Popiela, uważając, że za cenę odsunięcia abp. Felińskiego, papież chciałby powierzyć tę tak ważną diecezję „osobie odpowiedniej i pewnej”.⁹⁶

Podczas następnych konferencji do sprawy abp. Felińskiego już nie powrócono. Do końca października 1880 r. pro-nuncjusz i ambasador rosyjski staczali „uparte walki” o ostateczną redakcję układu. Wreszcie 31 paźdz. 1880 r. kard. Jacobini i ambasador Oubrill podpisali protokół i projekt porozumienia.⁹⁷ Niewątpliwie było to poważne osiągnięcie Stolicy Apostolskiej. Car Aleksander II także był z niego zadowolony. Jednakże jak wyraził się kard. Jacobini „zwyctyżyły raczej punkty widzenia Petersburga niż Rzymu”.⁹⁸

• **Rozmowy prowadzone w Watykanie 1881-1882**

Następna faza rokowań między Stolicą Apostolską a Rosją miała miejsce w Rzymie i trwała od 13 kwietnia 1881 r. do 24 grudnia 1882 r. Ze strony rosyjskiej brali w niej udział Aleksander Mossolow, który już w Wiedniu towarzyszył Oubrill'owi i Michał Butieniew, syn byłego ministra rosyjskiego w Rzymie. Ze strony Watykanu rozmowy kontynuował kard. Jacobini, od grudnia 1880 r. sekretarz stanu, przy udziale Mariano Rampolla, sekretarza Kongregacji do Spraw Nadzwyczajnych Kościoła i Francesco Spolverini, podsekretarza tejże Kongregacji.

Rozmowy prowadzone były w zmienionej rzeczywistości, 14 marca 1881 r. zginął Aleksander II w zamachu bombowym w Petersburgu z rąk nihilistów, a na tron wstąpił jego syn Aleksander III.⁹⁹ Wymienione z tej racji listy między papieżem a monarchą dawały Watykanowi nadzieję na poprawienie sytuacji Kościoła w Rosji¹⁰⁰. Niestety strona rosyjska nie wyszła poza treść porozumienia wstępnego ustalonego w Wiedniu.

Od 13 kwietnia do 23 września 1881 r. odbyło się 25 posiedzeń.¹⁰¹ Niemal wszystkim przewodniczył kard. Jacobini. Celem ich było osiągnięcie ostatecznych ustaleń w kwestiach: wakujących biskupstw, seminariów, Akademii Duchownej w Petersburgu, odwołania przepisów wydanych przeciw duchowieństwu.

⁹⁴ Projekt wstępny porozumienia między Rosją a Watykanem, punkt 2.

⁹⁵ List z 5 lipca 1880 r., nr 40814, jak wyżej.

⁹⁶ Relacja nuncjusza kard. Jacobini'ego, 7 czerwca 1880 r., nr 15793, k. 39-40.

⁹⁷ „Russia e Polonia” (1882), poz. 504, fasc. 158; Akta Leona XIII, *Conventiones*, s. 26-29.

⁹⁸ Boudou, s. 626.

⁹⁹ Aleksander III (1845-1894), imperator Rosji od 1/13 marca 1881 r.

¹⁰⁰ List Leona XIII do imperatora Rosji, Aleksandra III, 15 marca 1881 r., odpowiedź cara, 20 marca 1881 r. i następny list papieża do cesarza, 22 kwietnia 1881 r.

¹⁰¹ Protokoły konferencji, 1880-1882, ASV, AA.EE.SS.: „R. e P.”, poz. 490, fasc. 150-152.

O abp. Felińskim w ciągu rokowań w Rzymie nie było już wzmianki. Sugestie kierowane do Watykanu w 1881 r. aby papież starał się u nowego monarchy o powrót Felińskiego do Warszawy nie zostały uwzględnione.¹⁰² W Rzymie trwały dyskusje na temat kandydata na arcybiskupa warszawskiego. Na 18. posiedzeniu, 6 sierpnia, Mossołow przedstawił listę rządowych kandydatów na wakujące stolice biskupie. Na arcybiskupa Warszawy proponował bp. Bereśniewicza, a na sufragana kan. Borzewskiego. Na ostatniej konferencji, 25 września, strona rosyjska dodała przy Bereśniewiczu dwóch alternatywnych kandydatów: ks. Ruszkiewicza i ks. Wnorowskiego.¹⁰³ W ostatecznych jednak debatach Watykan przeforsował bp. Wincentego Popiela.

Po wyjeździe Mossołowa do Petersburga, 25 września 1881 r., w celu przedstawienia Aleksandrowi III wyników rokowań, dalsze rozmowy prowadził sekretarz stanu kard. Jacobini i dyplomata rosyjski Boutieniew.

Jeszcze w ostatniej fazie rozmów między Rosją a Watykanem w notach kierowanych do Stolicy Apostolskiej pojawiały się prośby, by papież usilnie starał się o powrót abp. Felińskiego, poparte argumentem, że „katolicy Królestwa pragną widzieć swojego arcybiskupa w Warszawie; czczą jego pamięć i osobę”.¹⁰⁴

• **Podpisanie układu**

Dopiero 24 grudnia 1882 r. zostało podpisane w Rzymie porozumienie. Wynik 4-letnich pertraktacji, prowadzonych z ogromnym wysiłkiem, był niewielki. Realnym osiągnięciem było obsadzenie wakujących stolic biskupich, poddanie biskupom – z pewnymi ograniczeniami – seminariów i Akademii Duchownej w Petersburgu, przyrzeczenie rządu rosyjskiego cofnięcia zarządzeń przeciw duchowieństwu. Pozostało jednak wiele kwestii nie rozstrzygniętych, między innymi sprawa unitów chełmskich, której w Wiedniu nie dotknięto. Natomiast w Rzymie kard. Jacobini kilkakrotnie występował w ich obronie, jednakże Mossołow, powołując się na instrukcje swego rządu, kategorycznie odmówił pertraktacji na ich temat.¹⁰⁵

Zawarty układ w opinii publicznej wywołał sprzeczne wrażenia, komentarze i oceny. W samej Rosji społeczeństwo niechętnie go przyjęło, rozgorzała propaganda antykatolicka i antypolska. Krytykowano rząd za ustępstwo wobec Watykanu, za uwolnienie skazanych biskupów, których nagrodzono pensją. Rząd także nie był zadowolony i nie spieszył się z wysłaniem swego przedstawiciela do Watykanu. Polacy z zaboru rosyjskiego przyjęli układ z rozczarowaniem, uważali go za kompromis. Unicy szczególnie czuli się pominięci. Panowało powszechne przekonanie, że Stolica Apostolska poświęciła abp. Felińskiego dla osiągnięcia porozumienia.¹⁰⁶

Watykan zdawał sobie sprawę, że osiągnięcia są niewielkie, a ustępstwa znaczne. Leon XIII zdecydował się na ten krok w imię pokoju, uważając, że

¹⁰² List z Warszawy, przypuszczalnie ks. Antoniego Sotkiewicza do jednego z prałatów w Kongregacji Spraw Nadzwyczajnych Kościoła, 26 marca 1881 r., tamże, „Russia” (1880-1883), n. II, 120.

¹⁰³ Protokoły konferencji, 1880-1882, tamże, poz. 490, fasc. 152, k. 10, 161; por. „Russia”, n. 140.

¹⁰⁴ Relacja ks. Zygmunta Lasockiego z Warszawy, b.d., tamże, „Russia – Polonia”, 44-73, nr 52.

¹⁰⁵ Protokoły konferencji, 11 i 30 maja, 15 sierpnia, tamże, poz. 490, fasc. 152.

¹⁰⁶ Boudou, s. 639-642.

stan wojny i ciągłego męczeństwa nie jest korzystny dla duchowego dobra katolików. Niewątpliwie dobro Kościoła i katolików miał na uwadze, gdy w 1883 r. wysłał na koronację Aleksandra III (27 maja tr.) swego specjalnego przedstawiciela w osobie Vincenzo Vannutelli'ego arcybiskupa tytularnego Sardes.¹⁰⁷ Przyszłość jednakże pokazała, że system rządów i represji wobec Kościoła w Rosji niewiele się zmienił.¹⁰⁸

- **Sprawa rezygnacji abp. Felińskiego**

Punkt drugi układu z 1882 r. zakładał dwie sprawy: Jego Świątobliwość Papież powierzy jakiś inny tytuł ks. Felińskiemu, arcybiskupowi warszawskiemu, i przenieś go z dotychczasowej stolicy. Jego Wysokość Imperator zapewni abp. Felińskiemu odpowiednią pensję i, jeśli o to poprosi, udzieli pozwolenia na opuszczenie jego państwa. Wówczas przystąpi się do nominacji nowego arcybiskupa warszawskiego¹⁰⁹.

W wyniku układu papież mógł wreszcie obsadzić wakujące stolice biskupie w Rosji i Królestwie Polskim. Na konsystorzu 15 marca 1883 r. Leon XIII mianował: dwóch arcybiskupów dla archidiecezji warszawskiej i mohylewskiej, 8 biskupów dla diecezji: kieleckiej, lubelskiej, płockiej, sandomierskiej, wileńskiej i żmudzkiej oraz dwóch sufraganów dla diecezji sejneńsko-augustowskiej i tyraspolskiej.¹¹⁰

Na tymże konsystorzu Leon XIII przeniósł abp. Felińskiego ze stolicy warszawskiej na tytularne arcybiskupstwo Tarsu. Nowym arcybiskupem warszawskim został Wincenty Chościak Popiel, dotychczasowy biskup diecezji wrocławskiej.

Pewnego wyjaśnienia wymaga „kwestia rezygnacji” abp. Felińskiego ze stolicy arcybiskupiej. Takiego bowiem aktu wymaga prawo kanoniczne. Wszyscy historycy, piszący o Felińskim lub o sprawach kościelnych w tym okresie mówią: abp. Feliński „zrezygnował”, „papież wezwał Felińskiego do rezygnacji”, względnie „po rezygnacji Felińskiego” papież przystąpił do nominacji nowego arcybiskupa dla Warszawy.

Należy wyraźnie powiedzieć, takiego oficjalnego aktu rezygnacji Feliński nie złożył i Stolica Apostolska nie zażądała od niego „formalnej rezygnacji”. Poprzestała natomiast na jego wielokrotnych wcześniejszych prywatnych oświadczeniach, że w każdej chwili zrezygnuje, jeśli Stolica Apostolska uzna to za potrzebne i korzystne dla Kościoła. Swoje losy złożył w ręce papieża z gotowością przyjęcia każdej decyzji Głowy Kościoła. Najdobitniej wyraził to w liście z 1878

¹⁰⁷ Misja abp. V. Vannutelli'ego, Relacje, maj – czerwiec 1883 r., Wiedeń, oryginał, ASV, AA.EE.SS.: „Russia-Polonia”, 1883 r., n. XIV, 154.

¹⁰⁸ Boudou, s. 643-651; Winter, s. 376.

¹⁰⁹ Accordo preliminare, ASV, ANV, vol. 548, k. 171-175.

¹¹⁰ List Boutieniewa do kard. Jacobini'ego, 28 lutego/ 12 marca 1883 r., z listą kandydatów proponowanych przez Aleksandra III na wakujące stolice biskupie, i odpowiedź sekretarza stanu, 14 marca 1883 r., n. 52521, z potwierdzeniem odbioru listy kandydatów już zatwierdzonych przez obydwie strony i z informacją o ich prekonizacji - 15 marca 1883 r., ASV, AA.EE.SS.: „Russia”, n. 38, k. 96-102; *Provviste di Chiesa*, Róma, 15 marca 1883 r., 11 stron (s. 3-4, o abp. Felińskim), druk, „Russia”, n. XIX bis, 161 (2); Boudou, s. 642-643; Winter, s. 373; WYCZAWSKI, *Arcybiskup*, s. 319.

r.¹¹¹ Na tych właśnie oświadczeniach papież oparł się, gdy w pertraktacjach z Rosją rezygnował „z wielkim rozgoryczeniem”, z powrotu Felińskiego do Warszawy i gdy mianował nowego arcybiskupa warszawskiego „pewny, że abp. Feliński przyjmie to ostatnie poświęcenie dla dobra Kościoła”.¹¹²

Nowy sekretarz stanu, kard. Jacobini, w imieniu Leona XIII, skierował do abp. Felińskiego list, 12 marca 1883 r., w którym powiadomił go o decyzji papieża, podjętej z powodu okoliczności, przeniesienia go ze stolicy arcybiskupiej warszawskiej na tytularną stolicę Tarsu. List ten został wysłany do bp. krakowskiego A. Dunajewskiego, z prośbą, o przekazanie go abp. Felińskiemu jak najszybciej i w sposób najbardziej pewny.¹¹³

Przypuszczać należy, że Feliński otrzymał wspomniane pismo dopiero 1 czerwca tegoż roku, gdy przybył do Krakowa. Do jego miejsca zesłania jeszcze 26 marca nie doszła żadna oficjalna wiadomość nawet o nominacjach biskupich. Pisał bowiem:

Nie zdziwiłoby mnie bynajmniej, gdyby stolica warszawska obsadzoną została bez formalnej z mej strony rezygnacji, gdyż niejednokrotnie oświadczałem drogą prywatną gotowość do ustąpienia skoro Stolica Apostolska uzna krok ten za pożyteczny dla Kościoła.

Wiedział jednak o kandydaturze bp. Popiela i wyrażał radość, że Warszawa „otrzyma tak doskonałego pasterza”¹¹⁴. W swoich Pamiętnikach po prostu napisał o „usunięciu” go „przez Stolicę Apostolską z zajmowanej posady”.¹¹⁵

Natomiast w watykańskim rejestrze biskupów jako przyczynę wakansu po arcybiskupie Felińskim podano nie wakant z powodu „rezygnacji”, ale wyrażenie „certo modo” (pewien sposób).¹¹⁶

Oficjalną listę kandydatów na wakujące stolice biskupie rząd rosyjski przedstawił Watykanowi 12 marca 1883 r. Stąd też list sekretarza stanu w imieniu Leona XIII do abp. Felińskiego nosi tę datę. Warto zaznaczyć, że wśród biskupów prekonizowanych na konsystorzu 15 marca 1883 r. abp. Feliński zastał umieszczony na pierwszym miejscu.¹¹⁷

• Ułaskawienie cesarskie

¹¹¹ List do Z. Odescalchi, 19 list./1 grudnia 1878 r., ASV, AA.EE.SS., „Russia-Polonia”, nr XVIII, 64.

¹¹² Listy kard. Nina do kard. Jacobini’ego, 6 i 26 lipca 1880 r., Rzym, kard. Jacobini’ego do kard. Nina, 13 i 23 lipca 1880 r., Wiedeń, oryginały i minuty, ASV, ANV, vol. 548, k. 232-236, 248-251v; 238-243v, 269-276v; Pismo kard. L. Jacobini’ego w imieniu Leona XIII do abp. Felińskiego, 12 marca 1883 r., ASV, AA.EE.SS.: „Russia”, 1883 r., nr XVII bis, 158/1-2, projekty pism, j. włoski (1), łacina (2).

¹¹³ Tamże, „Russia”, 1883 r., n. XVII bis, 158/1-3, minuta włoska, łac. oraz list do bp. Albina Dunajewskiego, 158/3.

¹¹⁴ List abp. Felińskiego do Stanisława Wydźgi, 14/26 marca 1883 r., ARM F-c-20/3 nr 4; por. List Juliana Felińskiego do m. Marceliny Darowskiej, 15 kwietnia 1883 r., ACR, Rzym: *Exsodales*.

¹¹⁵ Feliński, *Pamiętniki*, s. 608.

¹¹⁶ Ritzler, Sefrin, *Hierarchia*, t. 8, s. 583.

¹¹⁷ „Provviste di Chiesa”, Roma, 15 marca 1883, s. 3-4; „Russia”, n. XIX bis, 161/2.

Car Aleksander III „ułaskawił” (uwolnił z zesłania) abp. Felińskiego dopiero 21 kwietnia 1883 r., czyli już po nominacji nowego arcybiskupa Warszawy.¹¹⁸ Równocześnie wolność odzyskali dwaj inni biskupi wygnańcy: bp-nominat Paweł Rzewuski z Warszawy, przebywający od 1865 r. w Astrachaniu nad Morzem Kaspijskim i bp wileński Adam Krasiński zesłany w 1863 r. do Wiatki.

Oficjalne zawiadomienie o „ułaskawieniu”, któremu nadano formę amnestii z okazji koronacji nowego imperatora, przesłało ministerstwo spraw wewnętrznych (departament wyznań) na ręce gubernatora Jarosławia pismem z 26 kwietnia 1883 r., nr 2271 (st. stylu). Akt ułaskawienia przyznawał abp. Felińskiemu pensję, w wysokości 5.000 rubli rocznie, oraz pozwalał mu na wyjazd za granicę lub na pozostanie w granicach Rosji i zamieszkanie w dowolnym miejscu, z wyjątkiem Królestwa Polskiego i guberni zachodnich,¹¹⁹ o każdorazowej zmianie miejsca miał obowiązek powiadomić władze rosyjskie lub poselstwo zagraniczne w miejscu swego pobytu. Z tego powodu abp Feliński, wracając z wygnania, nie mógł nawet przejechać przez Warszawę.

Po otrzymaniu urzędowego zawiadomienia o „ułaskawieniu”, które zakomunikował mu gubernator Jarosławia, pismem z 30 kwietnia/1 maja, nr 40, abp Feliński natychmiast odpowiedział 1 maja, powiadamiając, że zamieszka w Italii, w związku z tym prosił o wydanie mu paszportu zagranicznego, jednocześnie wyraził swą wdzięczność za „najwyższe ułaskawienie” i prosił o wcześniejsze wydanie mu trzymiesięcznego uposażenia „koniecznego na pokrycie kosztów podróży”.¹²⁰

Paszport został mu wydany dość szybko i arcybiskup opuścił Jarosław, 25 maja. W dniu wyjazdu 13/25 maja 1883 r. skierował do gubernatora list pożegnalny, w którym powiadomił go, że tegoż dnia opuszcza Jarosław, złożył znaczek wartości 60 kopiejek opłaty skarbowej za paszport i w związku z prośbą o wydanie mu wcześniej należnego uposażenia, prosił o przekazanie tej sumy aptekarzowi Augustowi Pohoskiemu, któremu zostawił upoważnienie. Zakończył swoje pismo wyrazami prawdziwej czci i oddania.¹²¹

¹¹⁸ Dokument uwolnienia abp. Felińskiego z wygnania, 14-21 maja 1883 r., AGAD, Akta kancelarii gubernatora warszawskiego, rep. I, n. 162.

¹¹⁹ Pismo ministra spraw wewnętrznych do gubernatora Jarosławia, 26 kwietnia 1883 r., nr 2271, o ułaskawieniu abp. Felińskiego, GAJO, Sprawa abp. Felińskiego, f. 73, op. 4, d. 2672, k. 136-v. Feliński, *Pamiętniki*, s. 608.

¹²⁰ Pismo abp. Felińskiego do gubernatora Jarosławia, Włodzimierza Dymitrowicza Dymidowa, 1 maja 1883 r., GAJO, Sprawa abp. Felińskiego, f. 73, op. 4, d. 2672, k. 138 (do nr 262); Pismo gubernatora do abp. Felińskiego, 3 maja 1883, nr 1436 o wpłacenie, zgodnie z prawem, opłaty za paszport – w wysokości 10 rubli za rok, tamże, k. 139. Wydaje się, że abp Feliński otrzymał paszport na 5 lat, ponieważ w 1888 r., zwracał się do ministerstwa o przedłużenie paszportu, por. Pismo departamentu policji do wydziału wyznań w ministerstwie spraw wewnętrznych Rosji, 16 czerwca 1888 r., nr 1562, PGIA, Petersburg, f. 821, op. 126, d. 14-II, k. 48.

¹²¹ Pismo abp. Felińskiego, 13/25 maja 1883 r., GAJO, Sprawa abp. Felińskiego, f. 73, op. 4, d. 2672, k. 141 (do nr 546).

Początkowo planował abp Feliński opuścić Jarosław 15/ 28 maja.¹²² Wydaje się, że przyspieszył termin wyjazdu, aby 26 maja, spotkać się w Moskwie z nowymi arcybiskupami: A.K. Gintowtem, metropolitą mohylewskim i W. Popielem, swoim następcą na stolicy metropolitalnej warszawskiej, którzy przybyli tam na koronację Aleksandra III.¹²³

W swoich *Pamiętnikach* abp. Feliński zapisał:

Koronacja miała się odbyć 16 maja, wedle starego stylu, 1883 roku, mnie jednak gubernator tygodniem przed tym zawiadomił oficjalnie, że mogę bez przeszkody wyjechać za granicę, bylebym ominął w drodze Warszawę. Dawno już urządziłem swe interesa i przygotowałem się do wyjazdu; skoro więc otrzymałem paszport, wyruszyłem po raz ostatni na dłuższą przechadzkę, aby pożegnać najulubieńsze miejsca, gdzie tyle przemarzyłem i tyle przebolełem, a choć to było wygnanie, zrosiłem wszakże łzami te łąki i gaje, co witały mię niegdyś w pełni męskiej siły, a dziś zgrzybiałym starcem żegnały. Za dwa tygodnie kończyło się właśnie dwadzieścia lat mego wygnania! Wieczorem zebrali się u mnie po raz ostatni moi ukochani parafianie, nazajutrz po Mszy wyruszyłem przez Moskwę i Brześć Litewski do Lwowa.¹²⁴

Z Jarosławia wyjechał koleją żelazną, do Moskwy odprowadził go August Pohoski. W dalszej drodze towarzyszył mu „rządowy opiekun”¹²⁵. Przejeżdżając przez strony rodzinne zatrzymał się w Klewaniu¹²⁶, gdzie spotkał się z siostrą Zofią Poniatowską, mieszkającą wówczas w niedalekich Cepcewiczach.¹²⁷

Granicę rosyjską przekroczył w Brodach i znalazł się na terytorium Galicji, w granicach monarchii austro-węgierskiej, pod panowaniem cesarza Franciszka Józefa II. W dniu 30 maja przybył do Lwowa, a 1 czerwca do Krakowa, serdecznie witany przez rodaków. Wkrótce udał się do Rzymu, by podziękować papieżowi za uwolnienie. Leon XIII uroczystie przyjmował abp. Felińskiego, wracającego z 20-letniego zesłania, według ceremoniału przewidzianego dla koronowanych głów państw. Miała to być nagroda za wytrwałość jego na wygnaniu, za wierność Kościołowi i Stolicy Apostolskiej.

Po audyencji u papieża spotkał się abp. Feliński z kard. sekretarzem stanu (15 czerwca 1883) i zapewne wówczas złożył Relację, w której przedstawił Stolicy Apostolskiej prośby i życzenia dwóch arcybiskupów K. Gintowta z Mohylewa i W. Popiela z Warszawy, z którymi spotkał się 26 maja w Moskwie, wra-

¹²² Por. Listy Juliana Felińskiego do m. M. Darowskiej, 20 i 23 maja 1883 r., AG-SIC, Szymanów, P.9.3.II. 185, 186; List m. Darowskiej do s. Ludwiki, 1 czerwca 1883 r., do s. Filomeny Nowowiejskiej, 2 czerwca 1883 r., P. 38.3.I.253; 228.

¹²³ Aleksander III (1845-1894), cesarz rosyjski, drugi syn Aleksandra II i Marii Aleksandrowny. Wstąpił na tron 1/13 marca 1881 r.; jego koronacja miała miejsce 13/ 25 maja 1883 r. w Moskwie. Por. Zapiska bp. W. Popiela na liście abp. Felińskiego z 9 list. 1881 r., n. 49. Ze spotkania w Moskwie z abp. Popielem i Gintowtem złożył abp. Feliński raport w Watykanie, przedstawiając ich prośby i potrzeby Kościoła pod berłem rosyjskim.

¹²⁴ Feliński, *Pamiętniki*, s. 608.

¹²⁵ Por. List m. M. Darowskiej do s. Filomeny. 5 czerwca 1883 r., ACSIC, Szymanów, P. 38.3.I.254.

¹²⁶ Por. List abp. Felińskiego do brata Juliana Felińskiego, 11 marca 1884 r., kopia, ARM F-c-6.

¹²⁷ A. Pohoski, *Wspomnienia*, k. 3v.

cając z jarosławskiego zesłania. Relacja dotyczyła między innymi: szerszego uprawnienia dla biskupów w sprawie małżeństw mieszanych, niebezpieczeństwa wprowadzenia języka rosyjskiego do kultu, trudności w kontaktowaniu się biskupów z papieżem, trudnej sytuacji unitów i założenia kolegium dla kształcenia księży unickich¹²⁸. Tę ostatnią sprawę Leon XIII polecił abp. Felińskiemu do specjalnego przestudiowania.

Ostatni etap – duszpasterz ludu wiejskiego w Dźwiniacze

Z rosyjskiego wygnania poszedł abp Feliński na drugie. Ostatnie lata życia spędził jako tytularny arcybiskup Tarsu w ubogiej wsi galicyjskiej, w Dźwiniacze na Podolu, w pobliżu Okopów Św. Trójcy, w woj. tarnopolskim (diec. lwowska), pod zaborem austriackim. Oddał się z poświęceniem pracy duszpasterskiej, społecznej i oświatowej wśród ludu wiejskiego, który uważał go za ojca i opiekuna, za kapłana „świętego”. W środowisko tej wsi wniósł ducha odrodzenia religijnego, zgodnego współżycia Polaków i Ukraińców, owocnej współpracy w imię ewangelicznego braterstwa. Ślady jego owocnej działalności w tej wsi przetrwały do dziś.

Arcybiskup nie ujrzał odrodzonej Ojczyzny, ale Opatrzność wyprowadziła go z tego zacisza wiejskiego i ostatnia droga zaprowadziła go do królewskiego Krakowa, gdzie zmarł, w opinii świętości, 17 września 1895 r., i gdzie naród polski oddał hołd pasterzowi-wygnańcowi. Po uroczystościach pogrzebowych w Krakowie spoczął na cmentarzu w Dźwiniacze wśród tych, dla których żył i pracował. A kiedy Polska odzyskała niepodległość, sprowadzono jego doczesne szczątki do Warszawy (1920) i pochowano je manifestacyjnie 14 kwietnia 1921 r. w podziemiach katedry św. Jana Chrzciciela w wolnej, odrodzonej Ojczyźnie. Po kanonizacji jego relikwie umieszczono w Kaplicy Archikonfraterni Literackiej, w ołtarzu Matki Bożej Wniebowziętej (17 września 2003).

Sylwetka duchowa

Abp Feliński od początku miał przecucie, że wygnanie jego będzie trwało długo, toteż mając zamknięte pole do czynnej działalności, oddał się intensywnej pracy wewnętrznej i skierował wysiłki swoje w tym kierunku: „by wołę Bożą umiłować, jakkolwiek gorzką dla natury”. Za tym realnym spojrzeniem na rzeczywistość nie kryło się jednak gorzkie zniechęcenie. Przeciwnie, przyjął on wygnanie świadomie, jako konsekwencję swego postępowania, w obronie słuszych praw Kościoła i Narodu. Wygnanie znośił godnie, z wytrwałością i męstwem. Uważał je niewątpliwie za akt przemocy wobec Kościoła, ale protestował przeciw temu jedynie milczeniem, cierpieniem, modlitwą. Daleki był od płaszczenia się wobec cara, i – jak się wyraził: od rzucania „korony wyznawców pod stopy oprawców” (11 stycznia 1864). Wygnanie było wielkim doświadczeniem dla „czynnego z natury” Pasterza, liczącego 40 lat, o czym sam pisał:

¹²⁸ Relacja abp. Felińskiego, autograf, j. francuski, ASV, AA.EE.SS., „Russia, 141-172”, nr XVI, 156.

Pierwsze półrocze było tak burzliwe i pełne różnego rodzaju wewnętrznych utrapień, że chwili prawie spokoju ani z Bogiem, ani z sobą, ani z ludźmi nie miałem. Za to od kilku miesięcy, a mianowicie od chwili kiedy Pan Jezus zawitał na stałe mieszkanie do kaplicy mojej, tak zupełny spokój wrócił do duszy mojej, że prawie mi się wierzyć nie chce, żeby to było na jawie (1864).

Te burzliwe przeżycia zbiegły się z niepokojącymi wiadomościami docierającymi z Kraju, gdzie rząd carski krwawo tłumił powstanie, dokonywał egzekucji, deportował na Syberię tysiące Polaków, kasował klasztory, nakładał kontrybucje na kościoły, aresztował i zsyłał na wygnanie księży, niszczył instytucje polskie, nasilał rusyfikację.

Życie Arcybiskupa na zesłaniu naznaczone było w szczególności sposobem cierpieniem i krzyżem. Jedną z opinii odsłania źródło jego siły i pokoju wewnętrznego:

Cierpi on wiele niewątpliwie, ale Bóg daje mu siły odpowiednie, nie jest to dusza zdolna upaść pod ciężarem cierpienia. Chroni go wielka pokora i wielkie zaparcie się siebie, które cechowały całe jego życie. ... Ma przy tym wielką wiarę, ufność w Bogu i dlatego nie traci nigdy wewnętrznego spokoju (1878).

Wiara, połączona z ufnością w Opatrzność Bożą, była stałym i mocnym oparciem dla pasterza. Kiedy omijały go kolejne amnestie, a było ich w okresie jego zesłania 7, wyznał:

we wszystkim zdaję się zupełnie na Opatrzność, Jej zrzędzenia zawczasu za najlepsze uznając (25.09.1863); Wola Boża jest dla mnie droższa nad wszystko (1870). Ufam Bogu i niczego nie pragnę, okrom świętej Jego woli (1877, 1879).

Żywa wiara i umiłowanie woli Bożej prowadziły go do całkowitego zjednoczenia z Bogiem. Jak mocne było to zjednoczenie wnosimy z jego słów:

Z pociechą w tej chwili powiedzieć mogę, że żyję i to nie ciałem tylko, ale i duszą; ale z jakże daleko większą pociechą powiedziałbym, gdybym do tego miał prawo: żyję już nie ja, żyje we mnie Chrystus (1866).

Dla abp. Felińskiego chwała Boża, pomyślność Kościoła, były ważniejsze od osobistej wolności. Wobec prześladowania Kościoła zachował spokój i wielką ufność, którą czerpał ze słów Chrystusa: „Ufajcie, Jam zwyciężył świat” (1870). Wielokrotnie dawał dowody czci i posłuszeństwa Ojcu Świętemu. Swoje przywiązanie do Stolicy Apostolskiej, wiarę w nieomylność papieża, zawarł w liście jaki napisał z okazji Soboru Watykańskiego I, i przesłał tajną drogą do Rzymu. Pius IX z radością przyjął ten głos Pasterza-Wygnańca i polecił włączyć jego votum do Akt Soboru.¹²⁹

Wśród cierpień wygnania arcybiskup nie stracił „wiary w zmartwychwstanie Polski” i ufał, „że błysnie dlań wolności zorza”. Wiarę tę wyrażał w formie alegorycznej, nazywając Polskę – matką, „pogrzebaną tylko, ale żywą matką, co czeka tylko chwili otwarcia grobowego wieka” i ufał, że „chwila ta nastąpi” (1882). Swoje rozważania wyraził w słowach:

Kogo i kiedy Opatrzność powoła do podjęcia grobowego wieka? Jest to tajemnica Tego, co mierzy czas pokuty i stopień odrodzenia; lecz chwila ta nastąpi niewątpliwie, byleśmy sami nie sprzeniewierzyli się obowiązkowi synostwa na-

¹²⁹ List abp. Felińskiego, 1 czerwca 1870, ASV, vol. 21, część 1, k.92-93v.

szego. Lecz czy dano nam będzie oglądać tę chwilę? To więcej niż wątpliwe. Oczami duszy oglądać ją będziemy z krainy światła i pokoju, tu zaś tęsknić i pragnąć tylko będziemy, pocieszając się każdym błysnięciem tej zorzy, co jest jutrzzenką zmartwychwstania.¹³⁰

O wpływie jaki wywierał na innych naoczny świadek pisał:

śliczna dusza jego na każdego taki wpływ wywiera, że każdy zbliżający się doń, owiany jego duchem, ujęty jego dobrocią, słodyczą, serdecznością sam zda się przekształcać w lepszego. I niezawodnie takim się staje, gdyż każde odwiedziny u niego zwykle kończą się spowiedzią (1876).

Informacje o zesłanym abp. Felińskim, drukowane w prasie polskiej i zagranicznej, utrwalały jego pamięć w Narodzie. W prasie krakowskiej pisano o nim: „jako wzór świątobliwości i wyznawstwa jaśnieje, bielszy od śniegów, które go otaczają” (1882). Pamięć o „świętym biskupie polskim”, który „utrwalił ducha polskiego i katolickiego w trzech pokoleniach”, przez długie dziesięciolecia pozostała żywa nad brzegami Wołgi.

Życie Zygmunta Szczęsnego od młodości, nacechowane było dążeniem do świętości. Chrystus był dla niego „Drogą, Prawdą, Życiem”. Pragnął osiągnąć taki stopień zjednoczenia z Bogiem, by ze św. Pawłem powiedzieć: „Żyję ja, już nie ja, żyje we mnie Chrystus”. Odnaczał się granitową wiarą i bezgranicznym zawierzeniem Opatrzności, stawiał zawsze na pierwszym miejscu miłość Boga i Kościoła, poświęcenie dla Ojczyzny, poświęcenie dla bliźnich. Charakterystycznym rysem jego duchowości była wielka prawość, męstwo i sprawiedliwość. Obok tego jaśniała jego ofiarność i miłosierdzie, owiane duchem franciszkańskiej pogody, pokory i prostoty, pracy i ubóstwa.

¹³⁰ List abp. Felińskiego do nieznannej adresatki, 15/17 marca 1882, oryg., ARM, F-c-20/ 4 nr 7.

*„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przed wszystkim radosna.”
S. Kowalski, Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam siły, by pismo ukazywało się regularnie. Przyznajemy, że sił tych nam jeszcze wystarczy. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy od autorów z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie z języka rosyjskiego ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez stowarzyszenie Polish Army Veterans Association of America oraz innych darczyńców z kraju i zagranicą. Dziękujemy im szczególnie za ten wyraz troski o nasze pismo.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności edytorskich oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii dawnej oraz najnowszej aż po współczesność, bo ciągle przecież mamy i będziemy mieć związki z Syberią. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok i Czukotkę to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomoczenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

**Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków**

ZOFIA STRZYŻEWSKA

**DZIENNIK MOJEJ NIEWOLI JULIANA SABIŃSKIEGO
CZYLI O DOLI ZESŁAŃCZEJ DAWNEJ I NOWSZEJ**

Okładkę II tomu wspomnień J. Sabińskiego zdobi rycina pt. „Syberia Wschodnia. Jezioro Bajkał i okolice. Stacja Studinka w okolicy południowego Bajkału”, gdzie autor znajdował się na wygnaniu jako tzw. osadnik (posielec). Na okładce t. III – widnieje „Kamieniec Podolski, twierdza „Polska Brama”. Już sam dobór tych widoków pokazuje skąd i dokąd został wypędzony nasz bohater. W 2009 r. wspólnym sumptem wydawnictwa „Neriton” i Instytutu Historii PAN (jako część projektu badawczego „Polskie organizacje niepodległościowe w dobie międzypowstaniowej”) został opublikowany *Dziennik* autorstwa Juliana Glaubicza Sabińskiego. Do druku tekst przygotowali Wiktoria i René Śliwowsy. Przedmowę napisał Jan Trynkowski. Indeks osób opracowali Wiktoria Śliwowska i Jan Trynkowski przy współpracy Anny Brus i Magdaleny Micińskiej. Wszystkie wymienione osoby są historykami o znaczącym dorobku naukowym w tej problematyce, co niewątpliwie wpłynęło na ogólny poziom całej edycji. Wrażenie robi wyjątkowo wnikliwe odczytanie z rękopisu obszernego tekstu (3335 stron) *Dziennika* Juliana Sabińskiego z licznymi wstawkami, cytatami etc., dodatkowo w różnych językach. Z głęboką znajomością rzeczy i zacięciem literackim została opracowana *Przedmowa*, prezentująca pełny życiorys Sabińskiego, a także precyzyjny przegląd bazy źródłowej problemu, uzupełniony wnikliwą analizą historiograficzną, dotyczącą dziejów Stowarzyszenia Ludu Polskiego, czyli największej organizacji spiskowej okresu międzypowstaniowego, do której należał, i za którą poszedł na katorgę Julian Sabiński.

Edycja składa się z trzech tomów: I – obejmuje lata 1839-1843; II – lata 1843-1857; III – zawiera świetnie opracowany indeks osób, który bardzo pomaga przy percepcji treści *Dziennika*. Rękopis ma oryginalny tytuł: „Dziewiętnaście lat wyrwanych z mojego życia czyli Dziennik mojej niewoli i wygnania od roku 1838 do 1857 włącznie”. Wydanie zostało ozdobione portretem autora z dagerotypu, przechowywanego w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Na okładce I tomu widnieje ilustracja: „Warzelnie soli na Wiatskiej Wyspie, mała wyspa i most łączący obie wyspy w Usolu k. Irkucka”, gdzie przebiegał pierwszy okres katorgi

Omówienie *Dziennika* Sabińskiego w IH PAN i Komisji Syberyjskiej Komitetu Historii Nauki i Techniki oraz w Instytucie Historii Nauki PAN wywołało sporo emocji. Zabierając głos na forum Komisji chciałam podzielić się wyłącznie swoimi osobistymi wrażeniami po przeczytaniu jego tekstu. Rejestrując przebieg swego życia na zesłaniu Sabiński pozostawił nam maksymalnie zbliżony do rzeczywistości 19-letni okres życia zesłańców polskich na Syberii w I połowie XIX w. i nie tylko!

Wiadomo, że dzienniki są stosunkowo rzadkim i szczególnie cennym rodzajem źródeł historycznych, ponieważ są współczesne opisywanym wydarzeniom (na nich krzepnie krew wydarzeń), na ocenę których nie mają wpływu mankamenty pamięci i „mądrość” późniejszych doświadczeń (nawet w przypadku redakcji nie da się i nie ma sensu poprawiać całego tekstu, bo złamało by to całą tkankę narracji). Wyjątkowość *Dziennika* Sabińskiego polega wg mnie na tym, że cały przedstawiony w nim rozmaity materiał kogo i czego by on nie dotyczył sprowadza się głównie do pokazania, jak naprawdę funkcjonował system karalny caratu w latach 30-50 XIX w. Innymi słowy, jak wyglądały przepisy i do czego służyły „możliwości”. Co było nieodwołalne, a co można było ominąć, w jaki sposób i przez kogo.

Na pewno system represyjny caratu w XIX w. można odtworzyć na podstawie akt prawnych i przepisów. Pamiętać trzeba, że szczególnie w Rosji między przepisem a jego wykonaniem istniał czasem „ogromny dystans”. Zaletą *Dziennika* jest również to, że jego narracja została przedstawiona w szerokiej przestrzeni czasowej: od apogeum samowładztwa cara Mikołaja I do czasów kryzysu i śmierci monarchy w 1855 r. Zmiana sytuacji osobistej zesłańców wynikała również z ogólnego rozprzężenia systemu. Tak czy inaczej w sposób rzeczowy i bezpretensjonalny Sabiński zarejestrował i przybliżył nam masę wydarzeń i ludzi różnych narodowości i wiary, statusu społecznego i poziomu kultury, urzędników i wolnych artystów, odwiedzających Syberię, kupców i przedsiębiorców, przedstawicieli różnego szczebla administracji etc. i to na tle syberyjskiej przyrody i pogody, zjawisk ekonomicznych i kulturowych. Posługując się wspaniałą polszczyzną pozostawił nam obraz nieprzejednanego polskiego „wolnodumca” pierwszej połowy XIX w.

Czytanie *Dziennika* wciągnęło mnie i głęboko poruszyło. Mimo, że jest on niewątpliwie źródłem cennej informacji, okazało się, iż zapoznanie się z tekstem Sabińskiego było nie tylko poznawaniem nowego, lecz bardzo często rozpoznawaniem czegoś dobrze mi znanego. Dotyczyło to różnych sytuacji, zjawisk społecznych, zachowań ludzkich, warunków bytowania, w tym specyficznego syberyjskiego klimatu itd. itp. Było to tym, co sam Sabiński określił słowami: „Z własnej niedoli tak mi łatwo cudzą zgadywać” (I, 327-328).

14 marca 1847 r. po otrzymaniu od siostry Teodory listu z mnóstwem pamiętkowych dodatków Sabiński zanotował:

Ileż te wszystkie szpargały obudziły we mnie uczucie i wspomnień [...] Patrząc na nie myśl moja w jednej chwili przebiegła cały szereg wydarzeń [...] Jak w czarodziejskim zwierciadle, tak w mojej pamięci przemykały się niezliczone sceny przeszłości, tak żywe, tak wyraźnie odbite, jak gdybym patrzył na jakiś obraz teraźniejszego wypadku, jak gdyby dusza moja była pod wpływem świeżego obecnego wrażenia...

To było właśnie to. Już podtytuł *Dziewiętnaście lat wyrwanych z mojego życia* dosłownie uderzył, bo dokładnie tyle lat spędziły na wygnaniu w specposiołkach północnego Uralu, w warunkach bardzo podobnych do tych jakie miał „w robotach”, a szczególnie na „osadnictwie” Sabiński, moja mama i ciocia. Były to lata 1930-1949. Dwaj ich bracia, podobnie jak współwygnaniec Sabińskiego, Jerzy Olesza, „samowolnie skrócili sobie czas naznaczonej kary”, bo wcześniej zostali zamordowani (1938, 1943 r.). Prawda, J. Olesza zmarł śmiercią naturalną. Był znany czas jego zgonu, zaś na jego grobie przyjaciele mogli

postawić nagrobek z napisem. W relacji Sabińskiego napis ten brzmiał:

Urodził się wolny; żył prawy; umarł w niewoli. Spółmęczennicy – towarzysowi. Zmiłuj się nade mną Boże, boć mie podeptał człowiek.

W 1856 r. napis ten został nieco zmieniony, tym nie mniej brzmiał:

Jerzy Olesza umarł na wygnaniu Marca 11 d. 1841 r. straciwszy wszystko prócz cnoty, miłości rodaków. Kamień ten położony przez współwygnańców w r. 1856” (I, 317).

W przypadku moich wujków nie było grobów, nieznana była dokładna data ich śmierci i miejsce pogrzebu. O tym wszystkim dowiedziałam się dopiero w połowie lat 1990-ch, dzięki pomocy „Memoriału”. Ślad po starszym bracie mamy znalazł się we wspólnym grobie (ok. 8 tysięcy ofiar) pod Jekaterinburgiem. Grobu młodszego wujka odnaleźć się nie udało. Nie było też komu przekazać tych wiadomości, bo ich najbliżsi już nie żyli.

Czas mojego pobytu na zesłaniu był znacznie krótszy, bo obejmował tylko 9 lat (1940-1949), ale też dawał pewne podstawy do odniesienia i porównania. Co m.in. uderzało prawdziwością opisu? Przede wszystkim zwariowana syberyjska pogoda. Co innego jest zwiedzić Syberię, a co innego zamieszkać tam dłużej. Pogoda Północy jest wyjątkowo niestała, gwałtownie zmieniająca się, nieprzewidywalna. „Oto – notował J. S. 8 lipca 1841 r. – obraz tutejszego klimatu. Po ciągłych [...] afrykańskich skwarach nagle dziś takie zimno, jak u nas w głuchej jesieni. I coś dziwnego, że częste i śmiertelne zjawiają się tu choroby” (I, 326).

Cierpiąc z powodu „zupełnej słabości i nie ustającego bólu głowy”, wywołanych 42° skwarem J. S. pisał 4 sierpnia 1843 r., że trwające ciągle upały „prawie w takim stosunku przechodzą największą gorąc lata naszego kraju, ile tu mrozy silniejsze od naszych” (I, 476). Mijające lata nie dawały przyzwyczajenia do tej niszczącej pogody. 8 września 1845 r. czytamy kolejny zapis:

Doświadczona jest rzecz w tym przeklętym kraju, że przed nastaniem zimy najbardziej lękać się trzeba chorób z przeziębienia, tych właśnie których wtenczas uchronić się najtrudniej. Najcięższe mrozy mniej szkodzą, niż miernie chłodny, lecz przenikający wiatr z Angary w dniu ciepłym, gorącym nawet, jakie tu często bywają we wrześniu (II, 155).

Osobiście pamiętam ulewny deszcz rano 1 stycznia, zaś wieczorem – 12°C. Burza z grzmotami i błyskawicami mogła łączyć się z nawalnym śniegiem, gradem etc. Nie przypominam sobie, żeby tam przez jakiś dłuższy czas utrzymywała się taka sama pogoda: „Zdradziecki klimat” – trafnie określał go Sabiński. Najcięższe swoje grypy, anginy, zapalenia przeżywałam w czasie upałów. „Na Sybirze – po raz kolejny notował Sabiński – samo zdrowie jest zabronionym owocem” (I, 397).

Drugim utrapieniem dnia codziennego były ogromne odległości. Wszędzie było daleko. Ok. 8 km od Usola do Aleksandrowska, które Sabiński prawie regularnie pokonywał na piechotę – to było równo tyle, co od naszego specposiołku Karnalitowy Rudnik do szpitala miejskiego w mieście Solikamsk, do którego codziennie musiały dojść na piechotę moja mama i ciocia. Szczególnie trudno i niebezpiecznie było w zimie, gdy na przebiegającą przez las ścieżkę czasami wychodziły wilki. Kiedy w mroźnej mgłę widziało się w oddali jakiś

ciemny poruszający się punkt nigdy nie było wiadomo, czy to człowiek czy zwierzę. Specyficzne wycie wilków pamiętam do dziś dnia. Do klasy piątej też musiałam przez jakiś czas chodzić tą samą drogą. Kiedy wyjeżdżałam do Polski jeden z leningradzkich profesorów podał argument nie do odparcia – pozbędzie się pani tych koszmarnych odległości.

Wszystko można obrzydzić człowiekowi, nawet las. 7 kwietnia 1840 r. oglądając przez lunetę z wieży strażniczej otaczający teren, Sabiński z Leopoldem Niemirowskim próbują „uważać okolice”, co jednak się nie udaje. Bo „Gór Sajańskich pasmo lasem jest zasłonięte zupełnie i wszędzie las przekłety ograniczał naszą ciekawość” (I, 226). Moja mama, która w wieku 20 lat poznała wszystkie wdzięki lasu na jego wyrębach, wprost nienawidziła go. Będąc ciężko chorą, nieprzytomną, w szpitalu w Warszawie powtarzała: „Nie chcę do lasu”.

Mimo ogromnych odległości czasowych warunki bytowania opisane przez Sabińskiego, były mi jakoś dziwnie znane. 8 lutego 1840 r. „odstępując gospodarzowi mieszkania” 2 pudy należnej mu mąki żytniej „rządowej”, przy 2-ch funtach soli, Sabiński dostaje mieszkanie na miesiąc, dwie szklanki gorącego mleka co rano, do tego niewielki kawałek chleba, opał, wodę i samowar na żądanie. To była już prawie scena z mojego dzieciństwa (ok. 1943-1944 r.). Za moją kartkę chlebową dziecięcą miejscowi dawali nam pół litra mleka, wszystko pozostałe trzeba było załatwić we własnym zakresie.

Czytając o portretach i pejzażach, malowanych przez L. Niemirowskiego dla miejscowych notabli, żywo wspominam mieszkanie swojej szkolnej koleżanki, gdzie mieściła się cała mała galeria sztuki, wykonana przez więźniów GUŁAGU. Jej ojciec był księgowym w Usollagu.

Żywo pamiętam, jak brakowało mojej mamie i cioci polskich kalendarzy. I znów Sabiński: 14 lutego 1845 r., ciesząc się z powodu przysłania przez Xawerę Grocholską „kilkunastu kalendarzy”, zapisuje:

[...] w pustyni albo wśród obcych [...] mową i wiarą ludów, bardzo pożądaną, musi być rzeczą [...] skazówka do obchodzenia świąt swojego kościoła i zachowywania swojej wiary przepisów ażeby na wygnaniu nawet nie zbaczać z drogi pobożnego ojców zwyczaju (II, 115).

Kiedy w 1962 r. – po spotkaniu z wujkiem, którego nie widziała od 1922 r. – mama wracała z Polski do Rosji, też wiozła kilka pamiątkowych kalendarzy dla siebie i znajomych. Wszystkie zostały zabrane przez sowieckich celników.

Jako wnikliwy obserwator Sabiński nie mógł nie zauważyć i nie odnotować pewnej cechy życia rosyjskiego, którą Borys Pasternak później określił jako „dwojeduszyje wozwiedionnoje w sistemu” (w swobodnym tłumaczeniu: dwulicowość doprowadzona do systemu). Chodzi o to, że miejscowa i krajowa administracja, szczególnie w tak oddalonym od centrum regionie, jakim była Syberia, nie zawsze ściśle przestrzegała odgórnych rozporządzeń. W jakimś sensie mieściło się to w formułce: „Do Boga wysoko, do Cara daleko”. Obserwując na co dzień tzw. przestępców politycznych, do których zaliczano przeważnie Polaków, władze miejscowe nie obawiały się ich poglądów czy zasad moralnych. Ich obawy wywoływał jedynie strach przed władzą wyższą. Sytuacja ta również znalazła odbicie w *Dzienniku* Sabińskiego. 30 kwietnia 1842 r. zastanawiając się nad postępowaniem naczelnika zakładów solnych w Usolu pułkownika Mewiusa, którego dzieci Sabiński uczył języków obcych i innych przedmiotów, a jednocześnie czę-

stawiany był za oddzielnym stołem obiadem razem z innymi „przestępcami”, nasz zesłańcic zdumiewał się tym fenomenem. „Jak gdyby na mniej odważał się – pisał – tymże samym ludziom powierzając wychowanie swoich dzieci, a przez to wpływ na ich uczucia i sposób myślenia” (I, 389).

Bardzo ciekawą notę przytacza Sabiński w dniu 21 listopada 1845 r. Choćdzi o to, że w domach urzędników spotyka się on z rewidującym Syberię senatorem Iwanem N. Tołstojem. Swoją kulturą i wykształceniem robi wrażenie na senatorze. Ten dowiadyuje się od Sabińskiego o istocie i szczegółach jego sprawy. Uznaje ją za nie odpowiadającą ciężkości kary. Próbuje pomóc zesłańcowi. Od siebie zwraca się do zastępcy szefa III oddziału Kancelarii JCM hr. Orłowa o przyspieszenie uwolnienia Sabińskiego (II, 170-171). Po długim oczekiwaniu nadchodzi odpowiedź z Sankt-Petersburga. Senator zaprasza Sabińskiego na rozmowę. Powiadamia tego ostatniego, że niestety dostał odpowiedź odmowną. Co się dzieje dalej? Senator mówi Sabińskiemu, że odpowiedź hr. Orłowa „nie zaspakaja jego życzeń [...] Bo Orłow twierdzi, że [...] nie było przykładu [...] by kto ze skazanych na ciężkie roboty otrzymał tak prędko powrót do kraju [...]”. Wg senatora, to jest „niewłaściwa” przyczyna odmowy. Na koniec biesiady zauważa z uśmiechem: „Wszak wszystko ma swój początek”. „Dziękowałem mu za jego dobre chęci” – kończy Sabiński. Nie umiem sobie wyobrazić tego rodzaju rozmowy pomiędzy rewizorem OGPU-KGB a więźniem GUŁAGU.

W końcu 1843 r. Sabiński zostaje uwolniony od „robót” czyli katorgi i przeniesiony na tzw. posielenie, które nazywa osadnictwem. Jasne, że się cieszy, bo ta forma niewoli dawała „większą możność rozporządzania sobą i swoim czasem”. Kim byli i jak wyglądali owi posieleńcy wiedziałam już z osobistego doświadczenia. Kolejnymi szefami oddziału położnictwa i ginekologii w miejskim szpitalu m. Solikamsk byli znajdujące się na posieleniu wrogowie ludu: Izaak J. Lewitan, zaś w latach ok. 1946-1948 Wiera A. Karajewa, bratowa znanego kompozytora azerskiego Kara-Karajewa. W tym czasie dwie jej córki przebywały w domu dziecka na Sachalinie. Doktor Karajewa była wspaniałym lekarzem, specjalistą wysokiej klasy i kultury osobistej. Z wyjątkową serdecznością podchodziła do dzieci swoich współpracowników. Nie mogłam nie wspomnieć o tym, czytając wpis z 20 grudnia 1844 r. Sabińskiego: „O czemuz są stracone dla moich sierot te starania i czas, które dla cudzych dzieci poświęcam” (II, 101). Ok. 1950 r. doktor Karajewą przeniesiono do innego posielenia, miasteczka Czernogorsk w Ałtaju, gdzie miała uruchomić nowy oddział położnictwa w miejscowym szpitalu. Do wyjazdu została odprowadzona oczywiście pod eskortą GPU.

Były też i bezpośrednie kontakty z posieleńcami. W szóstej-siódmej klasie szkoły języka angielskiego uczyła mnie moskwiczanka Aleksandra W. Metreweli, która towarzyszyła mężowi już wypuszczonemu z więzienia, ale jeszcze znajdującemu się na posieleniu. Naszym kółkiem dramatycznym w szkole średniej, prowadzonym na dobrym poziomie, kierował profesjonalny aktor-posieleniec Eugeniusz I. Iwanow, pochodzący z Leningradu. Był to bardzo ciekawy i uwielbiany przez nas człowiek, z którym wystawialiśmy poważne, kilkuaktowe sztuki, m.in. jeden ze znanych utworów W. Rozowa *Jej Przyjaciele* [W. Rozov, *Jejo družja*]. Była to pierwsza w tym okresie (1954 r.) sztuka, poświęcona problemom zwykłych ludzi i nie mówiąca o kierowniczej roli partii.

W czasie beztróskich wakacji, spędzanych często na brzegach rzeki Usołki, z zachwytem obserwowaliśmy niesamowite popisy pływaka Lewczenki, również posieleńca. Ludzie mówili, że był on czempionem ZSRR i przepływał Dunaj. Nie wiem czym się naraził władzy sowieckiej, ale patrząc na jego pływanie można było uwierzyć, że człowiek kiedyś wyłonił się z wody. Jednym słowem, posieleniec był dla nas znajomą i bliską postacią. Dlatego tak łatwo było mi rozumieć Sabińskiego.

Dobrze nam było znane również wysyłanie listów w cudzych kopertach – to, co Sabiński określa jak „pisywanie drogą urzędową” (I, 277). W *Dzienniku* widzimy wiele przykładów, kiedy w tym procederze uczestniczyli przedstawiciele różnych szczebli administracji albo członkowie ich rodzin. 11 października 1845 r. żona generał-gubernatora Syberii Wschodniej zaproponowała Sabińskiemu przesyłanie listów bezpośrednio od siebie, omijając cenzurę (II, 162). To doświadczenie przydało się, na przykład, mojej rodzinie, kiedy w latach 1960-1970 przyszło nam korespondować – będąc w ZSRR – z wujkiem przebywającym w USA. Adresowane do niego listy najpierw były wysyłane do jego bliskiego przyjaciela w Gdyni, gdzie przekładano je do nowej koperty i wysyłano do USA. Samo się rozumie, że treść listu musiała być dobrze przemyślana.

Dobrze była znana gotowość i chęć urzędników do przyjęcia różnej formy podarków za wykonanie swoich obowiązków służbowych, czyli małe łapówkarstwo, które było pewnym zbawieniem. 5 czerwca 1842 r. (I, 395) Sabiński pisze o ekspedytorze, od którego zależało „szanowanie listów i posyłek wygnańców”. Tamtemu zepsuła się strzelba. Prosił Sabińskiego o oddanie jej do naprawy znajomemu rzemieślnikowi. Usterka okazała się większa niż przedtem myślano. Coś w ogóle trzeba było dorobić na nowo. Cena wzrastała.

Po kilku miesiącach kłopotu i codziennego chodzenia – zapisał Sabiński 5 czerwca 1842 r. (I, 395) – wymęczyłem strzelbę dla p. ekspedytora gubernatorskiej kancelarii w Irkucku. W lutym jeszcze miała być gotowa za 2 tygodnie, a dziś dopiero przyniósł ją p. Miszka, bardzo zręczny, to prawda, ale też najzawodniejszy w świecie rzemieślnik.

Trzeba było zapłacić 20 rubli asygnacjami. Cena duża jak dla zesłańca.

Ale – kontynuuje Sabiński – nie będę żałował pieniędzy, jeżeli podarek ten wzbudzi w panu ekspedytorze większe niż dotąd szanowanie listów i posyłek, jakie w jego ręku dla wygnańców bywają. Podobne podarki odebrał już od moich kolegów, z kolei przemówił się i do mnie.

Obawy o swoje listy i posyłki miały solidne podstawy. Jak znów pisze Sabiński, 3 lipca 1842 r. stwierdzono, że naczelnik wydziału w urzędzie gubernatora cywilnego w ciągu ostatnich 3-ich lat skradł polskim i rosyjskim zesłańcom 20 tys. rubli (I, 400).

Wspominam opowiadanie swojej mamy, jak będąc na zesłaniu jeszcze w posesiołku Siergijewskim na Uralu Północnym w tajdze, dostali zawiadomienie o nadejściu paczki z Polski. Z wielkim trudem donieśli do swojego baraku jakieś wyjątkowo ciężkie pudło, w którym okazało się że są dwie wielkie cegły, starrannie zawinięte w stare gazety.

Bardzo charakterystyczną cechą życia rosyjskiego był – i jest po części nadal – brak rzemieślników. Stąd m.in. bardzo często prymitywnie urządzone mieszkania itd. Sabiński poświęca niemało miejsca opisywaniu prób ocieplenia

swego mieszkania. Tego mankamentu miejscowi jakby nie zauważają. 11 listopada 1841 r. Sabiński zapisuje:

Ciupa moja zaczyna być mieszkaniem całe niedogodnym na zimę. Wieje w niej z podłogi i przez ściany. Odkąd nastały mrozy sybirskie, coraz trudniej mi wytrzymać je, osobiście w nocy... Umyśliłem sobie pokryć obiciem ściany mojego mieszkania... Dziś przez cały ranek daremnie szukałem wołoków do tego obicia. Obiecują na później, a tym czasem rad nierad muszę jeszcze marznąć” (I, 351).

19 listopada wołoki wreszcie dostarczono, ale jeszcze 27 XI 1841 r. Sabiński notuje:

To rzecz przeklęta, jak trudno tu doczekać się jakiego bądź rzemieślnika. Odkąd mam już wołoki, co dnia staram się znaleźć kogoś, żeby zrobił listewki do tego obicia potrzebne. Całej roboty nie będzie i na godzinę, zapewniłem, że za to zapłacę natychmiast, a przecież ledwo dziś mogłem na jutro otrzymać tę fraszkę”. Dopiero po dwu dniach, czyli 29 listopada 1841 r. „ściany i drzwi zostały wołokami obite (I, 354).

Sabiński niejednokrotnie podkreślał, że dom wygodny to jest dom nie „po sibirsku zbudowany” (I, 276). 4 lipca 1842 r. po odwiedzinach kolegi współwygnańca zanotował:

Szczepkowski pokazał mnie zrobiony przez siebie planik do przebudowania swojego domu. Jeśli wykona, jak narysował, to będzie miał przystojne, wygodne i nie po sibirsku urządzone mieszkanie. Ale nie zaczawszy jeszcze tej roboty ludzi się urojeniem, że ją skończy przed zimą (I, 400).

Niemniej ciekawą była również przygoda Sabińskiego z jego „obrączką ślubną”. Ten drogi dla niego przedmiot nagle się zepsuł, co napełniło Sabińskiego „niepokojem”. „Nie żebym wątpił o możliwość naprawienia, bo czegoż nie potrafi zrobić kunsztmistrz tutejszy Miszka”. Obawa tkwiła w tym, że ów kunsztmistrz najczęściej robotę wymagającą dwóch godzin potrafił „przewlekać do kilkunastu nawet miesięcy”. Na szczęście w dobrą trafił porę i Miszka tego samego dnia naprawił ten „drogi pierścień”.

Prawda – tłumaczy Sabiński – że zapewniłem mu dwa razy tyle ile żądał za tę robotę, i że od piątej rano do jedenastej nieodstępnie przy nim siedziałem. Ale za to nie dłużej nad te kilka godzin byłem rozdzielony z moją obrączką, z którą, oto blisko już przez 9 lat nie rozstawałem się nigdy. Naprawił ją zgrabnie. Lecz dziwnaż jest zřęczność w człowieku, który dostał się tu za fałszowanie asygnat i polimperialów (I, 450).

Moi goście z Rosji w latach 1990-ch nie mogli uwierzyć, że w domu znajdującym się w odludnym lesie można zainstalować wodociąg, kanalizację, gorącą wodę, centralne ogrzewanie, telefon. Zupełnie wykraczała poza wyobraźnię obecność dwóch łazienek w jednym domu. Słyszałam od wiarygodnych świadków, że podobna okoliczność zadziwiała także wysokiej rangi sowieckich wojskowych po wkroczeniu do Niemiec w czasie II wojny światowej. Na pytanie moich gości, kto mógł to wszystko wykonać, odpowiadałam: „Rzemieślnicy wiejscy”. Wtedy nie potrafili zrozumieć kto to taki.

Były jednak zjawiska, które diametralnie różniły się od sowieckiej rzeczywistości zesłańczej. Był to stosunek miejscowej ludności i władz do polskich ze-

słańców i Polaków w ogóle. „Miłe w samym smutku – notował Sabiński 1 lutego 1840 r. – mamy wrażenie, postrzegając we wszystkich tutejszej każdej klasy mieszkańcach przychylność ku nam, szacunek i poszanowanie [...]” (I, 207). Tę ogólną tezę Sabiński potwierdza licznymi przykładami. Narzeczony córki naczelnika zakładów solnych w Syberii Wschodniej pułkownika Andrzeja Mewiusa, rotmistrz żandarmerii Włodzimierz Połtoranow, przebywając w Głównym Zakładzie Nerczyńskim uczył się *Pieśni Porannej (Kiedy ranne wstają zorze Karpieńskiego)*, przepisanej rosyjskimi literami, żeby móc „przed swoją narzeczoną pochwalić się umiejętnością śpiewania pieśni całej” (I, 269). Wrażenie to nie zmieniło się w ciągu całego roku, gdyż 27 października 1840 r. znów stwierdził, że „ogólnie mówiąc, nierzadko trafia się tu napotykać wielbicieli języka naszego” (I, 269). Języka polskiego chcieli się uczyć tak przedstawiciele klasy kupiecko-przedsiębiorczej, jak i inteligencko-urzędniczej. Nie było to źle widziane.

Trzeba też przyznać, że władza rosyjska w XIX w. nigdy nie dawała takich wytycznych, jakie np. określił w swoim wierszu *Białe Wilki [Biełyje wolki]* poeta sowiecki Włodzimierz Ługowskoj. Wiersz został napisany w 1939 r. i opublikowany w zbiorze *Oswoboditielnyj pochod [Oswoboditielnyj pochod]*, wyd. w 1940 r. Brzmiało to następująco:

Na smieniu rozgromlennym w prach korpusam, posledyszy wołki briedut po lesam [...] Towariszcz bojec, bud' wsiegda naczieku [...] Goni, istrieblaj etu swołocz nocznuju. Ubiej, unicztoż etu staju wołkow, pust' bratskuju ziemlu oni nie pozoriat [...] Nie żyć wam, nie krastsia, nie włastwować bolsze... Proklatyje wołki panskój Polszy,

co tłumaczy się następująco:

Po rozgromionych w proch korpusach, wilki niedobitki czają się w lasach [...] Towaryszcz bojec, bądź zawsze czujny [...] Goń, niszcź tę nocną swołocz [...] Zabijaj, wytrzebaj tę sforę wilków, żeby nie hańbiły one braterskiej ziemi [...] Nie żyć wam, nie skradać się, nie rządzić więcej. Przeklęte wilki pańskiej Polski.

Temat „Obraz polskich jeńców w propagandzie sowieckiej 1939-1941 l.” [*Obraz polskich wojennoplennych w sowietskiej propagandzie 1939-1941g.*] został poruszony w ciekawym artykule Julii Bujanowej, opublikowanym w tomie *Istoriczeskaja Polonika XX wiek*. Były to prace zwycięzców pierwszego konkursu prac studenckich i doktoranckich pt.: „ZSSR i Polska w polityce międzynarodowej, XX w.”, poświęconych pamięci prof. O. N. Kena, Sankt Petersburg 2009 r., s. (62-75). Niestety tego wątku sprawdzić na podstawie własnych doświadczeń nie mogłam z racji swego wieku. Wiem jednak, że moi wujkowie zapłacili życiem za deklarowanie się Polakami.

Czy znane mi były przypadki pomagania innym jako Polakom? Otóż żona protoierieja prawosławnej cerkwi w m. Perm na Uralu Elizawieta Żochowa opowiadała mi, że w czasie II wojny światowej, mieszkając w obwodzie archangielskim, była kierowniczką przedszkola, do którego przyprawiano również polskie dzieci. W pewnym momencie zauważyła, że rano, przed śniadaniem opiekunki tych dzieci ze swoimi podopiecznymi jakby starały się na krótki moment odosobnić się. Domyśliła się, że chcą pomodlić się. Nie tłumacząc powodu, zarządziła personelowi nie wchodzić do ich pomieszczenia w tym czasie. Nic podobnego nie potrzebowali Sabiński i jego współtowarzysze. Ich życie re-

ligijne przebiegało bez żadnych zakłóceń.

Takiego spontanicznego współczucia, bez okazywania i demonstracji było na pewno więcej. Jakiś czas po wojnie, gdzieś w latach 1947-1949, pewnego dnia moja mama wracała z pracy, ze szpitala miejskiego w m. Solikamsk na Uralu. Podszedł do niej bardzo wyniszczony mężczyzna i łamanym językiem rosyjskim poprosił o wsparcie. Mówił po rosyjsku z wielką trudnością. Słyszając mocny polski akcent, mama poprosiła go, by mówił po polsku. Rzucił się całować ją po rękach. Prosił o kilka kopiejek. Mama oddała mu wszystko, co uzbierała w torebce. Były to 3 ruble, nie miała dla nas suma. Mama później żałowała tylko jednego, że nie miała nic więcej. Zaprosić go do domu na jakiś poczęstunek nie mogła, ponieważ mieszkaliśmy wtedy w specposiołku, położonym o ok. 8 km od Solikamska.

Jak wyglądała u Sabińskiego ogólna ocena zesłania-wygnania? Był on skazany początkowo na roboty katorżnicze, zaś później przeniesiony na osiedlenie. Stereotyp kazałby nam widzieć kopalnie, twierdze lub fabryki. W przypadku Sabińskiego i jego współtowarzyszy, zesłanych w 1839 r., tego faktycznie nie było. Po ciężkiej drodze na katorgę, korzystali oni ze stosunkowo swobodnego poruszania się, oczywiście w określonych granicach; mieli możliwości pracy zarobkowej, uczyli dzieci wysokopostawionych urzędników, kupców lub przedsiębiorców w ich własnych domach, byli zapraszani tam na poczęstunki i święta; korzystali z ich pomocy w przesyłaniu korespondencji, prenumerowali pisma i gazety. Mieszkali w wynajętych przez siebie domach lub kwaterach. Prawie swobodnie kontaktowali się z rosyjskimi wygnańcami z 1826 roku (dekabrystami). Przedstawiciele administracji przywozili im książki i pisma od nich. Mieli możliwość okazywania sobie wzajemnej pomocy w szerokim zakresie. Mogli otrzymywać przesyłki rzeczowe i pieniężne od swoich rodzin. Takie rzeczy były niemożliwe na zesłaniu sowieckim. Mimo to „wygnanie – stwierdzał Sabiński – wszystko swoim kirem pokrywa” (II, 259, 1847 r.), zaś uczucia zesłańca równają się słowu „cierpienia” (I, 265).

Co było oprócz syberyjskiego życia, „gdzie obrót listów trwał po półroku, zamiecie przez całe tygodnie, zaś beznadziejna syberyjska nuda nie kończyła się nigdy”, tak złego na zesłaniu? Pod koniec 1840 r., 1 grudnia Sabiński tak odpowiadał na wyżej postawione pytanie:

[...] przekłeta dola dzisiejsza, w której czas mój, czynności, kroki nie do mnie należą [...] Cała moja istota [...] jak bydle lub nieożywiony przedmiot jest w samowolnym drugich rozrządzaniu! Kiedy o kilka godzin, nie o chwile swobody, ale przynajmniej nie tak ciężko skrupowanego oddychania żebrać muszę jak o jałmużnę i zbyt często lodowatej doświadczam odmowy” [I.275-276]. Jego smutku nie mogły rozwiać nawet weselsze chwile, powiedzmy rozrywkowe. Po balu u wspomnianego wyżej Mewiusa 5 stycznia 1841 roku znów notował: „Okropne widma wygnania i utraty [...] mrozą uczucia, zatrują pokarmy, oniemiają rozmowę” tych, którzy nie są „śród swoich w domu, w ojczyźnie” (I, 288).

Mijały lata, kończył się trzeci rok zesłania, które nie stawało się milsze:

30 września 1842 r. [...] w duszy mojej odzywa się zawsze nie zatłumiony głos [...] najświętszych uczuć, wołający pomsty u Boga za to, że jestem barbarzyńskiego gwałtu ofiarą, że nie tu być powinienem, lecz tam gdziebym chciał i gdzie jeszcze mógł zostać przydatnym dzieciom, rodzinie, spółziomkom, ojczyźnie.

I to właśnie było dla Sabińskiego (i nie tylko dla niego) najważniejszym nieszczęściem wygnania, że człowiek był jakby zawieszony w tymczasowości,

w próżni i czekał mimo woli, aż ten stan się skończy. Czytając *Dziennik* Sabińskiego nie odnosi się w żadnym wypadku wrażenia, że się nudził. Odwrotnie, raczej brakowało mu na wszystko czasu. Wydawało by się, że nastąpi przynajmniej przyzwyczajenie, ale nadchodzi 1843 r. i znów czytamy: „30.09.1843. Pięć lat minęło jak jestem niewolnikiem, przemocną zemstą rzucony [...] na dowolną pastwę ciemnej, nienawistnej, nikczemnej służalczej zgrai [...]” (I, 486). Mijają dwa tygodnie i 15.10.1843 Sabiński znów pisze o „nieznośniej nudocie życia włóczęgo się bez pożytku i celu” (I, 489).

Pod koniec listopada, dokładnie 22 XI 1843 r. Sabiński zostaje zwolniony z katorgi i przeniesiony na tzw. osadnika, jak to już wspomniano. Cieszy się za siebie i swoich współtowarzyszy:

[...] nakoniec wyjdziemy z tego obmierzłego zakładu, w którym wszystkie kroki nasze krępowane były nieznośną i poniżającą podległością [...] gdzie ja osobiście, w ostatnich dwóch latach byłem jak na łańcuchu (I, 499).

A przecież w tym zakładzie uczył języków obcych córki swego naczelnika, był zapraszany na obiady, tyle, że za osobnym stołem, co go boleśnie raniło. Nic nie mogło zastąpić spotkania i rozmowy „ze swoim, o swoich i w swojej mowie, której nie kaziły obce uczucia, nie pstrzyły cudze wyrazy, ani też obce twarze” (II, 176). Jednym słowem zesłanie było dla Sabińskiego zawsze jak „obmierzły męczonych i męczących łotrów stek” (I, 486).

Cennym fragmentem *Dziennika* Sabińskiego są karty, poświęcone wygnańcom rosyjskim, tzn. dekabrystom. Są to świadectwa naocznych świadków, zarejestrowane na bieżąco, wyjątkowo spostrzegawcze charakterystyki wielu znanych, owszem, postaci, ale zawsze uzupełnione i ożywione własnymi obserwacjami wieloletniego szczerzego przyjaciela rosyjskich wygnańców, który w ciągu kilku lat znajdował się z nimi w bardzo bliskich kontaktach. W jego *Dzienniku* m.in. znalazły odzwierciedlenie tragiczne wydarzenia z ich wspólnego życia. Takie, np. jak nagła śmierć dekabrysty Aleksego Juszniewskiego dosłownie nad trumną jego współtowarzysza Fiodora Wadkowskiego w czasie mszy żałobnej w kościele katolickim w Irkucku.

Tylko ktoś wszystko i właściwie rozumiejący, kim niewątpliwie był Sabiński, mógł zanotować jako najważniejsze wydarzenie w dn. 26 stycznia 1846 r.: „uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę czcigodnej pamięci Michała Łunina”. Zdawał sobie sprawę jakiej rangi człowieka zabrakło. M. Łunin – uczestnik wojny 1812 r. i wszystkich marszów zagranicznych 1813 r., człowiek o nadzwyczajnej odwadze, kulturze i sile ducha, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli dekabryzmu. Skazany na 20 lat katorgi w 1826 r. odbywał karę w najcięższych więzieniach katorżniczych i kopalniach, od 1836 r. przebywał na osadnictwie w gub. irkuckiej. W 1841 r., rzekomo, za znaleziony podczas rewizji rękopis pt. *Spojrzenie na tajną organizację w Rosji. 1816-1826 r.*, został ponownie aresztowany i osadzony w jednym z najbardziej rygorystycznych więzień katorżniczych w Akatui, gdzie w niewyjaśnionych do końca okolicznościach zmarł w 1845 r. (J. Trynkowski, *Drugi areszt dekabrysty M. S. Łunina*, [w:] *Polscy zesłańcy w Rosji w XIX-XX w. Ośrodki regionalne*, Kazań 1998 (1999), s. 196-200). Śmierć Łunina wywołała wielkie poruszenie w środowisku zesłańczym, wiele osób nie wierzyło w jej naturalny charakter.

Dla Sabińskiego, biorącego udział w mszy żałobnej, najbardziej wzrusza-

jącym momentem było zachowanie byłego generała, również uczestnika wojen 1812-1813 r., dekabrysty Sergieja Wołkońskiego: „przez cały czas nabożeństwa zalanego łzami” (II, 185). Sabiński nadzwyczaj trafnie określił powody dla których S. Wołkoński „żywiej od innych swoich towarzyszy” odczuwał „stratę zmarłego”, bo „opłakiwał w nim najdawniejszego swojej młodości i lat męskich przyjaciela”. Wynika z tego, że Sabiński musiał dobrze znać historię tych dwóch ludzi.

Żałować należy, że Sabiński nie zapisał treści rozmów tak z Polakami, jak i z Rosjanami, chociaż jest to całkiem zrozumiałe. „Płochiję pieśni sołowju w kogtiach u koszki” (Marnie się śpiewa słowikowi w pazurach kota) – mówi rosyjskie przysłowie. To byli ludzie „podnadzornyje” i samocenzura była niezbędnym warunkiem ich przetrwania. Tylko w kilku przypadkach Sabiński ledwo zaznaczył temat bardzo interesującej rozmowy, m.in. kiedy zanotował, że przez pewną noc słuchał „z chciwością” szczegółów sprawy dekabrystów z 1826 r. w rozmowie z Sergiuszem Trubeckim, b. pułkownikiem, jednym z liderów ruchu dekabrystów. Trochę szerzej przedstawił swój pogląd na wychowanie chłopców zazwyczaj rozpieszczanych przez matki. Tym razem chodziło o syna Wołkońskich, matką którego była wielce szanowana przez Sabińskiego Maria Wołkońska. Mimo prawie uwielbiania tej osoby Sabiński miał zastrzeżenia co do wychowania przez nią syna. Ojciec chłopca zgadzał się z Sabińskim.

Bardziej szczegółowo przedstawił Sabiński dyskusję o możliwościach języków polskiego i rosyjskiego (II, 97-98). Rosyjskiego nie znał za dobrze – w odróżnieniu od języków zachodnioeuropejskich – jednak uważał, że język polski jako wcześniej ukształtowany miał większe możliwości wyrazu. Notując fakt rozmowy oceniał nie jej temat, lecz raczej charakter rozmówcy, stan jego wiedzy, zdolności umysłu i możliwość wzajemnego zrozumienia. Mówiąc o następnym wybitnym dekabryście Nikicie Murawjewowie, pisał: Z wielką przyjemnością i pożytkiem słuchałem jego zajmującej rozmowy. Gruntownie uczony i jak widać odczytany wielostronnie, mówił dobrze w różnych przedmiotach, wiele myśli głębokich i całe nowych postrzeżeń, wyrażając powabnie i trafnie. (I, 284). To był zapis z 28 grudnia 1840 r. Następnego dnia, po przegadanej całej nocy z innym dekabrystą – „młodszym Poggio” – znów nie żałował czasu straconego dla odpoczynku, bo „przynajmniej pokrzepił się nieco orzeźwiająjącym wrażeniem społeczeństwa duszy i myśli mojej odpowiedniego, do jakiego nawykłem całe życie”. Te zapisy chyba nie wymagają komentarzy.

Natomiast, jeżeli chodzi o zrozumienie ogólnej problematyki dekabryzmu, który jako ruch powstawał w narodowo niepodległym państwie, była ona raczej nie do końca jasna dla Sabińskiego. Jako Polak interesował się przede wszystkim niepodległością swojego kraju, zaś w innych imponowała mu ich erudycja, intelekt i przymioty moralne. Z tego właśnie punktu widzenia oceniał swoich przyjaciół Rosjan.

Jasne, że te przypadkowe i bardzo subiektywne uwagi, wywołane lekturą *Dziennika* Sabińskiego, w żadnym stopniu nie wyczerpują jego nadzwyczajnie bogatych treści, wyrażonych do tegoż wspinałą polszczyzną. Jest to zajmujące czytanie i bardzo cenne źródło dla opracowania wielu zagadnień polsko-syberyjskiej rzeczywistości I połowy XIX w. i nie tylko.

Reasumując, można przyznać, że Rosja w XIX w. nawet pod rządami ce-

sarza Mikołaja I, była zupełnie innym krajem niż Związek Sowiecki, co znalazło swoje odbicie i w ogólnych warunkach zesłania. W dziejach naszego wschodniego sąsiada zawsze był ważny aparat represji. Ale zawsze taki aparat musiał uruchomić człowiek. Na pewno możliwości owego „człowieka” w czasach sowieckich były nieporównywalnie skromniejsze niż w czasach carskich. Ale nawet w aparacie represji GUŁAGU znajdowali się tak gorliwi wykonawcy odgórných poleceń władzy wobec zesłańców, jak i urzędnicy bardziej umiarkowani. Ci ostatni, widząc bezsens niektórych drobiazgowych nakazów władzy, a często potrzebując umiejętności zesłańców dla załatwienia podstawowych potrzeb otaczającej ludności, patrzyli z przymróżeniem oka na niektóre mniej istotne wskazówki. Jak mówiło się o takim, że z własnej inicjatywy złego nic nie zrobi. A to bardzo wiele znaczyło w tych koszmarnych warunkach.

Co zaś tyczy ludności tubylczej w miejscach zesłania, to była na pewno o wiele bardziej wrogo nastawiona początkowo przeciwko „Wrogom klasowym” i wystraszona, ale z biegiem czasu siłą rzeczy przekonywała się o kłamliwości rozpowszechnianych o posieleńcach pogłosek. Fałszywe stereotypy najbardziej przełamywały dzieci. Powoli stosunki miejscowych z wygnańcami układały się całkowicie poprawnie, chociaż zawsze, o ile pamiętam, były to odosobnione od siebie społeczności.

Fundamentalne zmiany, które przeżyło cesarstwo rosyjskiej w XX wieku, nie unicestwiły tak istotnego zjawiska w życiu społeczno-politycznym kraju jakim było zesłanie. Nic zatem dziwnego, że pewne jego cechy przetrwały w określonych, jakże sroższych modyfikacjach w okresie sowieckim!

ALEKSANDRA RZEPKOWSKA

**MOTYW STROJU KOBIECEGO
W LISTACH PISANYCH NA ZEŚLANIU
W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH XX WIEKU.
STUDIUM PRZYPADKU**

Wstęp

Prezentowany tekst wpisuje się w nurt badań dotyczących życia codziennego na zesłaniu. Zgodnie z informacją zawartą w tytule jest to studium wybranego przypadku, dlatego brak w nim szerszych wniosków i uogólnień. Mam jednak nadzieję, że przedstawiona dalej analiza ujawnia pewne charakterystyczne aspekty deportacyjnej codzienności oraz poszerza dotychczasowy zasób wiedzy na temat „polskiego Sybiru”. Z uwagi na ograniczone ramy tego opracowania zdecydowałam się na gruntowne prześledzenie tylko jednego zagadnienia związanego z doświadczeniem sowieckiej deportacji, to znaczy zagadnienia ubioru kobiecego¹ – źródeł jego pochodzenia oraz sposobu użytkowania i stosunku doń w trudnych warunkach długoterminowego pobytu na Wschodzie. Materiał empiryczny, na którym opieram swój wywód, stanowi zbiór listów pisanych w latach 1951-1957 przez polską zesłankę – Zofię Stanek.² Korespondencja ta została przechowana przez Adama Głazewskiego, zwanego na jej kartach „panem Chmielowskim” lub „Dziadziem” oraz przekazana autorce tuż po jej powrocie z wygnania. Pracę nad przygotowaniem owych listów do druku Z. Stanek zakończyła w 1978 r., ale z przyczyn politycznych mogła je wydać dopiero w roku 1991. Wspomniana publikacja zyskała bezpretensjonalny tytuł *Listy z Syberii (lata 1951-1957)*, została opatrzona wstępem, posłowiem oraz wzbogacona o dodatkowe materiały dokumentujące pobyt autorki w głębi ZSRR, to znaczy o krótki cykl fotografii, a także kopie pism urzędowych wydanych jej jako zesłance przez władze sowieckie. Całość liczy nieco ponad 200 stron maszynopisu.

Sięgnięcie po zbiór listów pisanych w okresie ekspulsji jest z mojej strony celowym i zamierzonym krokiem badawczym. Uznałam bowiem, że zapiski te jako tworzone „na gorąco”, „tu i teraz” dają lepszy wgląd w omawiane zagadnienie aniżeli relacje formułowane w okresie podeportacyjnym, gdy liczne szczegóły i zdarzenia wypełniające wygnańczą codzienność mogły ulec erodującej sile zapomnienia. Analizowana przeze mnie epistolografia jest też oczywiście naznaczona piętnem braku, związanym z koniecznością stosowania auto-

¹ Pojęcie stroju, ubioru itp. rozumiem w tym artykule szeroko, obejmując nim także bieliznę, obuwie oraz rozmaite modowe dodatki i utensylia. Autorka rozważanych przeze mnie tekstów pisze głównie o własnym ubiorze na zesłaniu, stąd taka a nie inna konstrukcja mej analizy.

² Z. Stanek, *Listy z Syberii (lata 1951-1957)*, Kraków 1991.

cenzury – po to, by prześlizgnąć się przez gęste sito urzędowej kontroli.³ Mimo to zawiera ona liczne i szczegółowe informacje dotyczące stroju w warunkach zesłania – informacje, których nie udałooby się z pewnością wyłuskać z pamięci.

Zofia Stanek. Krótki rys biograficzny⁴

Zofia Stanek urodziła się w 1914 r. w Krechowie na Roztoczu Lwowsko-Tomaszowskim. Jej rodzice – Wilhelm i Zofia (z domu Rutowska) byli właścicielami okazałego dworu w tej właśnie miejscowości. Dzieciństwo i wczesna młodość Zofii upłynęły pośród pięknego roztoczańskiego krajobrazu. Do rodzinnego dworu przylegał ogród i sad, nieopodal płynęła rzeka Świnoryta oraz rozciągały się malownicze lasy, łąki i pola. Jako dziewiętnastoletnia dziewczyna Zofia została dziedziczką w Krechowie i z odwagą przystąpiła do rozbudowy swego majątku tworząc na jego terenie stawy rybne, o wiele bardziej dochodowe niż łąki. W okresie II wojny światowej szczęśliwie uniknęła wywózki do Związku Radzieckiego, a u schyłku zawieruchy wojennej zapisała się na studia rolnicze w Dublinach. Po otrzymaniu dyplomu, w latach 1949-1950, pracowała jako agronom w Stacji Traktorowej koło Lwowa. W tym czasie była też bardzo aktywna społecznie, wykonywała różne zakazane prace oraz angażowała się w pomoc potrzebującym, na przykład pomagając w przygotowywaniu paczek dla osób zesłanych w głąb imperium sowieckiego. 7 października 1950 r. Stankówna została aresztowana i przez najbliższe pół roku przebywała w więzieniu.⁵ Nie udowodniono jej żadnego przestępstwa, ale specjalny zaoczny sąd skazał ją na 10 lat deportacji. W uzasadnieniu wyroku podano, że stanowi ona „niebezpieczny element ziemiańskiego pochodzenia” i tym samym wymaga „resocjalizacji”. W 1951 r. nasza bohaterka znalazła się na dalekiej Syberii, w miejscowości Dzieńżkino na obszarze Kraju Krasnojarskiego. Przez dwa sezony pracowała przymusowo jako rybaczka łowiąc ryby na Jeniseju. Następnie, po otrzymaniu kopii swych dokumentów oraz kopii dyplomu agronoma, podjęła pracę w sowchozie w miejscowości o nazwie Kurejka. W 1957 r., dzięki staraniom Władysława Gomułki w sprawie umożliwienia zesłanym Polakom powrotu do kraju, Zofia została ewakuowana do Polski. Osiadła w Krakowie i podjęła pracę w tamtejszym Instytucie Botaniki Polskiej Akademii Nauk. W 1966 r. doktoryzowała się w krakowskiej Wyższej Szkole Rolniczej. W 1992 r. odbyła podróż sentymentalną do swego gniazda rodzinnego – do Krechowa. Wróciła z niej z obolałym sercem. Z dworu nic nie zostało, rozebrano go do cna, do ostatniego fundamentu. Sama wieś przedstawiła jej się zaś jako skrajnie spauperyzowana i

³ Niekompletność tej korespondencji wynika też z faktu, że nie wszystkie listy doszły. Przepadły zwłaszcza te pisane w najtrudniejszych czasach, przed powrotem z ZSRR w latach 1956-1957.

⁴ Wszystkie zamieszczone w tym fragmencie dane biograficzne zaczerpnęłam ze wstępu i posłowia *Listów z Syberii* oraz ze strony internetowej poświęconej życiu i twórczości Zofii Stanek. Ibidem, s. 5-6 i 220-221; <http://www.zrodlo.krakow.pl/Archiwum/2003/40/10.html> [ostatni dostęp: 17 sierpnia 2010].

⁵ Ważne informacje na temat powojennych represji zastosowanych przez ZSRR wobec obywateli Polski można znaleźć w następujących pracach: S. Ciesielski, W. Materski, A. Paczkowski, *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, Warszawa 2000, s. 19-24; S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, Toruń 2003, s. 458-475.

wynędniała. Ciężko było dawnej krechowskiej dziedzicze patrzeć ten przykry widok.

Pytana o to, co pomogło jej przetrwać trudny okres ekspulsji, Zofia niezmienne wskazywała na kilka rzeczy: głęboką wiarę w Boga, bogactwo wyobraźni i kultury wewnętrznej wyniesione z domu rodzinnego, w miarę dobre zdrowie, poczucie humoru pozwalające rozświecić nawet najczarniejsze godziny niewoli oraz paczki i listy wymieniane z najbliższymi z kraju. Przesyłki te miały dla niej oczywiste znaczenie praktyczne – pozwalały otrzymywać najświeższe nowiny i pomoc materialną z Polski, nade wszystko jednak liczyła się ich wartość uczuciowa – stwarzana przez nie możliwość „rozmowy” ponad odalą, współobecności z tymi, którzy byli jej drodzy i zawsze wierni.

Listy Zofii Stanek z zesłania

Będący przedmiotem tych rozważań plik listów stanowi bez wątpienia rzadki i drogocenny dokument z okresu pobytu na zesłaniu. Stosunkowo niewielu deportowanych miało bowiem warunki sprzyjające prowadzeniu tak szerokiej i systematycznej korespondencji. Sytuacja osób wywiezionych po zakończeniu II wojny światowej była co prawda korzystniejsza niż ich poprzedników z lat 1940-1946. Wiedziało się już bowiem wtedy, że duża liczba dawniej zesłanych wróciła do kraju, co pozwalało zachować nadzieję na szczęśliwe zakończenie własnej wygnańczej odysei. Lepsze były też warunki bytowe napotkane na dalekiej Syberii. Mimo to czas pobytu na Wschodzie był dla skazanych nań czasem trudnym i ponurym, zdominowanym przez ciężką pracę, niepewność jutra oraz tęsknotę za wolnością i dawnym życiem.

W dyskursie naukowym, także antropologicznym, codzienność jest zwykle definiowana jako świat podstawowej, normalnej i nieświadomianej rzeczywistości. Składające się na nią zjawiska i działania mają oczywisty, typowy i przewidywalny charakter. Za atrybuty codzienności uznaje się zatem swojskość, powtarzalność, rutynę oraz poczucie bezpieczeństwa.⁶ Sportretowana w listach Zofii Stankówny deportacyjna codzienność odbiega nieco od tej definicji, bo choć wypełniana jest przez szereg zwyczajnych i powtarzalnych zajęć i sytuacji, związanych na przykład z pracą, to jednak w dużej mierze pozbawiona jest znamion normalności. Wynika to oczywiście z faktu, że mamy w tym wypadku do czynienia z doświadczeniem obcej, opresyjnej i siłą narzuconej rzeczywistości. W rezultacie poszczególne jej elementy są nieustannie kwestionowane, odrzucane i nigdy nie podlegają internalizacji. W tym sensie opisywana codzienność jest, paradoksalnie, jak gdyby niecodzienna, nie do końca przystaje do swej kulturowo utrwalonej definicji. Mimo to w swoim tekście będę się posługiwała słowem „codzienność” na określenie powszedniej egzystencji wiedzianej na zesłaniu, uznając zarazem jej jakościową, a nawet ontologiczną odmienną od życia codziennego toczącego się w warunkach wolnościowych.

Jak już wspomniałam, wszystkie listy Z. Stanek zostały pieczołowicie przechowane we Lwowie i zwrócone autorce po jej powrocie do kraju w 1957 r.

⁶ Zob. W. Pawluczuk, *Potoczność i transcendencja. Intersubiektywność naszej codzienności*, Kraków 1994, s. 128-129; G. E. Karpińska, *Miejsce wyodrębnione ze świata. Przykład łódzkich kamienic czynszowych*, „Łódzkie Studia Etnograficzne” 2000, t. 37, s. 7-8.

Część z nich została wysłana na adres Julii Fulisiewicz, u której bohaterka mego tekstu mieszkała przed aresztowaniem, a część do Ludwiki Nowickiej (Francuzki z pochodzenia i nauczycielki ciotki Stankówny). Druga z wymienionych kobiet pośredniczyła też w przekazywaniu korespondencji matce Zofii, znajdującej się wówczas w zachodniej części Polski.

Pierwszy z zamieszczonych w zbiorze listów został wysłany bez znaczka pocztowego 23 maja 1951 r. z Kijowa. Pierwotnie był pisany po rosyjsku, dlatego w książce podano go w tłumaczeniu na język polski. Ostatni list, który doszedł, nosi datę 3 sierpnia 1957. Zofia Stanek granicę PRL przekroczyła zaś dopiero 8 grudnia tego roku. Widać zatem, że końcowa część jej korespondencji nie dotarła do adresatów i tym samym nie mogła zostać upamiętniona w wersji książkowej.

Omawiane listy mają różną długość. Niektóre są krótkie i zwarte, liczą kilkanaście linijek. Inne są obszernie i rozlewne, wypełniają parę kartek książki. Wszystkie one składają się na bogaty i wielowątkowy materiał epistolograficzny. Nic zresztą dziwnego. Ich autorka to wszak osoba gruntownie wykształcona, o dużej kulturze słowa i kulturze umysłowej, bystra obserwatorka oraz błyskotliwa kronikarka i interpretatorka otaczającej ją rzeczywistości, z uwagą i dużą dozą inteligencji reflektująca dookolny świat syberyjskiej zsyłki. Sporządzone przez nią zapiski przynoszą wnikliwy, wielobarwny i zniuansowany obraz deportacyjnej codzienności. Z tego właśnie powodu zdecydowałam się oprzeć na nich swą antropologiczną analizę.⁷

Motyw stroju kobiecego w zesłańczej korespondencji.

Opis wybranego przypadku⁸

Najliczniejsze i najbardziej obszernie wzmianki dotyczące stroju pojawiają się w listach pisanych w początkowym okresie pobytu Zofii Stankówny na zesłaniu. Ma to bez wątpienia związek z podejmowanymi przez nią wówczas próbami oswojenia się z nową rzeczywistością oraz zabezpieczenia swej codziennej egzystencji w jej obrębie. W drugim z zamieszczonych w książce listów, opatrzonym datą 21 lipca 1951, autorka wspomina, że tuż po przyjeździe miejscowy kołchoz dał zesłańcom 300 rubli tak zwanego awansu dla zakupienia odzieży i innych artykułów pierwszej potrzeby. Zofia niezwłocznie zaopatrzyła się więc w wysokie gumowe buty oraz fufajkę, zwaną w tamtych stronach „tielogrejką”. W tym samym liście narratorka wylicza rzeczy niezbędne w jej nowym życiu, lecz pozostawione w kraju i gorąco prosi o ich dostarczenie w paczce. Omawiany wykaz został sporządzony w sposób niezwykle metodyczny i do-

⁷ Charakter tych materiałów ma zapewne związek z płcią ich autorki. Badacze zajmujący się stylami narracyjnymi twierdzą bowiem, że teksty pisane przez kobiety są zwykle bardziej nasycone konkretem i szczegółem, drobiazgowo, prezentujące przede wszystkim codzienną egzystencję. Zob. T. Czerska, *Historia rodziny – rodzina w historii*, (w:) *Prywatne/publiczne. Gatunki pisarstwa kobiecego*, red. I. Iwasiów, Szczecin 2008, s. 196.

⁸ Dla zachowania dyscypliny i przejrzystości swojego wywodu konstruuje go w porządku chronologicznym, zgodnie z rytmem czasowym właściwym dla interesującej mnie korespondencji. Sporadycznie zdarzają się pojedyncze wtrącenia, które przelamują tę zasadę, ale jej nie unieważniają. Wtrącenia te i drobne dygresje są zawsze treściowo związane z przewodnią linią rozważań.

kładny, to znaczy nasza bohaterka przez trzy tygodnie systematycznie notowała wszelkie informacje o tym, czego jej brakuje, a następnie umieściła je w liście. Fakt ten mówi wiele o Stankównie jako o osobie, wskazuje na jej pragmatyzm, skrupulatność, zaradność oraz silnie rozwinięty zmysł organizacyjny.⁹ Cech tych dowodzi także zawartość skomponowanej przez nią listy, utworzonej z pełną świadomością specyficznych warunków panujących na zesłaniu oraz generowanych przez nie potrzeb. Rzeczami, o których przesłanie autorka prosi w swym liście, są: półkożuszek, ciepłe rękawice, rękawice gumowe, stare i znożone ubrania (zielona i czarna spódnica, kamizelka, bluzki, szara sukienka, kostiumik z szarego płótna, brązowa wiatrówka, watowana czapka), a także nocne pantofle, pończochy, skarpetki, komplet chustek: jedna w kratę, druga czarna, bardzo ciepła, do noszenia na głowie oraz biała płócienna, ponadto wszelkie stare koszulki, bo – jak sama pisze – „tu wszystko bardzo się brudzi i niszczy”.¹⁰ Pod koniec narratorka wspomina również o przyborach do szycia: igłach i niciach, paście do butów, a także o szpilkach do włosów oraz o pasku do spodni. Informuje, że pewne rzeczy musi koniecznie kupić (zwłaszcza walonek na zimę), inne uszyć (jak choćby brezentowy płaszcz), a jeszcze inne poprzerabiać stosownie do nowych obowiązków i realiów życia. Nie zapomina też okazać swej wdzięczności za już otrzymane z Polski elementy garderoby: ciepłą kurtkę, bajeczne rajtuzy, burki, skarpety i kapitalne spodnie. Warto przy tym dodać, że wyrazy nazywające pożądane i oczekiwane przez autorkę drobiazgi zostały w liście zapisane wyłuszczoną czcionką (w rękopiśmiennym oryginale były to zapewne drukowane lub pogrubione litery), co podkreśla wagę tych fragmentów oraz zaświadcza o staranności i pomysłowości Zofii w konstruowaniu zesłańczej korespondencji.¹¹

Po tym drobiazgowym wypunktowaniu swych potrzeb dotyczących ubioru następuje ciąg listów, w których Zofia raczej pomija ten temat. Widać jej oczekiwania zostały z grubsza zaspokojone i nie musiała frasować się o ten aspekt codzienności. W liście z 8 sierpnia 1951 wspomina tylko krótko, że kupiła sobie brezent na płaszcz i flanelę na ciepłą sukienkę.¹² W jednym z następnych narzeka, że tutejsza robota brutalnie niszczy odzież i że trzyma pieniądze na zakup walonek na zimę.¹³ Przy okazji dziękuje bliskim za nadesłane w paczce rzeczy i powiadamia, że ciepły szlafrok służy jej pięknie na rybałce, gdy wraca ze zmiany, a liliowa koszulka zastępuje bluzkę, którą właśnie reperuje.¹⁴ W lutym 1952 r. pisze, że miejscowe „damy”, przyodziane w tandetne, posępne

⁹ Sama narratorka nie ocenia się tak pozytywnie. Wielokrotnie narzeka na swą niegospodarność i nieporadność. Ma to oczywiście związek z jej pochodzeniem. Jako inteligentka i ziemianka nie była przyuczana do pracy fizycznej i rozmaitych zajęć praktycznych. Mimo to jej korespondencja wskazuje, że dość szybko oswoiła się z nowymi realiami życia i mimo że nie wrosła w syberyjską glebę, nie polubiła jej i nie zaakceptowała, to jednak dobrze poradziła sobie z trudami zesłańczego bytowania.

¹⁰ Z. Stanek, op. cit., s.9.

¹¹ Ibidem, s. 8-10.

¹² Ibidem, s. 10.

¹³ Ibidem, s. 13.

¹⁴ Ibidem, s. 14. Adnotacji mówiących o zastępowaniu jednych rzeczy innymi jest w rozważanym materiale więcej. Nieco dalej autorka podaje na przykład, że burki służyły jej na Syberii za domowe pantofle. Ibidem, s. 74.

„płatia” z majki, gorszą się jej szarą sukienką z krótkimi rękawkami i że wprawiła je w konsternację pokazując się któregoś dnia w szykownym białym kostiumiku. Zaraz potem dodaje, że w rezerwie ma jeszcze „zabójczą” kremową letnią sukienkę, choć przypuszcza, że niebieska w kratkę też wzbudzi sensację, choć nie ma paska, bo widocznie się zgubił. Na koniec tego fragmentu prosi o przesłanie jej pary pozostawionych w domu jedwabnych pończoch.¹⁵ Lekki i dowcipny ton tej wypowiedzi wyraźnie kontrastuje z kolejnymi wzmiankami na temat ubioru. Kilkanaście dni później Zofia notuje mianowicie, że każdy drobniaczek jest na zesłaniu bezcenny i pożyteczny. Stary beret służy jej za „podszewkę” pod czarną chustę i zabezpiecza głowę przed mrozem. Na Syberii jest tak zimno, że chustkę trzeba wiązać nisko nad czołem, by nie przemarznąć i się nie rozchorować.¹⁶ Idealnym rozwiązaniem na tutejszą zimę jest głęboka męska czapka, którą chciałaby sobie sprawić.¹⁷ Prawdziwym rarytasem okazała się też dla Zofii przysłana z kraju gumka. Dzięki niej nie musiała bowiem dłużej – jak ironicznie stwierdza – „wiązać majteczek na sznureczek”.¹⁸

Nieco dłuższa notatka na temat ubrania pojawia się znów 14 kwietnia 1952 r. Możemy się z niej dowiedzieć, że autorka prosi o dostarczenie jej kolejnej partii odzieży: szarego płóciennego kostiumu, sznurowanych pantofli, starych pończoch, beżowej bluzki, wełnianych skarpet, kawałków spódnicy, z której chce uszyć sobie wiatrówkę oraz haftek do spódniczek i paska do podwiązek. Wspomina też o owczej wełnie, z której planuje wydziergać dla siebie gruby sweter, skarpety i rękawice. Przy okazji zdradza, że szycie rękawic z różnych odpadków (na przykład z wytartych rękawów) jest na zesłaniu stałym zajęciem wszystkich kobiet – ona sama zrobiła w tym roku trzy pary, bo tak w lesie, jak i na rybałce rękawice rwą się silnie.¹⁹ W tym samym miesiącu Zofia zamieszcza w swej korespondencji krótki opis noszonego na Sybirze stroju roboczego („specodieży”). Składał się nań robiony ze skóry reniferów kożuch zwany „sakujem”, pod który wkładało się watowane spodnie, fufajkę i chustkę. „Sakuj” był zaopatrzony w gruby kaptur i szyty zawsze futrem na wierzch, gdyż inaczej włos wypadał.²⁰ Po dłuższej przerwie, 1 lipca 1952 r. Stankówna serdecznie dziękuje bliskim za przysłane rzeczy, zwłaszcza za futrzaną kamizelkę i szary wełniany kostium, który postanowiła odsprzedać, by w ten sposób zyskać nieco rubli. W sierpniu znów dziękuje za okazane jej wsparcie – tym razem w postaci pysznego paska do podwiązek i ślicznych zapinek do pończoch.²¹ Po upływie kilku dni ponownie wysłała list, w którym narzeka na boleśnie gryzące ją w czasie pracy w polu owady. Zabezpiecza się przed nimi wkładając gumowe rękawice oraz siatkę na twarz. Zarazem napomyka, że przydałaby się jej niewielka ilość jakiejś czarnej materii (gazy, markizety lub tiulu), by móc sprokurować sobie zapasową osłonę na twarz.²² W grudniu pisze o otrzymaniu futerka

¹⁵ Ibidem, s. 15.

¹⁶ Kiedy indziej zwierza się, że przy niskiej temperaturze nauczyła się ubierać jak mużułmanka, to znaczy zasłaniać chustką niby czarczafem całe usta i nos. Ibidem, s. 214.

¹⁷ Ibidem, s. 18.

¹⁸ Ibidem, s. 19.

¹⁹ Ibidem, s. 27-28.

²⁰ Ibidem, s. 29.

²¹ Ibidem, s. 44.

²² Ibidem, s. 45.

z niebieskim wierzchem,²³ a w styczniu nowego, 1953 r. o otrzymaniu kostiumu.²⁴ W marcu zwraca się z prośbą o umieszczenie w paczce proszków do farbowania tkanin, by móc za ich pomocą odświeżyć swe toalety oraz przypomina o czarnym materiale, z którego chce zrobić sobie siatkę przeciw natrętnym, kąśliwym meszkom.²⁵ Błaga też o skarpety z chłopskiej wełny – grube i ordynarne, „żelazne”, bo cienkie są u niej w sklepie, ale to niepraktyczny i bezcelowy, wręcz absurdalny zakup.²⁶ W lipcu, już z myślą o jesieni, wspomina o pozostawionym w kraju zielonym szaliku oraz zamieszcza garść bieżących informacji klimatycznych. Tegoroczne lato jest słoneczne i gorące, kobiety chodzą boso i w lekkich sukienkach, a mężczyźni w „majkach”, czyli w trykotowych koszulkach bez rękawów. Sama Zofia zakłada w te upały przewiewną niebieską sukienkę z 1938 r. i z nostalgią wspomina związane z nią dobre przedwojenne czasy.²⁷ Niedługo potem donosi o zakupieniu nowych butów rybackich (wysokich aż do pasa) oraz o swej radości z odbioru paczki z guzikami i farbą do tkanin.²⁸

W październiku dokumentuje stan swej garderoby: dwie fufajki, watawne spodnie, toaleta na święta i dużo starych szmatek na rozmaite okazje. Z białej włóczki robi sobie ciepłe, miękkie rękawiczki, a na robotę w lesie szyje rękawice z kozucha.²⁹ Pod koniec roku, w grudniu, podaje, że niedawno wydała sporo pieniędzy na ubrania, ale nie mogła się oprzeć, bo przywieziono partię solidnej konfekcji, a tu przy pracy wszystko błyskawicznie się zużywa, wymaga ciągłego sztukowania, łatania i cerowania. Nabyła zatem walonki, materiał na kostium roboczy, na wiatrówkę, dwie bluzki i koszulki – istne zakupowe szaleństwo!³⁰ W lutym 1954 r. notuje, że w drodze handlu wymiennego (za otrzymane w bożonarodzeniowej paczce z Polski osiem łańcuszków) dostała futrzane rękawice i usługę krawiecką: uszyto jej flanelową bluzkę.³¹ W marcu utyskuje, że tutejsza pogoda i warunki bytowe bardzo utrudniają utrzymanie odzieży w minimalnej przynajmniej estetycznej i higienicznej formie.³² Elementy garderoby szybko się drą, strzępią, brudzą, a także przemakają śniegiem i nasiakają potem przy ciężkiej pracy.³³ Ich konserwacja (pranie, zszywanie i cerowanie) jest długotrwałym i karkołomnym zajęciem. Wyraźnie zaznaczony motyw stroju pojawia się w korespondencji Zofii także w grudniu tego samego roku. W końcowym fragmencie listu pisanego przed świętami Bożego Narodzenia informuje ona mianowicie, że sprawiła sobie nową ciepłą chustkę na głowę i zakiet z ciemnozielonej flaneli. Własnoręcznie zrobiła też nową podszewkę do brązowej kurtki noszonej w chłodne dni (przy okazji można dodać, że brązowy to w

²³ Ibidem, s. 55.

²⁴ Ibidem, s. 59.

²⁵ Ibidem, s. 81.

²⁶ Ibidem, s. 82.

²⁷ Ibidem, s. 97.

²⁸ Ibidem, s. 102-103.

²⁹ Ibidem, s. 113.

³⁰ Ibidem, s. 122.

³¹ Ibidem, s. 137.

³² Ibidem, s. 143.

³³ Ibidem, s. 144. Uciążliwe są też na Syberii wahania temperatury – gdy rano jest ponad 20 stopni zimna, a w południe mróz ustępuje, walonki robią się od topniejącego gwałtownie śniegu i lodu miękkie jak kompot. Ibidem, s. 217.

świecie naszej bohaterki idealny kolor ubrania – maskuje on bowiem liczne zabrudzenia i zaniedbania higieniczne).³⁴ Po paru dniach Zofia znów wysłała list, w którym pisze, że surowy syberyjski klimat wymusza na niej zmianę sposobu ubierania się i myślenia o stroju. Tu myśli się o nim wszakże nie tyle w kategoriach estetycznych, co praktycznych. Zimą człowiek odziewa się zatem najcieplej jak tylko można, nakładając na ręce oprócz wielkich futrzanych rękawic również małe „perczatki”. Osobie wychowanej, jak ona, w innej tradycji i kulturze ubioru wydaje się to śmieszne, ale sprawdza się w lokalnych realiach, więc kultywuje się taką koncepcję odzienia.³⁵ Na początku 1955 r. narratorka zwierza się bliskim z kolejnych zakupów. Tym razem wykosztowała się na nową fufajkę. Co prawda pozostałe kołchoźnice kupiły sobie długie płaszcze – wszystkie jednakowe, o kroju bakłażana, ale Zofii nie stać było na taki luksus. Wielka szkoda, bo jej płaszcz zimowy, bajecznie ciepły, został już wspomnieniem.³⁶ Brak płaszcza na zimę jest jednak nader dokuczliwy, dlatego Stankówna postanawia uszyć go z sukna. Z tego samego sukna zrobiła już wprawdzie koc na rybakę, ale teraz planuje kupić koc, a sukno ponownie wykorzystać na płaszcz.³⁷

Watolinę mam z historycznej kurteczki, którą otrzymałam w sanatorium – dodaje – uzupełni się watą tutejszym zwyczajem. Podszewki są bardzo tanie, tylko robota będzie coś trochę kosztowała. Natomiast „na serio” proszę, jeśli jest jeszcze na świecie, śliczna futrzana czapeczka, którą ongiś dostałam od znajomej chemiczki i zielony szalik z bilardowego stołu naszej „krawcowej”. Jeśli mole nie zjadły starego kołnierza pod kolor czapeczki (kołnierza też „chemicznego”), który leżał w szafce z szufladami w moim pokoju, zrobiłabym takiego demona, jak nikt po mnie nie oczekuje. Wy nie oburzajcie się – to są rzeczy potrzebne w naszych warunkach – jak cię widzą, tak cię piszą.³⁸

Ostatnie zdanie tej korespondencji dowodzi, że mimo skromnych warunków życia i wzmożonej koncentracji na elementarnych aspektach codzienności (zaspokojeniu głodu, zachowaniu zdrowia i przetrwaniu) nasza bohaterka zachowała wrażliwość także na inne sprawy – nieobojętna była jej kwestia własnego wyglądu, prezencji oraz odbioru przez innych, otaczających ją ludzi. W ostatnim kwartale 1955 r. Zofia napomyka, że nabyła wreszcie wymarzony na zimę płaszcz, kożuszek i nosi się z zamiarem kupna walonek. Tak zaopatrzona nie obawia się tęgich syberyjskich mrozów.³⁹ U progu nowego, 1956 r. donosi, że uszyła sobie fufajkę z praktycznego i silnego materiału khaki i że z tego samego materiału zrobi sobie sukienkę do pracy. Musi się porządnie wyglądać – argumentuje – a prócz tego wszystko musi być ciepłe i wytrzymałe. Następnie relacjonuje, że podszyla sobie znów stare walonki, bo nowe, czarne są efektowne i eleganckie, ale niestety cienkie i chłodne. Wielce znaczące są dalsze słowa jej listu. Oto one:

³⁴ Ibidem, s. 175.

³⁵ Ibidem, s. 176.

³⁶ Ibidem, s. 182.

³⁷ Ibidem, s. 190.

³⁸ Ibidem, s. 190.

³⁹ Ibidem, s. 199.

Są to dla Was nieznanne, dzięki Bogu, pojęcia – pamiętam, jak śmialiśmy się we Lwowie z pierwszych widzianych walonków – a jest to cudowna odzież, bez której nie do pomyślenia jest zima.⁴⁰

Na wiosnę Zofia nadal prosi o czarną farbę do barwienia materiałów. Miała jedną i próbowała pofarbować nią swą szarą sukienkę, ale zrobiły się marmurki, których nie ma jak zdekoloryzować. Dalej prosi o dwie lub trzy igły do maszyny Singera (podobnie jak w pierwszym liście nazwy wymienianych przez nią drobiazgów są pisane pogrubioną czcionką, co dowodzi znaczenia tych przedmiotów dla jej codziennej egzystencji).⁴¹ W maju nasza bohaterka pyta w liście, czy nie została w domu po jakiejś cioci choć jedna przyzwoita ciemna chustka na głowę z lekkiej welenki – tu są bowiem do nabycia tylko grube „szale” – wielkie i rozłożyste chusty, toteż nie ma co włożyć na głowę.⁴² W czerwcu ponownie żali się, że na zesłaniu, przy wielogodzinnej i wysiłonej pracy, niszczy się straszną masę odzieży i obuwia. Zwierza się ponadto, że ma wśród miejscowych opinię liczykropy, gdyż nie kupiła sobie nigdy żadnych *crêpe de chiné*’ów, które są tutaj niemal obowiązkowym nabytkiem.⁴³

Przedstawione wyimki z listów Zofii Stanek wyczerpują w zasadzie temat stroju kobiecego w warunkach deportacji. W zapisie z 3 czerwca 1956 r. pojawia się jeszcze krótka wzmianka, że posiadane na Syberii rzeczy, w tym kożuch i płaszcz, nasza bohaterka chce wysłać w paczce, aby pomniejszyć swój bagaż powrotny. Potem nadaje kilka listów, w których nie podejmuje już wątku ubioru, aż w końcu wątku pajęczyna jej korespondencji gwałtownie się urywa.

Konkluzje

Na zakończenie wypada jeszcze raz powtórzyć, że prowadzona tu analiza nie ma charakteru uogólniającego, lecz ściśle partykularny i cząstkowy. Opiera się ona wszakże na listach jednej tylko osoby należącej do licznego grona Polaków skazanych w latach powojennych na przymusowy pobyt na Wschodzie. W chwili wywózki autorka tej epistolografii była młodą, 37-letnią kobietą. Nie miała męża, ani dzieci. Przed aresztowaniem i deportacją była związana ze środowiskiem inteligencji i ziemiaństwa, cechowała ją głęboka wiara w Boga, a także silna postawa społecznikowska. Jej doświadczenia i refleksje z czasów zniewolenia nie mogą więc zostać uznane za reprezentatywne dla całej społeczności wysiedleńczej, co najwyżej dla osób o zbliżonej do Stankówny wrażliwości, formacji kulturowej i sytuacji biograficznej. Uniwersalnego charakteru nie mają też z pewnością konkluzje, które postaram się wyprowadzić z przebadanego materiału. Mogą one wskazywać na pewne cechy charakterystyczne rzeczywistości zesłania (w kontekście wybranego przez mnie do analizy zagadnienia), ale są dalekie od kompletności.

Podsumowując dotychczasowe spostrzeżenia należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że motyw stroju jest stałym elementem rozpatrywanego dyskursu, jest w nim niezmiennie obecny i często przywoływany. Na równi z takimi kwestiami, jak: praca, jedzenie, sprawy mieszkaniowe, zarobkowe i

⁴⁰ Ibidem, s. 204.

⁴¹ Ibidem, s. 209.

⁴² Ibidem, s. 210.

⁴³ Ibidem, s. 211.

zdrowotne, spędzanie czasu wolnego, kontakty z innymi ludźmi napotkanymi na Syberii oraz tęsknota za opuszczonym domem i bliskimi, motyw ten wyznacza podstawową strukturę tematyczno-problemową badanych listów z zesłania. Nie jest to zresztą nic zaskakującego. Używanie ubrania jest wszak jedną z najważniejszych dyrektyw kulturowych i naturalnych ludzkich potrzeb, zwłaszcza w warunkach srogiego klimatu, w jakich przebywała nasza bohaterka.

Ogólnie rzecz biorąc można stwierdzić, że motyw stroju jest w listach Zofii Stanek związany z trojakiemu rodzaju komunikatami. Pierwsze z nich to prośby o wsparcie materialne (także w postaci odzieży) adresowane przez autorkę do odbiorców w kraju, drugie to podziękowania za przesłane dary, a trzecie to wypowiedzi o charakterze informacyjnym mówiące o tym, jakie ubrania narratorka aktualnie posiada, nosi, poddaje reperacji albo próbuje pozyskać (w drodze kupna lub samodzielnej produkcji obejmującej szycie, przerabianie, dzierganie itp.).

Jedną z właściwości świata wygnania była płynna i chybotała granica oddzielająca czas wolny od czasu pracy. Z listów Zofii Stanek wynika, że większość doby spędzała pracując; praca była tym, co nieustannie pochłaniało jej siły, myśli i energię. Bardzo wiele miejsca w jej korespondencji zajmują przeto wzmianki dotyczące stroju roboczego, który powinien być wygodny, mocny i wytrzymały. Stosunkowo niewiele wspomina się o stroju wkładanym na jakieś inne okazje, nie związane z pracą, ale na przykład z życiem towarzyskim. Brak też adnotacji dotyczących stosowania jakichś kosztownych i dekoracyjnych dodatków (największą ekstrawagancją i luksusem zdają się być wspomniane przez nią cienkie, jedwabne pończochy).

Typowy dla regionu dalekiej Syberii wzorzec pogody wymuszał wzmożoną ochronę ciała przed zimą i wilgocią, stąd tak częste w korespondencji Zofii nawiązania do wkładanych przez nią ciepłych fufajek, kozuchów, wełnianych skarpet i grubych rękawic. Prowadzony przez nią tryb życia, ciężka praca i ciągle wystawianie się na niekorzystne wpływy zewnętrzne były przyczyną szybkiego zużywania się poszczególnych części garderoby. Ich braki próbowała uzupełniać poprzez zakupy oraz własnoręczny wyrób nowych rzeczy, wielokrotną naprawę starych, rozmaite praktyki substytucyjne, a także dzięki pomocy materialnej płynącej z domu, od bliskich. Znamienne jest przy tym to, że adresowane przez nią prośby są zawsze bardzo precyzyjne i konkretne. Autorka podaje dokładne opisy strojów, o które prosi, co z jednej strony można odczytywać jako indywidualny rys charakteru odpowiadający osobie rzeczowej, uporządkowanej i skrupulatnej,⁴⁴ a z drugiej – jako zachowanie wymuszone przez bieżące realia. W sytuacji palącej potrzeby pozyskania takiego czy innego elementu przyodziewku nie można wszak pozwolić sobie na niezdecydowanie, ogólniki i nieprzejrzystość przekazu. Warte odnotowania są też wielokrotne nierzadko przypomnienia o doświadczanych przez nią brakach i niecierpliwym oczekiwaniu na tę czy inną rzecz. Wynikały one zapewne z silnie odczuwanego przez Zofię stanu deprivacji materialnej. Wielu artykułów nie mogła dostać na miejscu, bo nie było ich w sklepowym asortymencie, inne były zaś dla niej nie-

⁴⁴ Potwierdzeniem tych cech może też być fakt, iż Stankówna często podaje ceny kupowanych przez siebie ubrań. Są to z pewnością ważne informacje dla historyków tego okresu. Dla mnie jako antropologa nie były one aż tak istotne, dlatego pominęłam je w swoich dociekaniach.

dostępne ze względu na cenę. Z pewnością lubiła też używać własnych rzeczy, które jakoś przybliżały jej Lwów i dawne życie, pozwalały – by użyć sformułowania Agnieszki Maj – „zakorzenić własną biografię w wyglądzie”,⁴⁵ odzyskać przynajmniej część poprzedniej, wolnościowej tożsamości, której utratę tak boleśnie przeżywała.

Możliwości decydowania o własnym wyglądzie, swobodnego oraz przemyślanego doboru strojów i dodatków były jednak w warunkach karnego pobytu na Wschodzie mocno ograniczone. Zakładało się to, co było akurat dostępne i co sprawdzało się w lokalnych realiach. Praktycznie nie istniało tam zatem zjawisko określane w literaturze przedmiotu mianem stylu indywidualnego. Styl ten – wyjaśnia przywoływana przeze mnie przed chwilą A. Maj –

jest wypadkową norm społecznych oraz osobistej ekspresji. W zależności od indywidualnych potrzeb, styl «odślania» to, co jednostka chce, by wiedzieli o niej inni i «zasłania» to, co uważa za swoją prywatność. Przekazuje informacje, które uważa za istotne w prezentacji siebie, takie jak położenie społeczne i pozycja socjoekonomiczna czy etap w życiu, na którym się znajduje. Z drugiej strony, wyraża jej indywidualność jako osoby, informując o jej gustach [...], jak i na temat jej osobistych przekonań i wyznawanych zasad bądź ich odrzucenia (na przykład przez całkowite odrzucenie konkretnego rodzaju stroju).⁴⁶

Skoro warunki zesłańczego bytowania były tak wymagające i skromne, to czy nie jest przypadkiem nadużyciem stosowanie takich wyrazów, jak „moda” czy „modowy” w odniesieniu do codzienności wygnania? Sądzę, że nie. Moda to wszak, według najprostszej, encyklopedycznej definicji, powszechnie przyjęty w danym okresie lub na danym obszarze sposób ubierania się.⁴⁷ W świecie zesłania także obowiązywały określone wzorce i konwencje dotyczące ubioru, choć z powodu tamtejszych uwarunkowań technologicznych oraz socjoekonomicznych były one mało wyrafinowane i podlegały raczej powolnym zmianom. Nie było tam też – powtórzmy to raz jeszcze – sprzyjających okoliczności do prezentowania poprzez strój własnej odmienności i unikalności, a więc do jego prywatyzacji. Ubranie miało tam raczej niewielką moc różnicującą.⁴⁸ W sytuacji braku dostępu do szerokiego i zróżnicowanego asortymentu towarów zesłańcy ubierali się dość podobnie. W zimie nosili fufajki, walonki i ciepłe rękawice, a w miesiącach letnich standardowe lekkie ubiory – kobiety sukienki, a mężczyźni „majki”.

Równie ważne jak wypowiedzi na temat praktykowania takich lub innych typów ubioru są dla antropologa wzmianki dotyczące sposobów przechowywania oraz konserwowania poszczególnych elementów garderoby. Niestety nasza bohaterka nie podejmuje tego tematu. Gdzie na ogół trzymała swoje ubrania? W

⁴⁵ A. Maj, *W co się ubierać i jak się nie ubierać. Dylematy współczesnej mody*, [w:] *Ucieleśnienia. Ciało w zwierciadle współczesnej humanistyki. Myśl – praktyka – reprezentacja*, red. A. Wieczorkiewicz i J. Bator, Warszawa 2007, s. 257.

⁴⁶ Ibidem, s. 242. Zob. też. K.W. Back, *Modernism and Fashion: A Social Psychological Interpretation*, [w:] *The Psychology of Fashion*, red. M.R. Solomon, Washington 1985, s. 6 oraz G. Bokszańska, *Ubiór w teatrze życia społecznego*, Łódź 2004.

⁴⁷ *Encyklopedia PWN*, Warszawa 1982, s. 477.

⁴⁸ W kontekstach wolnościowych, jak zauważył Georg Simmel, moda zazwyczaj łączy te dwie przeciwstawne tendencje, a więc dążenie do społecznego zrównania i indywidualnej odrębności. W ramach mody jednostki z jednej strony manifestują więc swoją społeczną przynależność, a z drugiej – podkreślają unikalną indywidualność. G. Simmel, *Most i drzwi. Wybór esejów*, Warszawa 2006, s. 22.

walizkach, kufrach, a może w jakichś prowizorycznych choćby szafach czy innych schowkach? To interesujące pytania, ale badany materiał nie przynosi na nie klarownych odpowiedzi. Nie udało mi się także znaleźć wielu informacji dotyczących konserwacji jej zesłańczego przyodziewku. Wiadomo że łątała i cerowała podarte sztuki ubrania; dbała, by były czyste i schludne, ale jak często i w czym je prała? W balii, w okolicznych zbiornikach wodnych, w jakiejś pralni, jakich konkretnie używała środków piorących i skąd je brała? Niestety nie dowiadujemy się tego z jej listów.

Z opublikowanych przez Zofię Stanek zapisków wynika za to niezbitcie, że starała się ubierać praktycznie i stosownie do okoliczności. Ważne było dla niej, by strój zapewniał ciału maksymalny komfort termiczny i był wygodny, a więc na przykład, by nie przeszkadzał w pracy. Wytrwale oszczędzała swą odzież, chociaż jeśli nadarzała się okazja, lubiła wyglądać szykownie i powabnie. Zwracała uwagę na inne kobiety i podejmowała wysiłki, by nie prezentować się gorzej niż one. Trudy zesłańczego bytowania nie pozbawiły jej kobiecości, nie odebrały poczucia estetyki i szczypty próżności.

Z czasem nasza bohaterka w pełni przyswoiła sobie kanony miejscowej mody, przywykła do ubierania się „na cebulę”, do osłaniania twarzy chustką niby czarczafem, by mróz nie kąsał delikatnej skóry twarzy, a także obyła się z walonkami uznawanymi niegdyś za szczyt egzotyki i dziwności. Spotkanie z obcą kulturą, ze światem nieznanym dotąd codzienności objęło zatem również w jej przypadku proces adaptacji do nowego stylu ubierania się, który szybko zaczął współistnieć z tym dawnym, wyniesionym z domu. Świadczy o tym między innymi pojawiające się w listach Zofii nowe słownictwo dotyczące stroju, wyrazy takie, jak „sakuj”, „tielegrejka” czy „parczatki”. Dowodzi tego także wymuszona przez panujące warunki „konwersja” Stankówny na odmienną kolorystykę w ubiorze, preferowanie jednostajnych, posępnych, acz nader praktycznych, bo ukrywających brud, brązów i czerni.

Eksplorowany materiał nie odpowiada oczywiście na wszystkie pytania, jakie cisną się na usta antropologowi zainteresowanemu doświadczeniem życia codziennego na zesłaniu i badającemu narracyjne, autobiograficzne reprezentacje tegoż doświadczenia. Jest to jednak z pewnością ciekawy i inspirujący poznawczo dokument tamtego czasu, wart przebadania nie tylko pod kątem wybranego przeze mnie zagadnienia, ale i pod wieloma innymi względami.

RELACJE Z ZESŁANIA

Być może nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Karol Malinowski – *O pobycie na zesłaniu*

Karol Malinowski urodził się 10 listopada 1931 r. we wsi Chorłupy (gmina Ołyka, powiat łucki, województwo wołyńskie) w rodzinie policjanta. W 1936 r. zaczął edukację szkolną, przerwana 17 września 1939 r., zaraz po radzieckim ataku na Polskę. Wraz z matką i pięciorgiem rodzeństwa 13 kwietnia 1940 r. został deportowany do Kazachstanu. Do Polski wrócił w czerwcu 1946 r. Początkowo zamieszkał w Kłodkowie, małej wiosce na terenie Pomorza Zachodniego. W 1947 r. przeniósł się do Trzebiatowa, w którym mieszkał do śmierci (2010), nie licząc okresu nauki i służby wojskowej. Początkowo uczęszczał do gimnazjum ogrodniczo-pszczelarskiego w Drawsku Pomorskim. W 1952 r. został absolwentem Liceum Ogrodniczego w Pruszkowie. Przez następne trzy lata przebywał w wojsku. Po jego opuszczeniu podjął pracę w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa oraz rozpoczął studia zaoczne.

Tytuł inżyniera uzyskał w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie, natomiast tytuł magistra w szczecińskiej Akademii Rolniczej. Tam też zaproponowano mu pracę nad doktoratem, z czego jednak nie skorzystał, decydując się na pełne poświęcenie się pracy zawodowej. Przez następne lata zatrudniony był w Gospodarstwie Przemysłowo-Rolniczym oraz pełnił funkcję prezesa Spółdzielni Kółek Rolniczych. Kilkakrotnie wybierano go na radnego miejskiego. W 2001 r. został przewodniczącym koła Związku Sy-

biraków w Trzebiatowie. Obowiązki te starał się wypełniać najlepiej, jak potrafił.¹ Zmarł 3 września 2010 r.

Anna Szymczak

*

W 1920 r. mój Ojciec Andrzej Malinowski oraz jego trzej starsi bracia przenieśli się na Kresy Wschodnie, do miejscowości Chorłupy. Kupili tam 4 działki, po 10 hektarów ziemi każda, za pieniądze ze sprzedaży majątku rodziców w Zalesiu w województwie łódzkim.² Na Wołyniu musieli pracować od początku, od zera, aby stworzyć z niczego swój nowy dom. To w nim właśnie Tata zamieszkał z żoną Elżbietą i w nim urodziliśmy się my: Władzia (ur. 1924), Marysia (ur. 1926), Stefcia (ur. 1929), Zygmunt (ur. 1930), ja i Danusia, która w chwili deportacji miała tylko 9 miesięcy. Dwaj wujkowie, w odróżnieniu od taty, nie potrafili zaaklimatyzować się w nowym miejscu, więc opuścili Wołyń. Ojciec przejął po nich ziemię. Ciężko pracował, ale jego wysiłek przynosił efekty: szybko zbudował dom i budynki gospodarcze. Wszystkie środki inwestował w ziemię. Dobre czasy skończyły się we wrześniu 1939 r. Początkowo byliśmy pełni wiary, że pokonamy niemieckiego wroga. Po wkroczeniu na polskie ziemie wojsk radzieckich to się zmieniło. Szybko zorientowaliśmy się, że sowieci czują się tu jak u siebie, a Polaków mają zamiar traktować jak przestępców, inaczej tego nazwać nie potrafię. Wkrótce ludzie zaczęli opowiadać, że na stacje kolejowe podstawiane są coraz to nowe wagony towarowe. Pojawiły się plotki o wywózkach na Sybir, ale jeszcze do 1940 r. mieliśmy nadzieję, że nas one ominą. W lutym jednak wywieziono rodziny osadników wojskowych, sąsiadująca z nami wioska opustoszała. Mama suszyła więc suchary, Tata zabił świnie, z której mięso i słoninę zabraliśmy do Kazachstanu.

Po ojca enkawudziści przyszli 12 kwietnia 1940 r. Mieli broń, otoczyli i przeszukali dom. Tata został aresztowany, ale nikt nie powiedział, ani za co, ani po co? Wozili go od więzienia do więzienia. Osadzono go w Łucku. Później przeniesiono do Lwowa, następnie do Kijowa, a wreszcie do Charkowa, gdzie dowiedział się, że skazano go na osiem lat w przymusowym obozie pracy. I tak mógł mówić o sporym szczęściu, bo był to najniższy z możliwych wyroków.³

¹ Relację tę zanotowałam będąc studentką Uniwersytetu Szczecińskiego. Dzięki staraniom K. Malinowskiego kolejne osoby zrzeszone w Kołach Związku Sybiraków powiatu gryfickiego zgodziły się na udzielenie informacji z pobytu na zesłaniu. Dzięki temu powstała praca magisterska poświęcona życiu codziennemu zesłańców latach w 1940-1946 deportowanych na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Obecnie jestem doktorantką US i kontynuuję wcześniejsze badania. Relacja K. Malinowskiego jest ważnym źródłem informacji, mimo pojawiających się w niej pewnych błędów i nieścisłości.

² Informacja ta nie musi być całkowicie zgodna z prawdą. Być może A. Malinowski stał się właścicielem tej działki nie jako zwykły kupiec, ale, będąc wcześniej członkiem tzw. Legionów Piłsudskiego, jako osadnik wojskowy.

³ Nie jest to informacja zgodna ze stanem faktycznym. Co prawda, Polacy najczęściej skazywani byli na co najmniej 10-letni pobyt w łagrze, ale zdarzało się, że obywateli polskich uznawano za element społecznie niebezpieczny (tzw. SOE) i skazywano

Ojciec został skierowany do obozu koncentracyjnego, do łagrów peczorskich,⁴ gdzie pracował przy budowie jakiejś linii kolejowej. Jeśli wykonał normę, za swoją niewolniczą pracę dostawał codziennie porcję 500 gramów chleba. Współwięźniowie nauczyli go jednak, by normy nie wykonywał, gdyż oznaczało to szybką śmierć z wyczerpania. Ojciec ich posłuchał i przydzielano mu od-tąd już tylko 250 gramów chleba.⁵ Po pewnym czasie, podczas transportu do nowego obozu, wszystkim Polkom kazano wystąpić z szeregu. Byli pewni, że czeka ich śmierć, tymczasem jednak usłyszeli wiadomość o amnestii ogłoszonej po podpisaniu układu Sikorski-Majski. Tata załapał się do armii Andersa, choć nie bez przeszkód. Najpierw podróżował przez ZSRR uczepony wagonów ko-lejowych, później od polskiej komisji poborowej usłyszał, że nadaje się nie do wojska, ale do trumny. Nic dziwnego, młody nie był, a po opuszczeniu łagru ważył jedynie 45 kilogramów.⁶ Ostatecznie Ojciec został sanitariuszem w woj-skowym szpitalu medycznym w Aleksandrii, gdyż z powodu silnego osłabienia organizmu nie mógł walczyć na froncie. Wrócił do Polski z Anglii w 1947 r.

Po nas enkawudziści przyszli w nocy, 13 kwietnia 1940 r. Z bagnietami na karabinach. Obudziłem się pierwszy. Zobaczyłem, że dom otoczono. Mimo to pobiegłem szybko po sąsiada. To on pomógł mi zaprzęgnąć konie do wozu. Wszyscy płakaliśmy. Mama źle się poczuła albo udawała, że jest jej bardzo słabo i cały czas leżała w łóżku, licząc na to, że enkawudziści zostawią nas w spokoju. Ci jednak nie mieli litości. Okłamywano nas, że pojedziemy do ojca. Na spakowanie więcej niż 30 minut nam nie dali. Braliśmy, co wpadło w ręce. Dobrze, że wśród bagaży znalazła się pościel, bo było się potem czym okryć i chleb, który Mama upiekła kilka godzin wcześniej. Ruszyliśmy na stację kolejową w Równem. Zostawiliśmy za sobą już na zawsze nasz dom i dorobek życia naszych rodziców. Na stacji czekały na nas wagony. Ciasne, ciemne. Wmontowano tam 3 rzędy drewnianych prycz. Zabito i otoczono drutem kolczastym okna, zaplombowano drzwi, ustawiono stanowiska ogniowe. Wagon mógł zmieścić około 50 ludzi,⁷ jednak wpakowano do środka 80 osób. Smród

na maksymalnie 5-letni pobyt w ZSRR, P. Żaroń, *Ludność polska w Związku radzieckim w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1990, s. 121.

⁴ Mimo wielu podobieństw niemieckie obozy koncentracyjne oraz tzw. łagry, radzieckie obozy pracy przymusowej, nie powinny być ze sobą utożsamiane. Rozważania na ten temat przeprowadził m. in. A. Solżenicyn w swoim dziele *Archipelag Gulag*.

⁵ Najprawdopodobniej również ta informacja nie jest prawdziwa, bowiem racje żywnościowe dla łagierników oficjalnie ustalone zostały w innej wielkości. Jednakże podczas wcześniej prowadzonych badań autorka tekstu miała okazję stwierdzić, że rzeczywiste działania władz radzieckich niejednokrotnie znacznie odbiegały od litery prawa, w wyniku czego przyznawane łagiernikom porcje jedzenia miały różną wagę. Szerzej zob. A. Szymczak, *Życie codzienne w ZSRR w latach 1940-1946 na podstawie wspomnień sybiraków z powiatu gryfickiego*, Szczecin 2009 (praca magisterska)

⁶ Jest to bardzo ważna informacja, bowiem w większości relacji rzadko poruszane jest zagadnienie niezyczliwości przedstawicieli władz polskich wobec deportowanych, zwłaszcza tych pragnących wstąpić do tworzonego w ZSRR polskiego wojska pod dowództwem gen. W. Andersa.

⁷ Aleksander Gurjanow, z moskiewskiego „Memoriału” podaje, że przepisy obowiązujące NKWD przewidywały, że na wagon powinno przypadać od 25 do 30 deportowanych. W istocie nie trzymano się tych wytycznych i wagony deportacyjne przepełnione były w znaczny sposób. co znajduje potwierdzenie w wielu relacjach.

niesamowity. Za toaletę służyć miał otwór w podłodze, niczym nieosłonięty. Ludzie krępowali się z niego korzystać, ale co było robić. Ogrzać miał nas małeńki piecyk umieszczony na środku wagonu.

Zamknięto drzwi. Na stacji czekaliśmy jeszcze trzy dni, bo ciągle dowozili ludzi. Nie dano nam w tym czasie jedzenia ani wody. Raz udało mi się przecisnąć przez jakąś szparę w oknie. Enkawudzista udał, że mnie nie spostrzegł. Pobiegłem po wodę, żeby nas trochę podratować. W końcu transport ruszył. Początkowo nie dostawaliśmy nic do jedzenia, a na większych stacjach mieliśmy prawo wyjść jedynie po kąpieli – gorącą wodę. W miarę jak oddalaliśmy się od Europy, zaczęto wydawać posiłki, np. zupę z kaszą. Na szczęście, nie pamiętam, żeby w naszym wagonie ktoś zmarł. Dowieziono nas do Pawłodaru w Kazachstanie. Było to 1 maja 1940 r. Stamtąd jechaliśmy 150 kilometrów ciężarówką na fermę w sowchozie pieszczkańskim, w rejonie maksymogorskim, gdzie potrzebowano taniej siły roboczej.

Wszyscy Polacy musieli tam pracować, nawet kilkuletnie dzieci, chociaż taki obowiązek oficjalnie ciążył tylko na dorosłych.⁸ Traktowano nas jak niewolników. Mama opiekowała się świnią, Marysia cielętami. Reszta z nas kilkakrotnie zmieniała zajęcie. Kradzieże w miejscu zatrudnienia były powszechne, ponieważ bez nich najpewniej byśmy nie przeżyli. Kradziono zatem wszystko: siano, mleko, otręby, paszę, jaja, okradano z warzyw i owoców pola sowchozowe, czasami prywatne ogródki. Za pracę płacono nam marnymi groszami, za które nic lub niewiele można było kupić, tylko taki dziwny chleb z dodatkiem piołunu. Pracownicy wyrabiający normę dostawali kilogram twardego, ciężkiego chleba,⁹ osoby niepracujące pozostające na ich utrzymaniu 200 gramów. Później jednak dawali nam już tylko mąkę.¹⁰ Nawet z okazji najważniejszych świąt nie mieliśmy dnia wolnego od pracy. Mimo to zawsze w święta zbieraliśmy się na wspólną modlitwę i śpiewy. Kolędownali z nami nawet Ukraińcy, tylko że w swoim języku. Mama wypiekała opłatek, cieniutki placek, a na Wielkanoc dekorowała jajka. Podczas świąt wszyscy płakali z tęsknoty za Polską. Mieszkaliśmy w ziemiankach, norach z ziemi, z darni i nawozu zwierzęcego. Do pierwszej naszej lepianki nie można było wejść, tak mocno była zapchlona. Później przenieśliśmy się do półziemianki, z takim jakby gankiem z trzciny, które dzieliliśmy z kilkoma innymi rodzinami. Wreszcie, gdy się spaliła, zamieszkaliśmy w drewnianym budynku. Meble? Tam nie było mebli! Spaliśmy w pościeli rozłożonej na klepisku albo na drewnianych pryzkach. Zwykła skrzynia była naszym stołem, szafą i krzesłem. Pomieszczenia oświetlaliśmy lu-

⁸ Oficjalnie pracować musieli wszyscy deportowani, którzy ukończyli 16 lat, jak już jednak zaznaczono wcześniej, przepisy prawa radzieckiego nie zawsze były stosowane <http://www.sciesielski.republika.pl/sov-dep/polacy/specprac.html> 20. 12. 2009.

⁹ Również i ta informacja może być błędna, bowiem tak duże ilości chleba nie przysługiwały nawet najlepiej opłacanym w ZSRR robotnikom-górnikom, którzy otrzymywali 700 g chleba, S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946*, Wrocław 1997, s. 126.

¹⁰ Najprawdopodobniej nastąpiło to po niemieckim ataku na ZSRR dokonanym 22 czerwca 1941 r., który znacznie pogorszył i tak już bardzo trudną sytuację życiową mieszkańców Związku Radzieckiego.

czywem albo lampką, zwaną kopcilką, butelką z tłuszczem, w który zanurzano szmatkę lub sznurek pełniący rolę knota.

Do szkoły, oddalonej o 5 kilometrów, w takim ubraniu, co żeśmy mieli, nie można było dojść. Zresztą, słyszeliśmy od innych, że dzieci są tam indoktrynowane. Zmuszano je, by prosiły Boga o cukierki. Gdy ich nie dostawały, miały o to samo prosić Stalina. Wtedy przez dziury w suficie zrzucano słodycze. Z Polski nie pozwolono nam zabrać żadnych książek, więc języka ojczystego Mama uczyła najmłodszą z moich sióstr za pomocą książeczeki do nabożeństwa oraz pieśni i opowiadań po polsku.

Cały czas głodowaliśmy. Podstawą przeżycia było ziarno, z którego robiło się mąkę i kaszę, a z nich placki lub zupę zacierkową. Staraliśmy się zbierać pozostawione na polach kłosa, ale tego zabraniano i to grożąc więzieniem lub egzekucją. Kłosa więc gniły, a ludzie umierali z głodu. Pewnego razu Mama i deportowany wraz z nami Ukrainiec zebrali od wywiezionych rzeczy na sprzedaż i pojechali do kolchozu, aby wymienić je na zboże. W drodze powrotnej złapała ich burza śniegowa. Wykończeni i zdesperowani zostawili sanie ze zbożem na drodze, a sami ruszyli za wyprzęgniętym z nich bykiem, który znalazł drogę do jakiegoś osiedla. Tam udzielono im gościny, mimo że, ze strachu przed kradzieżą, Mama nie podała prawdziwego powodu, dla którego ruszyła w tak niebezpieczną podróż. Dopiero na drugi dzień, przekonawszy się, że ma do czynienia z uczciwymi ludźmi, przyznała się, że ryzykowała życie dla zdobycia ziarna. Jej gospodarze byli urażeni jej wcześniejszymi podejrzeniami co do nich. Ta eskapada na szczęście skończyła się pomyślnie, ale nie zawsze wszyscy ruszający po jedzenie mieli tyle szczęścia, co Mama. Największy głód gnębił nas ostatniej zimy. Wojna dopiero się zakończyła, kraj był wyniszczony, nikt nie miał zapasów, nie było możliwości, by kupić cokolwiek. Mama kazała mnie i bratu szukać kłosów na stepie. I rzeczywiście, znaleźliśmy pod śniegiem coś, co wyglądało jak kurhan, a okazało się górą źle wymłóconego zboża. To znalezisko uratowało życie nam i mieszkańcom fermy, z którymi podzieliliśmy się ziarnem..

Drugim podstawowym produktem żywnościowym były ziemniaki. Z czasem kradzież ich przestała być konieczna, bowiem pozwolono na ich sadzenie. Kartofle piekliśmy, smażyliśmy, gotowaliśmy, zawsze ze skórką, żeby nie tracić choćby odrobiny jedzenia. Starty ziemniak służył do zagęszczania zup lub robienia placków. Jaja można było czasami wybrać z gniazd dzikich ptaków. Udało nam się też kupić dubeltówkę, więc ustrzeliliśmy czasem jakąś kaczkę. Za surówkę służyły rosnąca na stepie lebioda, szczaw, dzika cebula, czyli ług albo mlecz. Nie gardziliśmy też korzeniami tych roślin. Sól, przyprawa i środek konserwujący przy suszeniu ryb, zbierana była ze słonych jezior. Mieliśmy szczęście, że mieszkaliśmy nad Irtyszem i blisko jeziora, w którym łowiono ryby. Ja i mój rosyjski przyjaciel Wania pomagaliśmy rybakom, za co oni częstowali nas pieczonymi nad ogniskiem rybami przyprawionymi ziołami. Wkrótce Wania ukradł sieć i tak zaczęliśmy nasze samodzielne łowy. Wcześniej wędkowaliśmy sznurkiem uwiązany na kijku. Zimą w skutym lodem jeziorze robiło się przeręb, do którego spragnione powietrza ryby podpływały, a wtedy można było je chwycić w ręce lub zgarnąć czerpakiem. Latem było łatwiej o jedzenie, coś tam się wtedy podkradało z upraw.

Upały były straszne, sięgały 40 stopni. Zimą było 40 stopni mrozu. Opału praktycznie nie było. Do pieca dorzucaliśmy niedojedzone przez zwierzęta siano lub trzcinę. Najlepszym środkiem opałowym, występującym w małej ilości, był kiziak tj. wysuszone na słońcu odchody zwierząt. Burze śniegowe nieraz zasypywały ziemiankę. Wtedy musieli odkopywać nas sąsiedzi. Kiedy wychodziło się na takie zimno rano, wystarczyła chwila, aby nos, uszy i policzki robiły się zupełnie białe. Żeby nic sobie nie odmrozić, trzeba było szybko natrzeć twarz śniegiem. Zimą nie chodziłem, ale biegłem, żeby nie zamarznąć. Jeśli ktoś nie został w czasie buranu w ziemiance, to gubił drogę do domu. Jego zwłoki znajdowano później w stepie albo tuż przy domu, który podczas zamieci był po prostu niewidoczny. O szczęściu może mówić mój znajomy, którego udało się w porę odnaleźć po takim buraniu. Niestety, musieli mu obciąć obie ręce.

Wyglądaliśmy jak łachmaniarze. Pracującym przydzielano jakieś kufajki, ale w zasadzie tylko donaszaliśmy przez te 6 lat zsyłki ubrania z Polski, z których szybko wyrastaliśmy i które niszczyły się podczas ciężkiej pracy. Mama własnoręcznie przerabiała znoszone płaszcze na sukienki lub koszule albo szyła nam ubrania z czego tylko się dało. Jeżeli ktoś pracował przy strzyżeniu owiec, starał się ukraść trochę wełny. W domu przędło się ją ręcznie, a następnie robiło się z niej na drutach swetry, chusty, pończochy, skarpetki. Trochę podratowały nas paczki z UNRR-y¹¹ i od ojca, które wysyłał, gdy dostał się po wojnie do Anglii. Na nogach nosiliśmy łapcie z kawałków skóry, takie trochę jakby skarpety wiązane wokół nogi sznurkiem, do których wpychało się czasem siano i czekało, aż polany wodą but zamrznie, aby się nie rozsypał. O walonkach tj. obuwiu z wełny, jedynym, jakie nadawało się na tamtejsze mrozy, mogliśmy sobie pomarzyć. Kiedy wróciliśmy do Polski, wszystkie swoje ubrania i rzeczy spaliliśmy, tak były zawszone. Brakowało nam wody i wszystkiego, co normalnie jest potrzebne do utrzymania higieny osobistej i porządku. Z łaźni, z tzw. bani, mogliśmy korzystać co tydzień. Później ją zamknięto. Latem kąpaliśmy się w jeziorze lub w rzece, zimą myliśmy się w misce. Wodę pitną powinniśmy byli czerpać ze studni i tak też niektórzy robili. Szybko jednak okazało się, że była ona skażona gnojowicą, a ludzie zaczęli chorować. Wodę przynosić musieliśmy zatem z jeziora, gdzie była czysta, ale cuchnęła rybą. Stary Kazach, aby uchronić nas przed zawszeniem, golił nam głowy. Do prania dodawało się ług, czyli przegotowany popiół albo kłacze tataraku. Ubrania najczęściej jednak po prostu gotowano we wrzącej wodzie. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w polu, a zimą za domem, gdyż tam było bliżej.

Strasznie chorowaliśmy na odmrożenia, wszawicę, choroby układu pokarmowego, krzywicę, szkorbut, kurzą ślepotę, zapalenie płuc, czerwonkę. Najstraszniejsze były tyfus i malaria. Wiele osób zmarło właśnie na nie, wśród ofiar było szczególnie dużo deportowanych przez Rosjan Niemców Nadwołżańskich, Czechenów, Inguszów. W szpitalu pracowała lekarka, Polka, dzielna i

¹¹ Pomoc udzielana zesłańcom przez rząd polski od 1941 r. często jest błędnie identyfikowana przez nich ze wsparciem udzielonym im przez UNRR-ę (Organizację Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy - United Nations Relief and Rehabilitation Administration, stworzoną dopiero w 1943 r.), podczas gdy pochodziła ona z innych źródeł, P. Żaroń, op. cit., s. 203.

dobra kobieta, która starała się ratować wszystkich pacjentów, bez względu na ich narodowość. Praktycznie jednak nie miała ona nas czym leczyć, zresztą, nawet chinina przestała pomagać. Ostatnią deską ratunku dla mnie, gdy zachorowałem na tyfus, były zalecane przez panią doktor wywary z piołunu. Na bóle stawów pomagało natomiast siedzenie w oparach z nagrzanego kamienia czy kawałka żelastwa polanego wodą, również przez nią zalecane. Niestety, podczas swojej pracy zaraziła się ona od jednego z pacjentów tyfusem i zmarła. Jednak nie wszyscy spotkani w ZSRR lekarze byli dla swoich podopiecznych tak dobrzy. Kiedy Zygmunt zachorował na zapalenie płuc, został przewieziony do szpitala. Tam, jak leżał na korytarzu, znalazła go Marysia. Powiedziała jej, że kazano mu wracać do domu, jednak naszej siostrze wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, iż Zygmunt nie może opuścić szpitala, bo już pluł krwią i miał całkiem sine paznokcie. Tylko dzięki jej interwencji pozostawiono go na oddziale, co uratowało mu życie. Traktowano nas jak śmiecie! Mogło się zginąć i nikogo to nie obchodziło. Zresztą, byliśmy tam, by zginąć. Zdychał człowiek na oczach Europy! Wielu zmarło z głodu, ze zmęczenia, z zimna. Jedna nasza znajoma była tak słaba, że tylko leżała w łóżku razem ze swoim 12-letnim synkiem. Któregoś dnia chłopiec po prostu już się nie obudził, a matka dokładnie nawet nie wiedziała, kiedy umarł. Wkrótce zmarła i ona. Pewnej Polki nie miał kto pochować, więc nasza Mama zarządziła, że zrobią to Zygmunt i Marysia. Zwłoki ubrano w cienutki płaszczyk przewiązany sznurkiem, bo zmarła już nic innego nie posiadała. Zygmunt pochował ją bez trumny, w płytkim grobie, który pewnie rozkopały wilki. Tak kończyli życie najślabsi: dzieci, starcy i osoby niezaradne, żony oficerów nieprzyzwyczajone do ciężkiej pracy albo takie, które nie znalazły dla siebie żadnego zajęcia, a jedynie wymieniały przywiezione z Polski rzeczy na jedzenie. Te szybko się kończyły i przychodziła śmierć głodowa.

Przez krótki czas, po podpisaniu układu Sikorski-Majski, władze radzieckie traktowały nas łagodniej, nie jak wrogów. Mama została mężem zaufania na naszej fermie. Do jej obowiązków należało rozdzielanie między deportowanych paczek z UNRR-y. Z zadania wywiązywała się uczciwie, uwzględniając także Ukraińców, których wywieziono z nami, mimo że sowieci nakazali, by nie traktować ich już jak obywateli polskich. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem Polski a rządem ZSRR Polacy byli przymuszani do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa. Jeden ze środków przymusu to zamykanie w więzieniu.

Mimo tego wiele zawdzięczamy pomocy zwykłych obywateli ZSRR. To oni nauczyli nas, jak postępować, by nie umrzeć z głodu, przymykali oko na nasze kradzieże. Mówili, by żyć, jak tylko się da, by robić, co tylko się da i współpracować, z kim tylko się da. Kiedyś zobaczyłem na ziemiance suszące się kurty-serki wielkości pięści robione przez Kazachów. Byłem bardzo głodny, więc siadłem na dachu i się nimi zajadałem. Gdy zeskakiwałem na ziemię, z lepianki wyszła Kazaszka. Spostrzegła, co zrobiłem, ale nie nakrzyczyła na mnie, tylko się uśmiechnęła. Między nami a Rosjanami i Kazachami nie było żadnych poważnych konfliktów. Liczyło się tylko to, jaki był człowiek, a nie jego narodowość. To byli dobrzy ludzie, jedynie system, w jakim żyli, był zły. Gdy spalił się nasz dom, pod swój dach przyjęła nas Rosjanka, mimo że nasza rodzina liczyła aż siedem osób, ona zaś dysponowała tylko jednym pokojem, w którym

mieszkała z trzema córkami. Kiedy do Marysi zalecał się pewien Czechen, którego bardzo się bała, jej brygadzysta wezwał chłopaka do siebie, kazał mu zostać ją w spokoju, wreszcie przeniósł go na inną fermę.

Z kolei nasza Mama po przygotowaniu jakiegoś skromnego posiłku z okazji świąt częstowała nim wszystkie dzieci, jakie tylko przybiegały pod nasz dom. Zawsze zresztą powtarzała, że innym trzeba pomagać i pomimo swojej biedy dzielić się tym, co się posiada. Wszyscy przyjaźniliśmy się z rosyjskimi dziećmi, zawsze udało nam się wymyślić jakąś wspólną zabawę. Danusia często udawała nauczycielkę, a swoich „uczniów” przymuszała do posłuszeństwa siłą, ponieważ chciała być szefem dziecięcej bandy. Nikt jednak z jej przyjaciół nie miał jej tego za złe. Nasz kierownik sowchozu uratował mi nawet życie, kiedy podczas wieczornego powrotu do domu omal nie rozszarpałyby mnie wilki, chwycił mnie za kołnierz, wrzucił na swoje sanki i szybko odjechał, przy tej okazji wyzywając mnie ze zdenerwowani i przejęcia od durniów.

Z wilkami miałem nieprzyjemność spotkać się jeszcze kilka razy. Kiedyś nawet jeden wszedł do ziemianki, więc omyłkowo wziąłem go za psa. Wilki atakują całą watahą, a ten był sam, więc wybrał ucieczkę. Innym razem moje siostry w ostatniej chwili schowały się w domu przed goniącą je sforą. Za sobą usłyszały tylko, jak rozpędzone wilki z impetem rozbijały się o drzwi. Od czasu do czasu słyszałem, że ktoś został przez nie rozszarpany.

Cały nasz wysiłek włożony został w codzienną walkę o przetrwanie, a całą naszą siłą była nadzieja na powrót do Polski. W drogę powrotną ruszyliśmy w maju 1946 r. Rosjanie pożegnali nas bardzo serdecznie. Gdy wchodziliśmy na statek parowy, zgromadzeni na przystani, nie patrząc na enkawudzystów, krzyтели: „*Powiedzcie ludziom, jak my tu żyjemy!*”. Większą część drogi powrotnej przebyliśmy tak samo, jak podczas deportacji w bydłowych wagonach, tym razem jednak nie zaplombowanych. W jednym z nich przemycono, po przekupieniu enkawudzisty konserwą wieprzową, dziewczynkę, która nie posiadała żadnego dowodu na to, że była Polką i że miała prawo do repatriacji. Wróciliśmy w końcu zatem do Polski, do kraju zupełnie innego od tego, który znaliśmy wcześniej, ale do kraju będącego wytęsknioną ojczyzną. Spełnienie tego największego marzenia stało się możliwe tylko dzięki naszej mamie, każdego dnia tak dzielnie walczącej o nasze życie, które, nam, dzieciom, wrogom Związku Radzieckiego, chciano odebrać w okrutny sposób.

*

Stanisława Siomkajło (siostra M. Alicja) – Wspomnienia wojenne. Rozruceni po świecie

Pierwszy wrzesień 1939 r. Niemcy napadli na Polskę – wojna. 17 września Rosjanie wkroczyli do Polski witani radośnie przez Ukraińców. Początkowe złudzenie, że nas obronią przed Niemcami, rozwiało się szybko, weszli by zając część ziem polskich. Rodzina Jana i Michaliny Siomkajło z ośmiorgiem dzieci mieszkała w posiadłości Sielec, oddalonej 15 km od Stanisławowa i 2 km od Jezupola. Bomby padały niedaleko na stację kolejową, również niemieckie

samoloty latały nisko, strzelając dokoła, raniąc ludzi i bydło. Młodszy syn Tadeusz, 22 lata i siostra Eugenia, 25 lat uciekli z wojskiem polskim na Węgry. Reszta rodziny została w niepewności jutra. Ukraińcy zaczęli napadać na polskie rodziny, rabując i mordując.

Deportacja

Przyszedł niezapomniany dzień 10 lutego 1940 r. W nocy, o 2³⁰, gdy wszyscy jeszcze spali, zajechali przed nasz dom Rosjanie z Ukraińcami, w dwie pary sań i kazali być gotowymi za godzinę do wyjazdu. Wkładaliśmy na siebie po kilka ubrań, trochę żywności. Trzeba było wszystko zostawić dom, gospodarstwo, zwierzęta. Zima tego roku była ostra i śnieżna. Takie to było dziwne..., ilu nas było, nikt ani słowa nie powiedział, nikt nie zapłakał i mogło wyglądać, że jedziemy na wycieczkę. Ludność okoliczna powychodziła na ulicę patrząc ze zdziwieniem, że jedziemy wesoło, bez żadnych narzekań. Myśleli, że zobaczą nas zapłakanych, a tymczasem...! Nie chcieliśmy pokazać Ukraińcom, że jesteśmy przygnębieni.

Na stacji w Jezupolu załadowano nas do dużego wagonu towarowego, jak śledzie w beczce, tak, że przejść nie było można. W wagonie były dwa otwory w rogach, jeden na wychodzenie za potrzebą, drugi miał służyć za kuchenkę do gotowania. Ale co tu gotować? Zwłaszcza, że wody nie było. Pociąg towarowy stał na stacji przez całą niedzielę, w poniedziałek ruszył. Tatuś powiedział: „Wywożą nas na Sybir”. Wszyscy zaczęli płakać i modlić się.

Ta okropna jazda trwała 20 dni. Kilka razy dano nam we wiadrze coś w rodzaju zupy z kapusty, można było policzyć liście i kawałeczek czarnego chleba. Było strasznie zimno, dzieci i niemowlęta płakały, matki płakały razem z nimi. Zapasy żywności wyczerpały się, zostało trochę kartofli, które zamarzyły w wagonie. Najstarsza siostra Aniela kroїła je w plasterki i piekła na piecyku. Były one słodkie, jak to zmarzłe kartofle, jedliśmy je i dzieliliśmy się z innymi.

Kazachstan

W Czelabińsku rozdzielono transport. Nasze wszystkie bagaże przepadły, pojechały w inną stronę a my zostaliśmy tylko z tym, co mieliśmy na sobie. Pociąg zatrzymywał się na różnych stacyjkach, wysiedleńców stopniowo skierowywano do kołchozów. Nam dostało się „lepsze” miejsce w mieście, w kopalni złota. Nikt nas tu nie pilnował, jak to bywało gdzie indziej. Było to miasto Dżetygara w Kustanajskiej Obłasti (Kazachstan). Dookoła miasta była prawie pustynia, gdzieniegdzie trochę trawy i dzika pora.

Na dziewięć osób dostaliśmy jedną izbę i parę tapczanów ze słomą. Tatuś i mamusia byli uważani, że są za starzy by pracować. Brat Józef z żoną Michaliną, siostry: Aniela, Joanna i Julia, która miała zaledwie 17 lat, musiały pracować w głębi kopalni. Amalia, jako chorowita, nie pracowała a najmłodsza Stanisława (12 lat) miała chodzić do szkoły.

Każdy z pracujących miał wpisane w książeczce po dwie osoby nie pracujące. Na podstawie takiej książeczki dostawało się pół funta chleba na osobę, a zdarzało się, że zanim doszło się w kolejce do sklepu to już nic nie było. Praca w

kopalni była bardzo ciężka. Przerzucanie łopatą ciężkich kamieni był to trud ponad siły. Po prostu kamień nie chciał iść na łopatę. Jednego dnia Aniela pokłóciła się z dozorcą, że tak mało płaci za robotę, chociaż starają się pracować sumiennie, może lepiej niż mężczyźni. Od tego czasu zaliczono tę grupę niewiast do „stachanowców”, ponieważ wyrabiały 100% normy. Otrzymały zapłatę „stachanowców” i tyleż premii. Aniela miała teraz więcej pieniędzy, mogła kupić materiał i poszyć trochę odzieży, kupiła też watę i materiał na kołdry. Był kłopot z opałem. Czasem przynosiły z kopalni parę kawałków drzewa, które służyły do robienia stempli w kopalni. Stasia chodziła po stepie szukając „kiziaki”, to znaczy suche wydzieliny zwierzęce, którymi paliło się w piecu, dodając trochę suchej słomy – tak robili Kazacy. W ten sposób można było coś ugotować.

W kopalniach były nieraz takie miejsca, gdzie trzeba było pracować na leżąco, wybierać przez godziny kamienie i przerzucać je z miejsca na miejsce. Praca była na 3 zmiany. Co dwa tygodnie wypadało pracować w nocy, co było bardzo uciążliwe, bo trudno było przestawić się na spanie w dzień. Świąt nie było, był tylko „wychodny” co 6 dni, gdy dzień wolny wypadł w niedzielę byliśmy zadowoleni, ale to często się nie zdarzało. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i inne święta, pracowało się jak co dzień, jeśli nie wypadł „wychodny”. Najwięcej nacierpieliśmy się w zimie z powodu wielkich mrozów, 40 stopni poniżej zera. W drodze do pracy nie można było iść normalnie, tylko biegiem, bo groziło zamrożenie. W lecie, przy wychodzeniu z kopalni, byliśmy zagrożeni utratą wzroku z powodu oślepiającego blasku słońca i wielkich upałów. Trzeba było przymykać oczy, by je chronić przed rażącymi promieniami.

W pracy naszej byliśmy stale narażone na utratę dziewictwa. Umyślnie rozdzielano nas pojedynczo i namawiano do złego. Łaska Boża strzegła nas w tym niebezpieczeństwie. Aniela najbardziej lękała się o najmłodszą siostrę Stasię, gdyż była pozostawiona samej sobie. Rodzice pozostawali w domu, a ona musiała stać w kolejce za chlebem. Zdarzyło się, że pewna Rosjanka zaproponowała Stasi pracę w swym domu w charakterze opiekunki do dzieci. Aniela ucieszyła się z tej propozycji w nadziei, że przynajmniej nie będzie cierpieć głodu. Lecz wkrótce potem żałowała, że się na to zgodziła, myśląc że naraziła Stasię na wielkie niebezpieczeństwo. Na szczęście Rosjanka nie było zadowolona z jej pracy i odprawiła do domu. Wieczorem musiałyśmy ryglować drzwi, bo się do nas dobijano. Na każdym kroku groziło nam niebezpieczeństwo, ale Pan nas obronił.

W tym czasie zachorowała nasza mamusia na tyfus. Chcieliśmy oddać ją do szpitala, ale nie chciała się na to zgodzić. Lekarstw nie było żadnych, nie było również nic do jedzenia. Stan mamy pogarszał się. Spałyśmy razem na jednej pryczy. Do pracy musieliśmy chodzić, nikt nie mógł zająć się chorą. Dnia 26 marca 1941 r. Aniela dała mamie trochę chleba z mlekiem, zjadła ten posiłek, choć od kilku dni nic do ust nie wzięła. Wybieraliśmy się do pracy, wtem Mama wstała, podeszła do Anieli mówiąc: „zawieź mnie do szpitala”. Widzieliśmy na jej twarzy cień śmierci, więc poprosiliśmy by się położyła, tłumacząc, że nie miałyby siły do tej jazdy. Położyła się i pytała czy nie mamy wiadomości od Tadeusza i Gieni. Stasia zaczęła głośno płakać. Tatuś uspokajał ją mówiąc, że to przeszkadza mamusi umrzeć. Mama poprosiła Anielę, by położyła jej rękę

na sercu i trochę potarła, w tej chwili serce przestało bić. Została pochowana na cmentarzu miejscowym, pomodliliśmy się nad grobem; w tym mieście nie było żadnego kapłana. Tatuś nie był na pogrzebie, był za słaby.

Amnestia

W tych kamieniołomach byliśmy rok i parę miesięcy. Nastąpiła amnestia (dzięki generałowi Sikorskiemu) można było jechać, gdzie kto chciał. Ludzie naradzali się dokąd jechać? Mówiono, że będą razem wyjeżdżać z Syberii, tymczasem okazało się, że wyjeżdżają grupami, cichaczem. Obawialiśmy się, że zostaniemy tu sami, ale czy tatuś przetrzyma taką podróż? Po naradzeniu się z tatusiem postanowiliśmy jednak udać się w tą nieznaną drogę. Spakowaliśmy rzeczy i pojechaliśmy na stację Brieba koło Czelabińska, na granicy z Kazachstanem. Była tam masa narodu różnego kalibru a najczęściej Żydów. Nikt nie wiedział dokąd jechać. Co jakiś pociąg nadjechał, wszyscy tłoczyli się do niego i nie dopuszczali do wejścia. Udało nam się kupić kilka ładnych bochenków chleba. Nadjechał pociąg, do którego pozwolono nam wejść. Weszliśmy i szukaliśmy naszego chleba, nigdzie nie ma! Ktoś się nim uraczył, chwycił, gdy wrzucaliśmy do wagonu nasze pakunki. Gdzie go szukać? Każdy był głodny, więc cieszył się taką zdobyczą, a nam do głowy nie przyszło, że ktoś nam zabierze chleb. Jechaliśmy tak blisko 3 miesiące prawie bez jedzenia. Raz udało nam się kupić kawałeczek chleba i kawałek pieczonego kurczęcia i to Aniela dawała tatusiowi. My chrupaliśmy po trochę suchy groch. Jechało się na ślepo, nikt nie wiedział dokąd jedzie. Trudno powiedzieć, ile razy wyrzucano nas z pociągu, wtedy mieszkaliśmy pod gołym niebem, czekając co dalej będzie. Przydały nam się wtedy kołdry poszyte na Syberii. Służyły jako przykrycie, zwłaszcza gdy padał deszcz lub śnieg.

Wreszcie znów kazano nam pakować się do jakiegoś pociągu i dalej ta sama historia. Czasem pociąg stawał na jakiejś stacji, więc ludzie po upewnieniu się, że postój potrwa kilka godzin, wychodzili na zakup żywności, a tu pociąg ruszał i rodziny rozbijały się. Widząc to, uważaliśmy bardzo, by się nie rozdzielać. Jechało się tak bez zmiany bielizny, ubrania, bo nie było gdzie i jak prać. W wagonach były półki do spania, na których spali Żydzi, a my siedzieliśmy po kątach, jak i gdzie się dało. Z górnych półek sypały się wszy jak groch. Całe towarzystwo było zawszone do ostateczności; było to jedno „mrowisko” wszy.

Na pewnej stacji pociąg stał kilka dni, a do jedzenia nic nie było. Ludzie rozeszli się po polach, gdzie były stosy makuchów, rosła tam bowiem wata. Z nasienia wytłaczano olej, a łuski z ziaren zbijano w kształcie cegły, które dawano bydłu. Zgłodniałi ludzie usiłowali jeść te makuchy, poszliśmy więc i my pozbiierać trochę. Gdy mieliśmy już zebrany pewien zapas, poszliśmy do wagonu a Aniela jeszcze została. Zaledwie odeszliśmy przychwycono Anielę na tej „kradzieży” i zaprowadzono do jakiegoś budynku, w którym było sporo żołnierzy ładujących karabiny. Aniela myślała, że ją zabiją a my z tatusiem pojedziemy dalej i nawet nie będziemy wiedzieli, co się z nią stało. Pytają ją dlaczego zbierała makuch. Udając, że go je, zaczęła robić im wyrzuty, że trzymają nas tak długo w polu i bez jedzenia, więc cóż mamy robić? Po długim śledztwie wypuszczono ją.

Z radością biegła do wagonu, zdążyła na czas. Część naszego transportu, w tym większość Polaków, przeznaczono do kolchozu poza rzeką Amu-Darią.

Okropna rzeka Amu-Daria

Wieziono nas barkami do transportu zwierząt, zatłoczonymi po brzegi. Padał deszcz, był mróz, ślisko. Ludzie jak muchy wpadali do rzeki, czasem ktoś się ześlizgnął ale nikt go nie szukał. Umierali masowo, trupy wrzucano do rzeki. Czasem zatrzymywano się przy brzegu i do jakiejś jamy przybrzeżnej pakowano trupy, takie były pogrzeby. Jechało się tym statkiem dwa tygodnie i znów bez jedzenia. Gdy dzisiaj to wspominamy, wierzyć się nie chce, że tak było i że człowiek to przetrzymał.

Wyładowano nas w kolchozie Marks, gdzie mieliśmy być zatrudnieni przy zbieraniu waty. Umieszczono nas w ciasnych komórkach, podobnych raczej do psiej budy niż do izby mieszkalnej. Raz czy dwa dano nam małe lepieszki, pieczone na górnej części pieca. Piece były okrągłe, mocno rozgrzane, na górną ich powierzchnię rzucano trochę ciasta, które po upieczeniu samo spadało. Korzystając z tygodniowej przerwy w podróży, popraliśmy naszą bieliznę i odzież. Mogliśmy nareszcie pozbyć się insektów.

Jednego dnia Aniela wybrała się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, idąc przez długi most spotkała polskiego żołnierza, który zapytał o cel jej wędrówki i powiedział, by natychmiast wracała i pakowała rzeczy, gdyż oni zbierają Polaków. I znów jechało się przez tę straszną rzekę przez dwa tygodnie bez jedzenia. Była mała kuchenka, na której można było gotować, jeśli ktoś miał coś do gotowania. Narodu była masa, wiele rodzin z dziećmi i one miały pierwszeństwo. Raz tylko udało się Anieli spuścić na sznurku garnek i nabrać trochę wody, w której ugotowała trochę mąki. Zrobiła się taka „mazia”, lecz to był dla nas specjał. Zjedliśmy po trochę tej niby zupy i dalej nic... Niektórzy ludzie byli trochę lepiej zaopatrzeni. Mieli w torbach jakieś suchary, nie wiadomo skąd. Kilka razy udało się Anieli wyjąć parę sucharków komuś z torby i podzielić z rodziną. Gdy się chciało dostać trochę wody, trzeba było spuszczać wiadro na sznurku i nabrać tej brudnej wody. Gdy się wiadro wyciągnęło, trzeba było wodę wylewać, tyle w niej było odchodów ludzkich. Próbowano się raz, drugi i trzeci, aż się wyciągnęło trochę niby czystszej wody i to się piło. Dobrze jeszcze, gdy się dało ugotować wodę, ale trudno było docisnąć się do kuchenki. Nic więc dziwnego, że później wszyscy pochorowali się na tyfus. W drodze powrotnej znów nabawiliśmy się wszy od towarzyszy podróży.

Uzbekistan

Po zejściu z tych barek zostaliśmy rozrzućeni po kolchozach w terenie, tak, że jedni o drugich nic nie wiedzieli. Wieziono nas na wielbłądach, wysadzono już późnym wieczorem pod jakimś domem uzbeckim i tak spędziliśmy noc, a deszcz padał. Rano przydzielono nam jakąś izbę, w której nic nie było, tylko gołe ściany. Na środku była dziura, w której tubylcy palili i w ten sposób ogrzewali domki, lecz mieli całe dachy, nasz dach był dziurawy. Nasze kołdry i materace znów się przydały. Ułożyliśmy je na ziemi i tak jedno przy drugim leżeliśmy. Było to w grudniu, padał deszcz ze śniegiem. Jako pożywienie dawano nam mieszaninę róż-

nego gatunku zboża razem z prosem. Wiozło się do młyna, z mąki gotowało się zupę lub piekło placki bez tłuszczu, bez soli, bez cukru.

W kołchozie Kizykuszim (koło Kitabu), w którym nas zatrzymano, mieliśmy być zatrudnieni przy zbieraniu waty, jednak zaraz po przybyciu Julia zachorowała na tyfus, a po niej tatuś i siostra Amalia. Julia po miesiącu wyzdrowiała, choć nie było lekarstw ani dobrego odżywiania. Tatuś i Amalia dalej chorowali. Serce nam się krajało, że nie mieliśmy co dać jeść tatusiowi. On raz powiedział do Anieli: „Czy nie mogłabyś jakiegoś psa zabić i dać trochę do zjedzenia?” Udało się Anieli kupić trochę koniny, zgotowała rosół i dawała tatusiowi po łyżeczce. Stan jego stale się pogarszał, charczało mu w płucach i bardzo cierpiał. Aniela prawie całą ostatnią noc przesiedziała przy tatusiu. Rano Aniela była sama, inne siostry były zajęte zbieraniem waty. Poszła po brata Józefa, który mieszkał z żoną w izbie obok. Dała jeszcze trochę rosółu tatusiowi, ale w tej chwili umarł 13 stycznia 1942 r. Józef ubrał tatusia w jego ładne ubranie. Miejscowi ludzie oburzali się, że takie ubranie dajemy do grobu. Daliśmy mu co miał najlepsze. Uzbegy mają zwyczaj chowania zmarłych bez trumny. Nie mogliśmy się na to zgodzić. Wreszcie znalazł się jakiś Żyd, też wywieziony z Ukrainy, który wytłumaczył im nasze zwyczaje, zbił z desek trumnę, potem wykopał grób, jeśli to można nazwać grobem, parę kroków od naszej „budy”, na małej łączce wygrzebał dziurę i tam tatuś został pochowany. Zrobiliśmy krzyż z patyków i chodziliśmy się tam modlić, dopóki jeszcze trzymaliśmy się na nogach. Za parę dni zachorowałyśmy wszystkie, na nogach była tylko Julia, która już wyzdrowiała po tyfusie, brat Józef i jego żona Michalina.

Uzbegy przychodzili do nas, bo przecież miałyśmy pracować przy wacie, a widząc naszą sytuację, siadali wokół nas w kucki, mówiąc: „hamusyn kasał, hamusyn kasał”, co znaczyło: wszystkie chore. Leżałyśmy wszystkie na ziemi, Aniela zaczęła na nich krzyczeć: „dajcie nam łóżka, dajcie piecyk, jak tu mamy żyć?” I rzeczywiście dostałyśmy dwie prycze i piecyk. Miejscowi ludzie jakoś i bez tego obchodzili się, palili na środku chałupiny, w której mieszkali i tam też gotowali. Nad pryczami rozciągnęłyśmy koce w formie dachu, gdy padał deszcz. Chroniłyśmy się na pryczach, gdyż na ziemi płynął potok. Na jednej pryczy było nas trzy a na drugiej dwie, to jest najmłodsza Stasia i Amalia, która niedługo po tatusiu umarła. Aniela chociaż chora nie mogła się położyć, tylko siedziała na pryczy, bo Julia, jedyna, która trzymała się na nogach, płakała, gdy tylko Aniela położyła się. Julia mówiła: „Ty umrzesz a z kim my zostaniemy i co same zrobimy?” Aniela musiała udawać zdrową. Brat i siostry zdawały sobie sprawę, że zbliża się koniec życia Amalii, która zachorowała jednocześnie z ojcem. Nie mogliśmy jej w niczym pomóc. Leżała Amalia na pryczy razem ze Stasią, która mając wysoką gorączkę o Bożym świecie nie wiedziała. Wstawała od czasu do czasu, by po błotnistej podłodze dowieść się do wiadra i zaczerpnąć dzbanuszką trochę zimnej wody. Nie piła jej nawet, ale chciała ją mieć przy sobie. Aniela też cierpiała z pragnienia, ale miała na tyle przytomności, że jej nie piła. Wodę braliśmy z rowu, który był niedaleko, ale jak woda powstała, to pół wiadra było samego błota. Trzeba było wodę gotować, ale i tak nie była zdrowa do picia. Jednej nocy, gdyśmy z trudem pozasypiały, bo niełatwo jest zasnąć przy wysokiej gorączce, nasza siostra Amalia umarła, było to 15 lutego 1942 r. Aniela z wysiłkiem zwle-

kła się z pryczy, by ubrać naszą biedną Amalię. Zapytała się Stasi, czy da Amalii swoją ładną sukienkę, którą bardzo lubiła. Wyraziła swą zgodę, ale okazało się, że wcale tego nie pamiętała i później, po wyzdrowieniu, szukała swojej sukienki, nie wiedząc, gdzie się podziała. Zrobiliśmy katafalk z chrustu i patyków, położyliśmy na nim Amalię, która leżała tak kilka dni, aż znów ten sam Żyd wykopał dół obok grobu tatusia i tam ją pochował. Żadna z nas nie mogła wziąć udziału w tym pogrzebie, choć odległość wynosiła zaledwie kilka kroków, był tylko brat Józef z żoną. Oni jakoś przetrwali, a właściwie przetrwała tylko bratowa Michalina, bo brat umarł w Teheranie w Persji.

Gdy jako tako przyszliliśmy do zdrowia, zostało nas tylko cztery: Aniela, Joanna, Julia i Stanisława oraz brat Józef z żoną. Chodziliśmy do pobliskiego miasteczka Kitab przez rzekę, by na targowisku sprzedać resztki naszego dobytku, za co można było kupić trochę cebuli i kobyłego mleka, które było tak kwaśne, że wykrzywiało twarz przy picciu. To wszystko pomogło nam do odzyskania nieco sił po tym strasznym tyfusie. Dowiedzieliśmy się tam od ludzi, że gdzieś zbierają się grupy na wyjazd z Rosji, ale nie wiedzieliśmy, gdzie są te punkty dla sybiraków. Aniela wybrała się jednej niedzieli z bratem Józefem i jego żoną, by się czegoś pewniejszego dowiedzieć, Deszcz tego dnia padał bez przerwy. Rano udało się przejść w bród przez rzekę do wskazanego przez ludzi miejsca. Po całodziennym deszczu rzeka tak wezbrała, że nie można było przebrnąć przez nią. Szliśmy za jednym Uzbekiem, który znał dogodne przejście, ale w pewnym miejscu napotkaliśmy okropny wir. Uzbek zawrócił i nam kazał zrobić to samo. Szliśmy w ubraniu i butach, bo i tak wszystko na nas było przemoknięte. Szliśmy wszyscy troje, trzymając się pod ręce i w pewnym momencie brat Józef upadł do wody i woda zaczęła wszystkich unosić. Aniela krzyknęła: „Jezus Maryja, idziemy z wodą”. I o dziwo, Aniela podniosła brata i wrócili do tego samego brzegu. Okazało się, że trzeba iść około 2 km w przeciwnym kierunku od naszego mieszkania by znaleźć bród, gdzie na koniu przewożono ludzi przez rzekę. Zimno było niesamowicie i to nie dawno po chorobie, ale jakoś nic złego nam się nie stało po tej kąpieli i przejściu 6. km w mokrym ubraniu.

Droga do wolności

Gdy dowiedzieliśmy się, gdzie ludzie zbierają się do wyjazdu z Rosji, poprosiliśmy naszych Uzbeków by nas odwieźli do danej miejscowości. Dali nam rzeczywiście wóz o dwóch kołach, bo innych tam nie ma, zaprzęgniętych w dwa woły. Gdy już władowaliśmy wszystkie nasze rzeczy, Uzbekcy zwrócili się do nas w tych słowach: „Nigdzie nie pojedziecie. Myśmy was karmili a wy nie pracowaliście”. Karmili nas co prawda takim zbożem, że bydłu daje się lepsze, ale co począć? Zaczęliśmy zrzucać z wozu co się dało, uzbieraliśmy cały stos tych rzeczy, dodaliśmy jeszcze skrzypce tatusia. Powiedzieli, że dosyć. Zgodzili się nas podwieźć, więc ruszyliśmy w drogę. Na środku rzeki woły odprężyły się i poszły sobie a my zostaliśmy na wozie. Wszyscy jakoś przeszli przez wodę i dotarli do brzegu. Aniela była za słaba, więc jakiś mężczyzna ją przeniósł. Uzbekcy połapali woły, zaprzęgli je i dowieźli rzeczy do brzegu. Gdyśmy dotarli do punktu zbiorczego dla uchodźców polskich w Krasnowodzku, odpadło już wiele trosk. Otrzymaliśmy jedzenie, ubranie i nawet trochę pieniędzy i już było

bardziej „po ludzku”. Do Persji, do Pahlevi jechaliśmy okrętem przez Morze Kaspijskie. Była burza na morzu, wszyscy byli chorzy.

W kwietniu 1942 r. wysiedliśmy z olbrzymiego statku ledwo żywi. Na początku była kwarantanna, trzeba było przejść przez dezynfekcję, wykapać się i przebrać się w czyste ubrania z darów amerykańskich. Wierzyć się nie chciało, że jesteśmy już na wolności. Niektórzy całowali tę wolną ziemię. Na brzegu czekały już na nas namioty. W Pahlevi byliśmy krótko, pojechaliśmy kilkoma transportami do Teheranu. Podróż była okropna. Góry wysokie a drogi wąskie. Ciężarówki pędziły z wielką szybkością. Były wypełnione po brzegi tobołami, na których trzeba było siedzieć, trzymając się „powietrza”. Kierowcy byli przeważnie pijani i pędzili prawie na ślepo, bo sami się bali, więc pili dla dodania sobie odwagi. Drogi były tak wąskie i strome, że w głowie się mąciło patrząc w dół.

W Teheranie mieszkaliśmy pod namiotami. Brat Józef chorował całą drogę i zaraz po przyjeździe do Teheranu zabrano go do szpitala i tam zmarł 20 kwietnia 1942 r. Dowiedzieliśmy się później, że przed śmiercią prosił, by odszukano mu żonę i siostry, ale nikt nie mógł tego dokonać w tym natłoku, gdzie więcej było chorych niż zdrowych. Z Teheranu zawieziono nas do Ahvazu, gdzie temperatura była wprost zabójcza +50° C. Ahvaz w języku perskim znaczy piekło. Leżeliśmy pod namiotami, nie można było wyjść na zewnątrz w tym upale. Byliśmy tam 5 miesięcy. Wracając jeszcze do Pahlevi i Teheranu. Persowie nosili w koszach gotowane jajka i rzodkiewki. Ludzie zgłodniaли kupowali i nieraz jedli za dużo na raz i potem chorowali lub umierali.

Afryka – Tanganika – Kenia

W sierpniu wyjechał transport do Karaczi w Pakistanie. Byliśmy tam miesiąc. Następnie okrętem przewieziono nas do Afryki przez port Dar-es Salaam nad Zatoką Zanzibar do osiedla Kidugali. Było to osiedle przygotowane przez Anglików dla polskiej ludności. Domki były chyba specjalnie dla nas budowane, bo niepodobne do murzyńskich szałasów plecionych z bambusów. Sypiali oni na matach rozłożonych na ziemi, chodzili nago, lecz straż pilnowała, by Murzyni zatrudnieni w osiedlu, nie chodzili nago. Prosimi nas o jakieś szmaty lub worki, w których wycinali dziurę na głowę i już koszula była gotowa. Choć dobrze pilnowano naszego osiedla, to jednak odwiedzali nas niekiedy Murzyni lub Murzynki całkiem nago, ale wtedy odprowadzano ich poza nasz teren.

Wieczorem nie można było wychodzić bez światła, bo lwy podchodziły pod domy. Gdy udało się tubylcom upolować lwa, była wielka radość w całym ich osiedlu. Murzyni oprowadzali procesjonalnie wóz z zabitym lwem tańcząc z radości. Simba, czyli lew zabity stanowił dla nich dzień święta. Bywały też polowania na boa-dusiciela. Wieszano go na wysokim drzewie a był tak długi, że sięgał aż do ziemi. Zdarzało się, że wydobywano z niego żywcem połkniętego zwierzaka.

Domki nasze były pokryte dachem, ale nie miały sufitów. Ponieważ było nas 4, więc przydzielono nam domek o czterech łózkach. Wszyscy byli zatrudnieni odpowiednio do swoich umiejętności. Łazienki i toalety były wspólne dla wszystkich mieszkańców. Kuchnia też była wspólna, trzeba było iść z naczyniami po obiad i kolację. Wracając do toalet, był to duży hangar pokryty dachem,

wewnątrz deski ułożone wzdłuż nad dziurami. W ten sposób kilkanaście osób mogło korzystać z toalety, ale nie było to bardzo przyjemne. Po zorganizowaniu szkoły, Stasia przerabiała kursy gimnazjalne i licealne w przyspieszonym tempie, by nadrobić czas stracony w Rosji. Uczyla się również haftu razem z Julią, nawet płacono za wykonane roboty, uczyła się również grać na fortepianie. Aniela pracowała w szwalni a Joanna była zatrudniona jako łączniczka.

Był w osiedlu duży kościół, który dawniej należał do protestantów. Był ksiądz, Niemiec, na msze św. przychodzili też Murzyni i bardzo ładnie śpiewali, ale w krótkim czasie kierownik osiedla, Anglik, zabronił Murzynom przychodzić na mszę św. razem z białymi i niedługo potem ksiądz Niemiec wyjechał. Parę miesięcy czekaliśmy na polskiego księdza.

W międzyczasie przez Czerwony Krzyż, dowiedzieliśmy się, że nasza siostra Eugenia została na Węgrzech, gdzie zawarła „białe małżeństwo” (zapłaciła za to) by otrzymać obywatelstwo węgierskie. Potem studiowała rzeźbiarstwo, lecz nie mogła w tym zawodzie pracować nie mając karty komunistycznej. Skończyła więc szkołę pielęgniarstwa i pracowała w szpitalu na dyżurach nocnych, miała trochę więcej czasu w dzień. Tam wstąpiła do Sióstr Serwitek Matki Boskiej Bolesnej, które na razie pod komunistami musiały się ukrywać. Brat Tadeusz przez Francję udał się do Anglii i tam ożenił się z Angielką Barbarą.

W tym czasie przyszło zawiadomienie, że dziewczęta mogą się zgłaszać do wojska żeńskiego jako „Pestki”. Postanowiłyśmy zgłosić się wszystkie, ale Stasia była za młoda, do Anglii pojechały tylko Joanna i Julia a Aniela i Stasia zostały w Kidugali. Pewnego dnia przyjechał do osiedla ksiądz Słapa na wizytację szkoły i na lekcji religii oznajmił, że w Kenii znajdują się zakonnice, które też przeszły przez Rosję i które przyjmują zgłoszenia do zakonu. Nie znałyśmy tych sióstr, ale napisałyśmy obydwie o przyjęcie. Gdy rozeszła się wiadomość po osiedlu o naszym postanowieniu, powstało wielkie zdziwienie. Nie mogło się to ludziom w głowie pomieścić, bo nie różniłyśmy się niczym od innych, chyba tylko tym, że chodziłyśmy co dzień na mszę św. Z wyborem Anieli łatwiej im było się pogodzić, ale po co bierze ze sobą dziecko? (Stasia miała 18 lat). Nawet jedna rodzina chciała zaadoptować Stasię, byle tylko nie jechała do zakonu.

Wyjazd do Kenii

W niedługim czasie przyszło do kierownika osiedla zawiadomienie, że ma nas wysłać do Kenii, do Rongai. W ostatni wieczór urządzono nam piękne pożegnanie przy obficie zastawionym stole, przeciągnęło się ono do późnych godzin i z nadmiaru wrażeń zapomnieliśmy nakręcić budziki. Obudził nas Murzyn, który miał nas zawieźć na stację. Tam spotkałyśmy pannę Wiktorię Malenczak, późniejszą s. Krystynę, z osiedla Ifudy, która też jechała jako kandydatka do zakonu. Podróż trwała około 2 tygodnie, ale nie miałyśmy żadnych kłopotów, gdyż koszt podróży, jak i wyżywienie, były z góry przez kierownictwo zapłacone. Dnia 15 lipca 1946 r. stanęliśmy na miejscu. Po raz pierwszy zobaczyłyśmy Siostry Nazaretanki, nigdy wcześniej ich nie widziałyśmy ani nie wiedziałyśmy, że takie istnieją. Ubrane były w białe fartuchy, prawdziwe habity nazaretańskie zobaczyłyśmy dopiero 15 sierpnia, gdy 10 sióstr składało śluby

wieczyste. Welonik postulancki otrzymałyśmy 20 lipca a razem w nami była też przysła s. Danuta i s. Elżbieta. Nie pamiętam imion wszystkich Sióstr. Przełożoną była Matka Regina a s. Alfonsa mistrzynią nowicjuszek. W Rongai byłyśmy około roku.

W 1947 r. władze angielskie zaczęły likwidować obozy. 8 sióstr pojechało do Polski, 2 miały jechać do Ameryki a 8 Sióstr i 5 postulanek do Anglii do szkoły w Pitsford. 26 sierpnia okręt Langiby Castle wypłynął z Mombassy. Ponieważ Morze Czerwone i Śródziemne były pełne min, okręt płynął dookoła Afryki. Miałyśmy szczęście zwiedzić wszystkie miasta portowe i wszędzie spotykałyśmy przyjaznych ludzi. Do Anglii, do Londynu, przyjechałyśmy 9 listopada. Witano nas serdecznie w Enfield, gdzie przełożoną była Matka Ancilla. Na drugi dzień udałyśmy się do Pitsford, gdzie czekały na nas s. Beata i s. Bonnoza oraz około 20 dzieci. Wielkie wrażenie zrobił na nas ten książęcy pałac i park, ale dość obrabowane podczas wojny. Zaraz na drugi dzień poszłyśmy zbierać ziemniaki na polu.

Wyjazd do Rzymu i do nowicjatu nastąpił w marcu. Po rekolekcjach miałyśmy obłóczyny 19 marca 1948 r. w Albano. Nie prosiłyśmy o imię: Aniela otrzymała imię Klemensy a Stasia Alicji. Przeżyłyśmy bardzo głęboko te ceremonie. Po nowicjacie pierwsze śluby miałyśmy w Albano w dniu 25 marca 1950 r. s. Klemensa po ślubach pełniła przez 5 lat obowiązki szafarki w domu paryskim a s. Alicja w Rzymie, na Machiavelli, uczyła się języka włoskiego, muzyki oraz była towarzyszką na wyjścia do miasta. Pomagała też Matce De Lourdes pisać na maszynie i na powielaczu konferencje Naszej Matki Założycielki. Pod koniec 1955 r. pojechałyśmy obydwie do Nowicjatu do Albano na przygotowanie do wieczystych ślubów, które złożyłyśmy w Rzymie na Via Machiavelli w Domu Macierzystym 17 marca 1956 r. Siostra Klemensa została na Via Machiavelli pełniąc funkcję ekonomki do 1964 r., następnie była ekonomką w nowym domu generalnym na Via Nazareth aż do śmierci 17 maja 1987 r. Siostra Alicja po wieczystych ślubach była w Albano organistką i ekonomką. W Anglii była pod koniec 1957 r, i w r. 1958 by zastąpić s. Benedyktę, która była wychowawczynią gimnazjum a która pojechała na przygotowanie do ślubów wieczystych. Po powrocie s. Benedykty, s. Alicja wróciła do Albano, gdzie była ekonomką i organistką a równocześnie jeździła do Rzymu, by zastąpić chorą organistkę M. Krystynę. W 1960 r. otrzymała licencjat muzyki i śpiewu gregoriańskiego. We wrześniu 1965 r. została wysłana do Francji do Sallaumines na przełożoną. Musiała uczyć się dopiero języka francuskiego, zwyczajów tego kraju i regionu, sposobów uczenia katechizmu itd. Dom w Sallaumines był otwarty w 1959 r. Na początku było 5 sióstr, potem 4, potem 3. Na końcu zostało nas tylko dwie s. Ewa i s. Alicja. Byłyśmy we dwie przez 6 lat. Pracy było dużo w parafii: katechizacja, odwiedzanie chorych itd. Siostra Ewa umarła nagle 11 lipca 2002 r. Siostra Alicja nie mogła zostać sama, bo życie zakonne jest we wspólnocie, przeniosła się do Paryża do Sióstr na rue de Vaugirard.*

*Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje Pani Prof. dr hab. Elżbiecie Treli-Mazur z Uniwersytetu Opolskiego za przekazanie nam wspomnień s. M. Alicji przebywającej w domu zakonnym w Paryżu.

Wojna rozproszyła nas po całym świecie: Mama umarła i jest pochowana w Kazachstanie; Tata i siostra Amalia umarli i są pochowani w Uzbekistanie; brat Józef umarł i pochowany był w Teheranie; Aniela, siostra Klemensa, pochowana w Rzymie; Eugenia, siostra Filipa, pochowana na Węgrzech; brat Tadeusz pochowany w Anglii. **Żyjący:** Joanna, s. Dolores, mieszkała w Ameryce, New Jersey (zmarła 11.06.2006 r.); Julia z mężem Michałem Szypowskim są w Kanadzie w Kingston (syn i córka), oboje zmarli w 2007 r.; Barbara, bratowa jest w Anglii (1 córka, 2 wnuczki).

+ Ufam, że wszyscy spotkamy się w niebie.

Artur Międzyrzecki

PIEŚNI

Zdrętwiała w stepach kazachskich, omdlała z żaru wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.

Są wzloty podniebne, harde. Są ostre, ciemne upadki.
Są dnie, co o pachną lipami, są słońca pokryte cieniem.
Jest wiersz o wiosnie w mym tomie, a obok jest list od Matki.
Są ranki dzwoniące pustką i blady świt, jak westchnienie.

Żmudna jest droga do siebie, gdy szlak się gubi w ciemności,
Gdy płaczą uschnięte kwiaty, gdy wyje noc urągliwie,
Kiedy nie można ogarnąć, kiedy nie można uprościć
Zmierzchów przeklętych rozpaczą i zwyciężonych porywem.

Ciężko jest nie móc odszukać swych własnych zmęczonych kroków,
Wciąż patrzeć celów odległych, rzuconych w przepastne dale
W zsiniałym jak obojętność, w nostalgii płaczącym mroku,
Czekając tęczy u kresu, nie mogąc jej w drodze znaleźć.

Ciężko nieść miłość przed sobą w wędrówkach długich, ciemnistych,
Ciężko nieść żagiew nadziei, rozplómiętej swą wolą,
Szukając dalekich oczu, które się nie chcą przyśnić,
Szukając dłoni pomocnej i zagarniając popioły.

Ty ze mną tylko idziesz, Ty ze mną tylko płyniesz,
Ty świecisz gwiazdą przewodnią i szlak wytyczasz męczeński
Przez śniegi więziennych łądów, przez morza i przez pustynie.
Umiesz bić werble zwycięskie i odwrót osłaniać z klęski.
Pieśni, niezgasła wśród lodów, pieśni trwająca wśród pustyń,
Ty jedna mnie nie zawiedziesz, Ty jedna mnie nie opuścisz.

*

Artur Międzyrzecki (1922-1996) – poeta, prozaik, eseista, tłumacz. W latach 1940-1942 przebywał na syberyjskim zesłaniu. Potem służył w formacjach wojskowych na Bliskim Wschodzie. Uczestnik bitwy pod Monte Cassino. Po wojnie osiadł w Paryżu, gdzie ukończył dziennikarstwo w Ecole des Sciences Politiques. Od rok 1950 mieszkał w Polsce oddając się pracy twórczej oraz edytorsko-przekładowej.

KRONIKA

• SYBERYJSKI SZLAK JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

W jednym ze szkiców z około roku 1908 Józef Piłsudski napisał: „Syberia – to druga ojczyzna Polaków”, a gdy w roku 1928 powstał Związek Sybiraków, wówczas jednogłośnie wybrano go Członkiem tego Związku wręczając mu legitymację z nr 1. W Zjeździe Założycielskim, który odbywał się w dniach 29-30 czerwca 1928 r w gościnnych salach Politechniki Warszawskiej uczestniczył Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, prof. Ignacy Mościcki i śmiało rzecz można, że było to wielkie wydarzenie u progu naszej narodowej niepodległości po wieloletnim zaborze. Postuluję więc raz jeszcze za prof. Antonim Kuczyńskim, który w roku 2008 złożył stosowny „Apel” do Zarządu Głównego Związku Sybiraków, aby w Cytadeli Warszawskiej gdzie odbyło się pierwsze posiedzenie grupy inicjatywnej mającej na celu powołanie Związku Sybiraków oraz w gmachu Politechniki Warszawskiej, gdzie odbywał się I Założycielski Zjazd Sybiraków umieszczone zostały tablice memoratywne, jako trwały znak naszych narodzin w niepodległej wówczas Polsce

.W niepodległej i odrodzonej Ojczyźnie kult pracy na rzecz jej rozwoju, krzewiony też przez Związek Sybiraków integrował wysiłki Polaków podnosząc je go rangi patriotyzmu. Wielu z nich łączyły różne wspomnienia Sybiru, gdzie rzucił ich zesłańczy los i spędzili tam wiele lat oddając syberyjskiej ziemi swój trud, wiedzę i umiejętności.

Tak więc po wielu latach, które upłynęły od chwili powołania Związku Sybiraków podkreślić należy fakt, iż Marszałek Józef Piłsudski, twórca niepodległości Polski pozostawał w bliskich kontaktach ze Związkiem Sybiraków, zwłaszcza z jego twórcami, byłymi żołnierzami i oficerami V Syberyjskiej Dywizji. Przypomnijmy, że gdy Związek Sybiraków zabiegał o utworzenie kwartalnika „Sybirak” na zadane Marszałkowi pytanie dotyczące tej sprawy wówczas odpowiedział: „Piszcie, niech inni nie fałszują naszej historii”. Interesował się zawsze rozwojem ruchu sybirackiego w Polsce, wspierał go i radował się aktywnością Związku utrwalającego tradycje kontaktów polsko-syberyjskich. Tak więc przypominam tu postać Marszałka, Honorowego Członka Związku Sybiraków z legitymacją nr 1.

Józef Piłsudski urodził się 5 grudnia 1867 roku w Zułowie, w rodzinie o tradycjach niepodległościowych (jego ojciec – Wincenty był w 1863 roku komisarzem Rządu Naczelnego podczas Powstania Styczniowego). W 1886 roku Ziuk, rozpoczął studia medyczne w Charkowie, gdzie zetknął się ze studencką organizacją rosyjską spod znaku „Narodna Wola”. Nie związał się z nią jednak, po roku studiów powrócił do Wilna i starał się dostać na studia w Dorparcie (Estonia). Jednak zezwolenie na zmianę uczelni przeciągało się i Piłsudski pozostał w Wilnie, nawiązując kontakty z kolegami gimnazjalnymi, studiującymi w Petersburgu, gdzie przebywał też Jego starszy o rok brat, Bronisław.

W Petersburgu powstała już wtedy „Fracja Terrorystyczna – Narodna Wola” dążąca, poprzez organizowanie zamachów, do zmuszenia władz carskich do ustępstw wolnościowych. Piłsudski poznał studentów tej frakcji starających się w Wilnie o części do wykonania bomby. Tak Bronisław jak i jego młodszy brat zostali przewodnikami w tej sprawie, a Józef udzielił nawet noclegu jednemu z członków przyszłej akcji. Planowany zamach na cara Aleksandra III nie powiódł się, a spiskowców aresztowano. Bronisława zatrzymano w Petersburgu, ten sam los spotkał Józefa aresztowanego dnia 22 marca 1887 roku w Wilnie i przewiezionego do Petersburga. Na zlecenie sądu wydano kilka nakazów wykonania wyroków śmierci. Tę najsurowszą karę otrzymał również Bronisław, którą następnie zamieniono na 15 lat katorgi. Natomiast Józef został skazany na pięć lat zesłania do wschodniej Syberii.

Zaraz po procesie Bronisław Piłsudski trafił na odległy Sachalin, zaś Józef 27 maja 1887 r. odprawiony został do Moskwy do więzienia na Butyrkach, następnie podróżował koleją do Niżnego Nowogrodu w grupie około 60 osób, skąd płynął aresztancką barką, rzekami Wołgą i Kamą do Permu. Stąd znowu transportowano więźniów koleją do Tiumeni za Uralem, i barką Irtyszem i Obem do Tomsku. Po przygotowaniu „etapu” więźniowie wyruszyli do Krasnojarska pieszo około 500 kilometrów. Dziennie partia więźniów robiła około 25 wiorst (26,6 km), a następnie z Krasnojarska mieli przed sobą drugie 500 km do Irkucka. Po dwóch dniach więźniowie mieli jeden dzień odpoczynku w barakach przygotowanych dla skazańców. Warunki w jakich przebywali więźniowie były tragiczne – bród i wszy. Trudy podróży pogłębiały głodowe porcje żywności. Józef był osłabiony fizycznie po długim transporcie i po wyczerpującym marszu, cierpiał również psychicznie, gdyż całą drogę przebył z kryminalistami. W konwoju więźniowie polityczni stanowili mniejszość i musieli się podporządkować nie tylko konwojentom, ale i regułom narzuconym przez pospolitych przestępców.

Po dotarciu do Irkucka Piłsudski podlegał władzy generał-gubernatora, który jako miejsce osiedlenia wyznaczył mu miasto powiatowe Kireńsk, położone 1000 wiorst od Irkucka, nad rzeką Leną. Oczekując na docelowy transport do miasta Piłsudski został umieszczony w więzieniu, gdzie grupa więźniów politycznych liczyła około dwudziestu kilku ludzi. Często dochodziło tam do konfliktów ze strażą więzienną co spowodowało zaostrzenie rygoru. Więźniowie skarżyli się na długie przetrzymywanie korespondencji, która dodatkowo była przeglądana przez prokuratora. A prośby o lepsze traktowanie osadzonych, spełniane były tylko w zależności od woli danego oficera.

Moment kulminacyjny nadszedł, gdy pewnego razu po lekkim naruszeniu przepisów, władze więzienia chciały zabrać do karceru jednego z osadzonych – Cejtlina. Więźniowie stawili opór, nie wydając go. W odwecie naczalstwo więzienia nakazało pozamykać cele, które dotychczas w ciągu dnia były otwarte, to jeszcze bardziej pobudziło bunt więźniów. Pomimo ponownej interwencji policmajstra w sprawie więźnia, koledzy nie wydali go. Kiedy sprzeciw trwał dalej, więźniowie postanowili zebrać się do wspólnej celi. Wtedy do działań przystąpiło naczalstwo więzienia z żołdatami, którzy skierowali bagnety na więźniów i na rozkaz policmajstra zaczęli okładać

osadzonych kolbami karabinów. Piłsudski otrzymał kilka ciosów w głowę, po czym stracił przytomność. Więźniów pojedynczo wyciągano z celi, przenosząc ich następnie do innych pomieszczeń. Osadzeni zażądali od władz więzienia papieru, by napisać skargę na nieludzkie traktowanie. Dodatkowo rozpoczęła się głodówka, która jednak szybko się skończyła i nie trwała długo. Zainicjowany bunt trwał dwa dni. Po jego ustaniu, reżim więzienny zelżał. Nastąpił przewód sądowy, uczestnicy buntu otrzymali po pół roku dodatkowej kary, zaś Piłsudski i dwóch innych współtowarzyszy otrzymali, jako młodociani, po trzy miesiące. Już w tydzień po ogłoszeniu wyroku, tj. 1 grudnia 1887 r., Piłsudski wyruszył do przeznaczonego mu miejsca zesłania znosząc dzielnie trudy jakie wyznaczał mu syberyjski los.

Transport po zamrożonej Lenie odbywał się saniami. Mróz dochodził do 40° C. Kiedy w dniu 23 grudnia 1887 roku, Piłsudski dotarł do Kireńska, miał w tym czasie 20 lat. Na miejscu zastał stare, drewniane, podobne do więzienia zabudowania. Widok był przerażający. Przebywał tam dwa i pół roku. Jego życie, jako zesłańca w odróżnieniu do skazanych na katorgę, było dość swobodne. Jednak nie mógł on bez pozwolenia podróżować. Kiedy Piłsudski pojechał do miejscowości oddalonej o 12 km w odwiedziny do Polaka, po swoim przybyciu został skazany na siedem dni aresztu przez policję carską. Osiedlenie nie miało obowiązku pracy, a rząd płacił mu 10 rubli miesięcznie na utrzymanie.

Piłsudski właściwie robił co chciał, poznawał tajgę, pływał po Lenie, pracował trochę jako pisarz kancelaryjny. Spotykał się z osiedlonymi w Kireńsku Polakami, m.in. z Wacławem Sieroszewskim skazanym na 12 lat katorgi zamienionej następnie na osiedlenie. Podczas pobytu w tej miejscowości Ziuk poznał również Stanisława Landego. Był on socjalistą, który zainteresował Piłsudskiego tym nurtem. Latem 1889 roku do Kireńska przyjechała młodsza siostra żony Landego – Leonarda Lewandowska. Pomimo tego, że Leosia była o kilka lat starsza od Piłsudskiego, to wzbudziła w nim uczucie miłości. Przez pewien czas oboje korespondowali ze sobą, jednak znajomość urwała się po powrocie Piłsudskiego z zesłania.

Za wstawiennictwem Stanisława Landy, generał-gubernator zgodził się na przeniesienie Józefa do miejscowości o łagodniejszym klimacie. Było mu to potrzebne – w tym okresie był wątły, chudy, ustawicznie przeziębiony, ze zapadniętą klatką piersiową. Piłsudski trafił do Tunki, oddalonej około 200 km na południowy zachód od Irkucka. Była to mała wieś w Sajanach, górach Buriacji. Warunki życia były tu o wiele lepsze niż w Kireńsku. Tunka była tą miejscowością, do której rząd carski za karę zsyłał polskich duchownych za udział w Powstaniu Styczniowym. Mieszkało tu około 300 Polaków. Byli też wśród nich naukowcy oraz artyści, z którymi Piłsudski szybko nawiązywał kontakty.

Czas jaki spędził Ziuk w Tunce był całkowicie odmienny do tego w Kireńsku. Dużo czytał m.in. dzieła Słowackiego, polował oraz wraz z przyjaciółmi spławiał rzeką drewno na zimę. Uczył też dzieci dr. A.I. Michalewicza, języków francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego.

Tak minęło przeszło pięć lat zesłania. Józef Klemens Piłsudski w dniu 20 kwietnia 1892 roku przygotowywał się do powrotu do domu, do ukochanego Wilna, gdzie przybył 1 lipca 1892 roku.

Wiesław Krawczyński

• **MEDAL TOWARZYSTWA IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
DLA WIESŁAWA KRAWCZYŃSKIEGO**

9 listopada 2010 r. w Domu Kultury w Solvaju odbyła się uroczystość ku czci Święta Niepodległości zorganizowana przez Jerzego Gizę, Dyrektora Zespołu Szkół Społecznych nr 1 w Krakowie. On też powitał zebranych Gości, w sposób szczególnie wyróżniając i przedstawiając osobę Wiesława Krawczyńskiego, Żołnierza Armii Krajowej pochodzącego ze Lwowa, aresztowanego przez NKWD, a po ciężkim śledztwie skazanego na karę śmierci, następnie zamienioną na dożywotnie zesłanie na Sybir, gdzie spędził 11 lat. Po powrocie do Polski oddał się Jej całym sercem. Współzakładał, gdy już było to możliwe Związek Sybiraków Oddział Krakowski, którego był pierwszym prezesem.

Podczas tej pięknej uroczystości Wiesław Krawczyński otrzymał pierwszy egzemplarz Medalu Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego, który wręczyli Mu Tadeusz Żaba oraz Paweł Skorut.

W dołączonym do medalu Dyplomie napisano:

**Mając na względzie dzielność i wierną służbę Ojczyźnie,
Jej obronę w godzinie dziejowej próby,
służbę w szeregach Armii Krajowej,
ogrom niedoli i doznanych cierpień, podczas wieloletniej zsyłki na Sybir
oraz piękne życie dla Polski
po powrocie z nieludzkiej ziemi,
mamy zaszczyt nadać
Wielmożnemu Panu Wiesławowi Krawczyńskiemu
Medal Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego posiadający Nr 1**

W czasie wręczania Medalu zebrani powstali ze swoich miejsc, a następnie gratulowali W. Krawczyńskiemu poprzez huczne brawa. W wystąpieniu po dekoracji W. Krawczyński podkreślił wysiłek wkładany przez pedagogów Szkoły w patriotyczne wychowanie młodzieży.

Następnie zebrani mieli przyjemność obejrzenia i wysłuchania części artystycznej przygotowanej przez młodzież z Zespołu Szkół Społecznych nr 1 w Krakowie, na którą składały się w związku z obchodzonym Rokiem Szopenowskim: przedstawienie teatralne poświęcone wielkiemu kompozytorowi, wykonanie jego wybranych utworów na fortepianie przez uczniów szkoły, układy choreograficzne również w wykonaniu uczniów, a także występ szkolnego chóru, który wykonał pieśni patriotyczne.

Tadeusz Żaba
Biuletyn „Kasztanka” nr 8/2010

- **DOM IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W KRAKOWIE**

Dom im. Józefa Piłsudskiego w Krakowie przy ul. 3 Maja 7 został wzniesiony w latach trzydziestych XX wieku ze składek publicznych na krakowskich Oleandrach, w miejscu koncentracji pierwszych oddziałów legionowych w sierpniu 1914 roku. Jego misją było upowszechnienie idei niepodległościowych i państwowych Marszałka wśród młodego pokolenia.

W celu zachowanie wyjątkowego, historycznego charakteru tego miejsca Wojewódzki Komitet Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Krakowie podjął Uchwałę w sprawie przyszłości tego domu, uważając to za ważny priorytet w działaniach władz rządowych i samorządowych miasta Krakowa i województwa małopolskiego. W tym celu Komitet uważa za konieczne:

1. Pilne przeprowadzenie pełnej ekspertyzy stanu budynku oraz inwentaryzacji dotychczasowej działalności zajmujących go organizacji, a szczególnie Muzeum Czynu Niepodległościowego.

2. Rozpisanie otwartego konkursu na całościowy projekt zagospodarowania Domu im. Józefa Piłsudskiego z uwzględnieniem jego historycznej misji, dotychczasowego dorobku oraz nowych form działalności wykorzystujących w pełni jego potencjał wzbogacony nowoczesnymi środkami przekazu.

Biuletyn „Kasztanka” nr 8/2010

- **„WOLNOŚĆ, GRANICE, MOC, SZACUNEK”**

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku zorganizowało wystawę w hołdzie Marszałkowi, która odwiedzi siedem polskich miast, w każdym z nich pozostając 10 dni. Motyw przewodni wystawy został zaczerpnięty z przemówienia Ignacego Mościckiego wygłoszonego na pogrzebie J. Piłsudskiego. Prezydent powiedział wtedy o zmarłym: „Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek”.

Wystawa prezentowana jest na otwartej przestrzeni, dostępna dla wszystkich. Ma przybliżyć poglądy i osobę Marszałka. Zawiera zdjęcia, cytaty z pism i fakty historyczne. Jej organizatorom zależy na tym by przypomnieć narodowi Jego zasługi w rocznicę śmierci. Krzysztof Jaraczewski – wnuk Marszałka – chciałby również nagłośnić plany otwarcia muzeum w Sulejówku. Powiedział: „Od śmierci Marszałka minęło 75 lat, a przez ten czas nasza historia obfitowała w wiele dramatycznych wydarzeń, dlatego do tamtych czasów możemy dzisiaj podejść z dystansem, refleksją, dając pod rozwagę słowa organizując tę wystawę. Pojęcia, które wypowiedział prezydent Mościcki, kiedy je przeanalizujemy, definiują państwo twórcze. W tym momencie rozwoju naszego kraju – państwa i społeczeństwa – są bardzo użyteczne.”

Biuletyn „Kasztanka” nr 8/2010

- **ZUŁÓW 143 LATA PÓŹNIEJ**

5 grudnia 2010 r. w Zułowie odsłonięto kamień pamiątkowy. Tym samym Związek Polaków na Litwie zapoczątkował odbudowę Rezerwatu Pamięci Piłsudskiego, według projektu architekta Romualda Gutta z 1937 r. Z przedwojennych pamiątek przetrwał jedynie dąb posadzony 10 października przez Ignacego Mościckiego i Aleksandrę Piłsudską. Przed kilkoma laty ZPL nabył w Zułowie działkę, gdzie niegdyś stał dworek Piłsudskich. Polacy na Litwie chcą odbudować Rezerwat na 150. rocznicę urodzin Marszałka i uczynić z niego miejsce pamięci narodowej, a także postawić tu pomnik Piłsudskiego. Mają jednak ograniczone środki finansowe, organizują więc wydarzenia kulturalne ze zbiorcami, a także proszą o wsparcie. Więcej informacji na stronie internetowej Związku Polaków na Litwie.

Ż. Ch.

Biuletyn „Kasztanka” nr 9-10/2011

- **WSPÓŁPRACA ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
Z ZESPOŁEM SZKÓŁ NR 1 IM. ZESŁAŃCÓW SYBIRU
W TORUNIU**

Współpraca pomiędzy Związkiem Sybiraków a Zespołem Szkół nr 1 w Toruniu rozpoczęła się od dnia 30 kwietnia 2009 r. w tym dniu Rada Miasta Torunia jednogłośnie podjęła uchwałę o nadaniu imienia „Zesłańców Sybiru” Gimnazjum nr 6 i VI Liceum Ogólnokształcącemu – Zespołowi Szkół nr 1. Wybór imienia szkole został poprzedzony okresem przygotowań, w których brali udział zarówno uczniowie i nauczyciele obydwu szkół jak również Zarządy Oddziału i Koła Związku Sybiraków w Toruniu. W maju 2009 r. odbyły się spotkania z młodzieżą we wszystkich klasach. Sybiracy opowiadali o swych przeżyciach w latach 1940-1946. Młodzież z uwagą słuchała o losach zesłańców i zadawała wiele pytań.

17 września 2009 r., w dniu święta Sybiraków, odbyła się uroczystość wręczenia szkole sztandaru ufundowanego przez sponsorów i Sybiraków. Uroczystość rozpoczęła się sesją u Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Następnie przekazano młodzieży sztandar. Spotkanie zakończyło się na cmentarzu ofiar II wojny światowej, pod obeliskiem poświęconym Sybirakom. Uroczystość odbyła się z ceremoniałem wojskowym, w obecności władz województwa i miasta, młodzieży, Sybiraków i mieszkańców Torunia.

Młodzież z Zespołu Szkół nr 1 im. Sybiru tworzy poczet sztandarowy Związku Sybiraków i bierze udział w uroczystościach państwowych, miejskich i sybirackich. W Zespole Szkół nr 1 im. Zesłańców Sybiru utworzono maturalne klasy mundurowe. Ich absolwenci znajdują zatrudnienie w straży pożarnej, policji i straży miejskiej. W kosztach umundurowania tych klas partycypowali również Sybiracy. Kolejnym przedsięwzięciem było otwarcie w dniu 10 lutego 2010 r. Izby Pamięci Sybiraków. Liczne zdjęcia, materiały i eksponaty dostarczyli byli zesłańcy, szatę graficzną i wystrój opracowało grono nauczycielskie. Sybiracy są zapraszani do szkoły na uroczystości szkolne m.in. na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, zakończenie klas maturalnych, odbyła się również wieczornica poświęcona wy-

darzeniom na Wschodzie w latach 1795-1956 przygotowana przez uczniów i nauczycieli Naszej szkoły. Montaż słowno-muzyczny party na wierszach poetów-sybiraków uświetnił spotkanie opłatkowe Sybiraków w styczniu br.

W dniu 28 maja 2010 r. wręczono nagrody zwycięzcom II edycji wojewódzkiego konkursu pt. „Syberyjska Golgota – losy Sybiraków na Wschodzie w latach 1795-1956”. Na konkurs wpłynęło 48 prac z całego województwa Kujawsko-Pomorskiego (w pierwszej edycji – 96 zgłoszeń). Prace miały charakter opracowań medialnych omawiających losy wybranego Sybiraka. Prace były oceniane przez komisję konkursową w dwóch kategoriach szkół: gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. W skład komisji, oprócz dyrektora Zespołu Szkół nr 1 w Toruniu im. Zesłańców Sybiru Zbigniewa Matuszkiewicza, który był przewodniczącym komisji i nauczycieli, weszła również p. Zofia Kalisz – prezes Oddziału Związku Sybiraków w Toruniu. Po zapoznaniu się ze wszystkimi nadesłanymi pracami i dokonaniu ich oceny, komisja konkursowa przyznała po trzy nagrody w każdej kategorii. Otrzymali je uczniowie ze szkół z Brodnicy, Skępego k. Lipna, Grudziądza, Gimnazjum w Pluskowęsach k. Chełmży i Torunia. Rozdanie nagród odbyło się w szkolnej Izbie Pamięci i poprzedzone było prezentacją nagrodzonych prac. W imieniu Sybiraków gratulacje nagrodzonym i podziękowania dla ich opiekunów za zaangażowanie w kład pracy złożyła sekretarz Koła Związku Sybiraków Danuta Szelatyńska oraz dyrektor szkoły Zbigniew Matuszkiewicz.

Sybiraków ogromnie cieszy fakt, że po latach milczenia o losach Polaków na zesłaniu, możemy mówić o naszych przeżyciach z okresu wojny i po jej zakończeniu oraz szerzyć wiedzę na ten temat wśród młodzieży.

Danuta Szelatyńska

• SYMBOLIKA PAMIĘCI

We współczesnym dorobku „symboli pamięci” o zesłaniach i deportacjach Polaków na Syberię w okresie drugiej wojny światowej i w pierwszych latach tzw. powojnia zauważyć można szereg lokalnych inicjatyw Oddziałów i Kół Związku Sybiraków. Pod względem rodzajów i tematyki tzw. znaków pamięci obserwujemy dużą rozpiętość – uroczystości rocznicowe, pomniki i obeliski, tablice pamiątkowe, symboliczne mogiły, okolicznościowe wydawnictwa itp.

Ich inicjatorom należą się słowa szczerzej i naprawdę zasłużonej pochwały za te inicjatywy i ich realizację, jakże w niełatwych nieraz warunkach finansowych. Bywałem nieraz przy „odsłanianiu” pamiątkowych tablic związanych z tzw. „Golgotą Wschodu”, obelisków i pomników i z zaciekawieniem biorę zawsze autorskie książki wspomnieniowe opisujące syberyjski szlak oraz prace zbiorowe z tego zakresu. Gratuluję wszystkim realizującym te zadania i można tylko wyrazić nadzieję i życzenie, aby w ślad za tą różnorodnością inicjatyw powstawały następne symbole syberyjskiej pamięci naszego Narodu. Działania te

wprowadzają do trwałej tradycji historycznej większy niż dotychczas zasób wiedzy o związkach polsko-syberyjskich, budzą pamięć i refleksję o tych sprawach, jakże przydatną w czasach współczesnej, nieuchronnej globalizacji.

W ubiegłym roku minęła 70-ta rocznica pierwszej masowej deportacji Polaków na Syberię w dniu 10 lutego 1940 r. Wpisało się w nią szereg lokalnych inicjatyw, które ożywiły pamięć o tamtych tragicznych doświadczeniach. Koło Związku Sybiraków w Suwałkach, przy wydatnym wsparciu lokalnych władz samorządowych poprzedziło te wydarzenia zorganizowaniem w 70-tą rocznicę rozpoczęcia drugiej wojny światowej i sowieckiej agresji na Polskę uroczystości z pełnym ceremoniałem wojskowym przed pomnikiem „Żołnierzy Września” z udziałem licznych rzesz młodzieży z suwalskich szkół i mieszkańców miasta. A potem by zachować i odświeżyć pamięć o masowej deportacji Polaków dokonanej nocą z 9 na 10 lutego 1940 roku zorganizowano w suwalskiej Konkatedrze pod wezwaniem św. Aleksandra uroczystość upamiętniającą te tragiczne wydarzenia. Wzięły w niej udział władze samorządowe powiatu, miasta i gminy, organizacje kombatanckie, młodzież szkolna oraz liczni wierni.

Jak więc widzimy każdemu z wyodrębnionych okresów naszej historii związanej z tragicznymi wydarzeniami września 1939 roku oraz ich następstwami odpowiadały określone formy uroczystości i zachowania o tym zbiorowej pamięci. W kalendarz tych suwalskich obchodów inspirowanych przez Związek Sybiraków dodać jeszcze należy zorganizowane w dniu 13 września 2010 r. uroczystości upamiętniające kwietniową deportację z 1940 r. oraz 70. rocznicę zbrodni katyńskiej, pokryte niestety całunem żałoby po smoleńskiej tragedii z dnia 10 kwietnia. Uroczystościom tym towarzyszyła liczna obecność lokalnej społeczności, w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Miłosierdzia odsłonięto tablicę pamiątkową i złożono ziemię z polskiego grobu na Syberii z rejonu Abakanu. W dniu tym z inicjatywy samorządu suwalskiego odbyło się posadzenie „dębów katyńskich” przy Szkole Podstawowej nr 7 – jeden upamiętniający suwalskie ofiary Katynia, drugi, rzec można imienny, poświęcony gen. broni Henrykowi Minkiewiczowi – suwalczaninowi. Aby przypomnieć sobie i poszerzyć krąg wiedzy faktograficznej, czy ugruntować obraz historii „swojej małej ojczyzny”, jaką jest ziemia suwalska zorganizowano też w tym czasie wystawę dokumentów dotyczących tzw. Obławy Augustowskiej dokonanej przez NKWD i UB w lipcu 1945 r. na terenie powiatów: Augustów, Sokółka, Suwałki i Sejny. Do tej pory nie znany jest los aresztowanych wówczas 593 mieszkańców, którzy nie powrócili z sowieckich więzień, nie znane też jest miejsce ich wiecznego spoczynku.

Specyfiką prezentowanych powyżej uroczystości jest powiązanie inicjatyw suwalskiego Koła Związku Sybiraków (liczącego 36 osób) z wspierającymi je władzami lokalnymi, uznające za niezmiernie ważne kontynuowanie tradycji historycznych regionu jako głównych osi powiązanych ze sobą nurtów patriotycznych. Msze święte towarzyszące uroczystościom rocznicowym, współpraca ze szkołami i władzami lokalnymi, tablice pamiątkowe, pomnik w hołdzie Zesłańcom Sybiru, zbiór wspomnień pt. *Syberyjski szlak*, wydanych z inicjatywy, i pod red. Henryka Kuczyńskiego (Suwałki 2007), wszystko to świadczy o nierozdzielności w traktowaniu problematyki patriotycznej w imię ważnej sentencji „Narody tracące pamięć, tracą życie”, umieszczonej na pomniku

Zesłańców Sybiru wzniesionym na suwalskim cmentarzu. Zatem podkreślmy raz jeszcze, że te wszystkie uroczystości i związane z nimi znaki pamięci są znakomitym przewodnikiem po czasach minionych i wydarzeniach coraz częściej niestety zapomnianych, a już przykrym jest niezmiernie fakt, że pomijają je podręczniki historii.

Bronisław Przesmycki

Leopold Lewin

SONET KAZACHSTAŃSKI

Ranek zawiesza blado różowe zasłony
Na kruszejących zboczach starego Tienszanu,
Z którego szczytów śnieżne błyskają korony –
Oślepiające kandelabry Kazachstanu.

U gór podnóża barwią się maków miliony,
Ścieląc tło malownicze wschodniego dywanu,
Na którym cienie chanów zbierają pokłony
Poległych przed wiekami wyznawców Koranu.

Gdy wiatr zgina ku ziemi głowy maków,
Step jak zaczarowany błękitem się mieni
Od niezapominajek, ukrytych w czerwieni.

Z oddali płyną głosy oszalałych ptaków,
Szmer skocznych Aryków, pluszczących w zieleni,
I westchnienia skarżących się wichrom Polaków.

*

Leopold Lewin (1910-1995) – poeta i tłumacz. W roku 1940 aresztowany we Lwowie przez NKWD. Uważany za wroga Związku Radzieckiego przebywał w więzieniach Lwowa, Kijowa, Kirowogradu i Charkowa. Skazany na 5 lat łagrów przewieziony został w rejon Archangielska. Tam pracował przy wyrębie tajgi, doświadczając głodu i wielu upokorzeń. Po podpisaniu porozumienia Sikorski-Majski przybył do Dżambułu, gdzie był sekretarzem Delegatury Ambasady RP. Po zerwaniu tego międzynarodowego układu został aresztowany i przez Trybunał Sądu Wojennego skazany na karę śmierci. W latach 1944-1946 oficer Ludowego Wojska Polskiego. Po wojnie sekretarz generalny (1948-1950) Związku Literatów Polskich. Autor licznych wierszy drukowanych w czasopiśmie, antologiach oraz w oddzielnych edycjach.

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Wiesław Adamczyk, *Kiedy Bóg odwrócił wzrok*, Tłumaczenie Ewa Ledóchowicz, Poznań 2010, s. 350**

Mimo, że od upadku systemu komunistycznego w Europie wschodniej minęło już przeszło dwadzieścia lat, to nasza wiedza o wielu wydarzeniach w krajach rządzonych przez komunistów wciąż nie jest pełna. Przykładem tego jest sprawa deportacji obywateli polskich z Kresów Wschodnich II RP. Do 1989 r. wspomnienia deportowanych ukazywały się tylko i wyłącznie na emigracji bądź też w wydawnictwach drugiego obiegu, docierających do stosunkowo wąskiego kręgu odbiorców. Pamięć o tych wydarzeniach starały się kontynuować osoby, które przeżyły wywózki oraz ich rodziny. Dopiero po 1989 r. na rynku księgarskim pojawiły się liczne wspomnienia opisujące zesłańczy los. Były to jednak w większości relacje osób dorosłych, cywilów i wojskowych. Dlatego też należy wyrazić wdzięczność poznańskiemu wydawnictwu Rebis, że zdecydowało się opublikować wspomnienia Wiesława Adamczyka.

Ojciec autora tej opowieści, kapitan WP Jan Adamczyk, za udział w wojnie 1920 r. otrzymał majątek w Sarnach, tuż przy granicy polsko-sowieckiej. Autor, urodzony w 1933 r., mieszkał tam wraz z ojcem, matką Anną, bratem Jerzym oraz siostrą Zofią do 1938 r. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny rodzina przeniosła się do Łucka, gdzie Jan rozpoczął pracę w Państwowym Banku Rolnym. Niestety, sielskie lata dzieciństwa szybko dobiegły końca. Wybuch II Wojny Światowej oznaczał całkowitą zmianę sytuacji. Ojciec, jak wielu innych zgłosił się do wojska. Jednak jak pisze najgorsze miało dopiero nadejść. 17 września 1939 r. na Kresy wkroczyła Armia Czerwona niosąc śmierć i zniszczenia. Szczególnie zagrożone były rodziny urzędników państwowych, żołnierzy WP oraz wszyscy ci, którzy mogli stanowić zagrożenie dla nowego sowieckiego porządku.

Już na początku 1940 r., jak pisze zaczęły krążyć pogłoski o przygotowywanych deportacjach ludności polskiej. Dlatego też matka, wraz z rodzeństwem autora przygotowała zapasy jedzenia i inne najpotrzebniejsze rzeczy. Niestety, pogłoski o tym okazały się prawdziwe. 14 maja 1940 r. do domu wdarli się enkawudziści, którzy dali tylko godzinę czasu na spakowanie, po czym wywieźli całą rodzinę do więzienia w Równem. Trzeba dodać, że mały Wiesław nie do końca był w stanie zrozumieć całą sytuację. Jego zachowanie mogło się skończyć dla całej rodziny tragicznie.

Po kilku tygodniach wraz z innymi zostali wsadzeni do pociągu i wywiezieni w głąb ZSRR. Warunki podróży były bardzo ciężkie, wiele małych dzieci, osób starszych i chorych niestety nie przeżyło. Po blisko trzech tygodniach podróży zostali wysadzeni na kazachskim stepie i przewiezieni do małego biednego kołchozu Szarmamulzak. Autor, pisze, że byli przerażeni perspektywą zamieszkania w jednej chacie z kazachską rodziną. Dopiero później przekonał się, że byli

to prości ludzie, którzy podobnie jak oni nienawidzili Sowietów, którzy okupowali ich kraj. Matka, brat i siostra musieli ciężko pracować aby utrzymać rodzinę.

Dla autora pobyt na zesłaniu był ogromnym szokiem kulturowym. Kilku-letni chłopiec wychowany w atmosferze polskiego patriotyzmu nie mógł się pogodzić z fałszem, obłudą i zakłamaniem panującym powszechnie w kraju rad. Do tego dochodziło panujące powszechnie pijaństwo oraz brak poszanowania elementarnych zasad kulturalnego zachowania. Jak wspomina wielokrotnie był nąpominany przez matkę i rodzeństwo, aby pod żadnym pozorem nie opowiadał miejscowym na temat rodziny i życia w Polsce. Gdyby dowiedziało się o tym NKWD los rodziny byłby przesądzony. Co ciekawe, w tym „piekle na ziemi” znalazło się dwoje sprawiedliwych. To małżeństwo Pietrowiczów, którzy w miarę swoich skromnych możliwości starali się pomagać rodzinie Adamczyków.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej spowodował zmianę sytuacji. Armia sowiecka, ponosząc ogromne straty, cofała się na wszystkich frontach pod ciosami jeszcze niedawnego sprzymierzeńca. Sowietci na gwałt szukali uzupełnień. Próbowali m.in. zmusić brata autora Jerzego by wstąpił do wojska. Dopiero gdy ten się nie zgodził powiedzieli mu o amnestii i formowaniu się armii polskiej. Brat, jak pisze dalej, wyjechał wkrótce do polskiej armii. Po wyjeździe brata matka podjęła starania mające na celu opuszczenie miejsca zesłania. Niestety, bezskutecznie. Wobec pogarszania się warunków życia, zdecydowali się na nielegalne opuszczenie miejsca dotychczasowego pobytu. Po dramatycznej, trwającej wiele tygodni podróży udało się dotrzeć do Krasnowodzka, gdzie mieściła się baza ewakuacyjna tak wojska jak i ludności cywilnej. Tam nastąpiło spotkanie z Jurkiem, który przybył tam wraz ze swoją jednostką. Niestety, jak pisze autor, nadal nie było wiadomości o ojcu. W sierpniu 1942 r. autor wraz z najbliższymi opuścił wreszcie nieludzką ziemię. Niestety, rodzina ponownie została rozdzielona. Autor i matka znaleźli się w szpitalu w Pahlevi. Po wyzdrowieniu Wiesław został przewieziony do obozu dla cywilnych uchodźców w Teheranie, gdzie przebywała już jego siostra Zofia. Niestety, o losie ojca i matki nie było żadnych wiadomości. Najstraszniejszym dniem pobytu w Persji był jak pisze 18 października. Kiedy to wraz z siostrą otrzymał wiadomość o śmierci matki. Oboje pozostali sami na obcej ziemi. Brat Jerzy był w wojsku, a o ojcu nadal nie było żadnych wiadomości. Kiedy w kwietniu 1943 r. radio berlińskie podało wiadomość o odkryciu grobów katyńskich, stało się jasne, że również ojciec nie przeżył wojny.

Po śmierci rodziców oboje z siostrą mieszkali w wraz z innymi sierotami w specjalnym obozie, gdzie nie tylko kontynuowali naukę, ale także starali się zapomnieć o przeżytym koszmarze. Tam odnalazła ich porucznik Janina Siepak, córka starszej siostry ojca. Wraz z siostrą do 1948 roku przebywali w polskich obozach dla uchodźców na Bliskim Wschodzie. W tym też roku wyjechali do Anglii, gdzie przebywał już starszy brat Jeży. W listopadzie 1949 r. autor opuścił Wielką Brytanię. Zgodnie z obietnicą daną przez Janinę Siepak, zaopiekowała się nim rodzina starszej siostry ojca. Czekala go jeszcze podróż przez Atlantyk. Jednak pierwszy raz od dziesięciu lat miał mieć normalny dom. Po pewnym czasie do USA przybyła także siostra i brat ze swoimi rodzinami. Po kilku dniach pobytu, jak pisze, ciotka poruszyła problem nauki. Po rodzinnej naradzie zdecydowano się oddać autora do liceum św. Bonawentury w sąsiednim stanie Wisconsin. Książkę zamyka opis podróży jaką wraz z innymi rodzinami

pomordowanych oficerów odbył do Charkowa w 1998 r., aby oddać hołd spoczywającym tam oficerom.

Pierwsze wydanie tych wspomnień ukazało się w języku angielskim pt. *When God Looked the Other Way*, w Chicago (2004). Autor na przykładzie losów swojej rodziny chciał pokazać zachodniemu czytelnikowi prawdziwe oblicze komunizmu. Dobrze więc się stało, że ta niezwykła książka trafiła wreszcie do rąk polskiego czytelnika. Wydawca uzupełnił tekst licznymi fotografiami oraz poprzedził przedmową profesora Normana Daviesa. Myślę, że każdy, zainteresowany najnowszą historią z wielkim zainteresowaniem sięgnie po te interesujące wspomnienia..

Tomasz Dudek

- „My, Sybiracy”, nr 21/2010, s. 292.

„My, Sybiracy”, to już 21 tom rocznika wydawanego przez Związek Sybiraków Oddział w Łodzi. Redaktorem naczelnym od powstania tego rocznika jest Jerzy Rossowski, długoletni działacz Związku. Numer rocznika otwiera list gratulacyjny z okazji uhonorowania redakcji Medalem „Pro Memoria”. Zespół redakcyjny tworzą A. Głowacki – konsultant naukowy, F. Oberman – sekretarz redakcji, R. Michalczyk odpowiedzialny za kolportaż, M. Worotyńska – weryfikator, M. Wutka – kolportaż, magazynowanie, M. Makatun – obsługa fotograficzna. Tom liczy 292 strony i tradycyjnie już wydany został bardzo starannie. Omawiany rocznik zawiera ciekawe artykuły o dużej wartości historycznej, m.in.: W. Marciniak (UŁ) – *Procedura zmiany obywatelstwa polskich zesłańców w głębi Związku Radzieckiego w 1945 r.*; E. Maresch (Londyn) – *Smoleńska Ziemia*, – artykuł poświęcony katastrofie, J. Drozd, A. Dembowska (Sankt Petersburg) – *Udział konsulatu RP w upamiętnieniu zesłańców w miejscach ich deportacji obwodu archangielskiego*.

Dział „Informacje” zawiera prace: K. Wójcickiej – *Śladami mołdawskiej Polonii*; W. Jaconia i J. Rossowskiego – *Księga pamiątkowa zmarłych z ZSRR w latach 1940-1956 zesłańców, więźniów i łagierników (wykaz osiemnasty) oraz Wybrane nowości książkowe w bibliotece w sybiraka*, E. Maresch (Londyn) – *Katyń 1940 – synteza książki*; J. Rossowskiego – *Kapelan łódzkich sybiraków ks. kan. K. Gawroński i Wspomnienie o śp. Feliksie Milenie*; S. Jurkina – *„Janusz Rusiniak – sybirak, kadet, prawnik*, B. Michalika – *Żal i pamięć*, kończy zaś je *Wspomnienie Misi*, autorstwa M. Worotyńskiej.

W części rocznika noszącej nazwę aktualności „Aktualności” J. Rossowski zamieścił *Wspomnienie o śp. Edwardzie Duchnowskim – sekretarzu generalnym Związku Sybiraków*, natomiast T. Patrzyczna, opublikowała sprawozdanie z kolejnego Zjazdu Sybiraków zatytułowane *Reminescencje z VI Krajowego Zjazdu Delegatów Związku Sybiraków*. Polecamy też czytelnikom artykuły J. Stankiewicza pt. *Nowy polski znak pamięci na Ziemi Archangielskiej*, J. Hucicki, *Polskie mogiły w środku tajgi*, Z. Gutowskiej pt. *XXI Światowa Pielgrzymka Sybiraków na Jasną Górę* oraz *X Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru. Biały-stok 9-10 września 2010 r.*; K. Mateuszuk, *XII Ogólnopolski Zjazd Klubu Pawłodarczyków*, M. Wiśnickiego, *Dni Pamięci Brygady Syberyjskiej w Chorze-*

lach” i R. Michalczyka, *XI Krajowy Zjazd Sierot Polskich wychowanków syberyjskich Domów Dziecka*.

Na kolejny rozdział pod nazwą „Z działalności Oddziałów Związku Sybiraków” składają się bogate materiały zawierające wielość informacji o tym co dzieje się w Oddziałach i Kołach terenowych naszego Związku. Tu chciałbym podkreślić wartość dokumentacyjną tych informacji dla przyszłych badaczy dziejów naszej związkowej działalności.

Tom kończy rozdział „Relacje sybiraków”, który zawiera jedenaście wspomnień. Na VI stronie okładki jest fotografia Pomnika Chwały Żołnierzy Brygada Syberyjskiej w Chorzelu. Rocznik ukazał się dzięki Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Drukarni Wydawnictw Naukowych Sp. z o.o. w Łodzi, licznym darom Sybiraków oraz sympatyków naszych tradycji niepodległościowych z kraju i zagranicy.

Wiesław Krawczyński

Marek A. Koprowski, *Podolskie klejnoty, Biały Dunajec-Ostróg 2010, s. 294, ilustracji 145.*

Książka stanowi kolejne wyznania autora z jego reporterskich podróży na Wschód i od razu trzeba dodać, że poczynając od roku 2000 objęły one obszary od Grodna aż po Władywostok. Twórczość tego obywatela jest przedmiotem żywego zainteresowania, bo przyznać trzeba, że pouczająca to lektura, bogata faktograficznie i dynamiczna w pisarskiej narracji. Ukazuje ona wielość problemów oraz splot różnych sytuacji związanych z dziejami Polaków na tych obszarach, ich trudny los z którym wiązały się często syberyjskie zsyłki, okrucieństwa wojny, powojenne prześladowania i współczesne odradzanie się Kościoła katolickiego. Sprawy te powiązane są z ilością wielorakich spostrzeżeń naszkicowanych z charakterystycznym dla pisarstwa M. A. Koprowskiego bogactwem faktografii czerpanej z przeżyć ludzi spotykanych na reporterskich szlakach. Tworzy to swoisty rodzaj pomostu między „dawnymi, a nowymi laty” i zbliża je czytelnikom, wprowadzając ich w teraźniejszość charakterystyczną dla spraw miejsca, czasu i ludzi.

Taki też nosi charakter najnowsza reporterska opowieść M. A. Koprowskiego traktująca o Zachodnim Podolu prowadząca nas przez Krzemieniec, Wiśniowiec, Zbaraż, Tarnopol, Zborów, Brzeżany, Podhajce, Trembowłę, Buczacz, Jazłowiec, Czortków, Husiatyn, Zaleszczyki, Dźwiniaczkę i Zborów. Wymienione miejscowości dość wyraźnie określają szlak ostatniej reporterskiej podróży autora i z całą pewnością zainteresują one czytelników „Zesłańca”, pochodzących także z tych dawnych polskich Kresów Wschodnich. A ponadto wielu z nich odnajdzie zapewne wydarzenia związane z własnym losem splatającym się z syberyjskim zesłaniem z tych terenów, bo wszakże stamtąd deportowano wiele tysięcy naszych rodaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony tej „niehumanitarnej ziemi”. Zapewniam książkę warto przeczytać a autorowi gratuluję kolejnej żywej opowieści stanowiącej zapis reporterskich zmagania z faktograficzną materią.

Bronisław Przesmycki

- **Zofia Wężyk-Machowska, *Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska*, Warszawa 2010, s. 262.**

Książka o której tu mowa, powstała z potrzeby serca. Zofia Wężyk-Machowska napisała: „Jakże trudno jest się pogodzić ze zjawiskiem przemijania...” Jej „ucieczka w przeszłość” wywołała z cienia tych, którzy odeszli i pozwoliła wypełnić pustkę jesieni życia. W spisywanej po śmierci męża *Retrospekcji...* autorka powracała myślą do swoich bliskich, ważnych wydarzeń, utrwalając tym samym pamięć o minionym świecie. W jej rodzinie znalazło się wielu wartościowych i niebanalnych ludzi. Były to osoby obdarzone silnymi osobowościami, pasjonaci, społecznicy, obrońcy ojczyzny. Niektórych z nich mieszkańcy Warszawy mogli poznać jeszcze przed ukazaniem się książki.

Przypomnę, że w 1993 roku zorganizowano w Muzeum Niepodległości wystawę „Polacy w Gruzji”. Zaprezentowano na niej między innymi fotografie krewnych autorki z rodziny Godlewskich. Honorowe miejsce zajmowało zdjęcie babci, Gruzinki Zofii Amiraszwili, żony Antoniego Godlewskiego z Warszawy, który przyjechał do Tyflisu, by założyć filię Fabryki WYROBÓW PLATEROWANYCH FRAGETA. Poświęcony tej rodzinie fragment ekspozycji zamykały fotografie przedstawicieli młodszego pokolenia, urodzonych już w Polsce. Byli to zmarli tragiczną śmiercią – uczestnik Powstania Warszawskiego Antoni Godlewski, znany pod pseudonimem „Antka-Rozpylacza” i rodzony brat autorki – dziesięcioletni Bogusław Wężyk, uczeń Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, zamordowany przez NKWD w 1941 roku.

Zdjęcie babci i wujka, majora Mieczysława Godlewskiego pokazano także na wystawie w Muzeum Woli, którą udostępniono publiczności w tym samym roku. Nosila ona tytuł „Warszawa egzotyczna – Gruzini”. Natomiast fotografia Bogusława Wężyka oraz pamiętki jego narzeczonej Joanny Stankiewicz, więzionej w mińskim więzieniu, eksponowane są na stałej wystawie „Sybiryacy 1940-1956” w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Warto jeszcze dodać, że Zofia Machowska napisała kilka artykułów wspomnieniowych o rodzinie, w tym ciekawe opracowanie *Bracia Godlewscy*, zamieszczone w IV zeszycie „Pro Georgii” (1994).

Wracając do omawianej książki. Wielowątkowa *Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska*, wykracza poza ramy nakreślone w tytule. Autorka przytoczyła w niej barwne opowieści swojej matki o latach spędzonych w Tyflisie, szeroko opisywała koligacje rodzinne i grono bliskich znajomych. Ważnym wątkiem są w tej książce sowieckie represje, jakie dotknęły jej bliskich. Pisała, że w rodzinie Wężyków pierwszą ofiarą reżimu był brat Bogusław. Później aresztowano ojca i osadzono go w więzieniu. Natomiast wujek, kapitan Władysław Godlewski, trafił pod koniec września 1939 roku do niewoli sowieckiej i został wywieziony do obozu w Starobielsku, z którego już nie powrócił.

Kluczowym tematem są wspomnienia autorki z zesłania. Wydarzenia sprzed kilkadziesiąt lat odtworzyła na podstawie notatek, które sporządziła jako dwunastoletnia dziewczynka. W czerwcu 1941 roku wywieziono ją z mamą do kołchozu „Testament Iljicza” [Lenina], znajdującego się we wsi Ammała, w rejonie aczyńskim Krasnojarskiego Kraju. W swoim dzienniku podróży napisała: „Nie mamy złudzeń, to naprawdę koniec naszego życia, takiego jakim było dotąd i już nie będzie. Nigdy.” I okazało się to prawdą. Początkowo za-

mieszkały w nędznej, zapluskwionej chacie, którą musiały dzielić z dwiema polskimi zesłankami. Wkrótce po przybyciu dowiedziały się, jaki czeka je los. Komendant powiedział krótko: „Przywieziono was tutaj, żebyście nam pomagały. Teraz brakuje rąk do pracy, mężczyźni na froncie. [...] Od jutra do roboty.” Zapłata był mały bochenek chleba.

Mama autorki wiodła w Baranowiczach spokojne życie u boku męża, poważanego lekarza. Nie musiała ciężko pracować, a jej radością było pielęgnowanie wyczarowanego przez nią ogrodu. Dlatego na zesłaniu upłynęło sporo czasu, zanim przystosowała się do trudnych warunków bytowych. Często chorowała, przez co początkowo jedynie córka zdobywała środki na utrzymanie, pracując z innymi dziećmi na kołchozowym polu. Później obie zajmowały się rąbaniem drewnianych klocków i przygotowywały magazyny do zwózki płonów. W miarę osvajania się z tamtejszymi realiami, coraz lepiej radziły sobie z trudnościami, co zostało szczegółowo opisane w *Retrospekcji*. Trzeba przy tym podkreślić, że w swojej głęboko refleksyjnej opowieści, autorka nie koncentrowała się na wyliczaniu osobistych krzywd czy traumatycznych zesłańczych doświadczeń, dostrzegając też ciężkie położenie miejscowej ludności i przejawy życzliwości z jej strony.

W lutym 1946 roku Jadwiga Wężyk wróciła z córką do Polski. Dopiero wtedy mogły naocznie przekonać się o rozmiarach wojennych zniszczeń. Według relacji autorki: „Niemal każdy dworzec kolejowy jest zburzony, naokoło ruiny i zgliszcza. Wyludnione, opustoszałe wsie, miasta zburzone. [...] Mimo woli nasuwa się refleksja, że na Syberii byliśmy jednak oddaleni od terenów działań wojennych, nie było nalotów, bombardowań, rozstrzeliwań, pożarów. Niebezpieczeństwa [...] nie groziły nagłą śmiercią, najwyżej powolnym konaniem.”

Szczególnie tragiczna dla losów rodziny okazała się niemiecka okupacja. Wujek autorki, Mieczysław Godlewski, był jedną ze 115 ofiar, rozstrzelanych przez gestapo w Kumowej Dolinie pod Chełmem w dniach 3 i 4 lipca 1940 roku. W czasie Powstania Warszawskiego poniosła tragiczną śmierć babcia Zofia Godlewska. Zginęła w płomieniach we własnym domu, gdyż kamienicę, w której mieszkała, spalili Niemcy. Jej syn, Franciszek był kilkakrotnie więziony na „Pawiaku”, a wojenne przeżycia zrujnowały mu zdrowie. W powstaniu stracił dwóch braci i syna Antka z batalionu „Sokół”, który poległ w wieku 21 lat i, jako bohater, został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Przyrodni brat Antka, Zbigniew Wężyk ze zgrupowania „Żywiciel” zaginął bez wieści.

Zofia Machowska napisała: „Spoglądając na grupową fotografię sprzed 1939 roku, znajdziemy na niej tylko nielicznych, którzy przeżyli II wojnę światową”. Szczęśliwym zrzędzeniem losu, śmierci uniknął jej ojciec. Po wyzwoleniu osiedlił się w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie dotarły do niego żona z córką i nareszcie, po kilkuletniej rozłące, zamieszkali razem. Proces adaptacyjny rodziny do nowej rzeczywistości przebiegał w miarę pomyślnie. Andrzej Wężyk pracował w szpitalu i w prywatnym gabinecie, jego żona Jadwiga „odbudowała życie domowe od podstaw”, córka Zofia ukończyła studia i została radcą prawnym. W 1951 roku wyszła za mąż, później urodziła dzieci, doczekała się wnuków.

Tyle w skrócie o treści książki. Warto dodać, że niezwykle istotna jest w niej także sama forma przekazu. Autorka posiada szczególną umiejętność szkicowania wyrazistych portretów bohaterów swojej opowieści oraz barwnego,

niemal malarskiego, opisywania otoczenia i realiów życia. Kolejnym wyróżnikiem książki jest tok relacjonowania zdarzeń. Narracja posiada tu swoistą konstrukcję, ponieważ wątki przeplatają się ze sobą. Pewne sytuacje, których obserwatorką czy uczestniczką była autorka, budziły jej skojarzenia z wcześniejszymi zaszłościami, a te stawały się kanwą następnej opowieści. Śpiew idącej ulicą dziewczyny nasuwał wspomnienie o muzycznych zainteresowaniach rodziny w Baranowiczach. Uboga i smutna Wigilia w Ammale przywoływała obraz wspańniętych świąt we własnym domu. W opis realiów zesłańczego życia została też włączona opowieść o Kaukazie, z tej przyczyny, że w długie wieczory, gdy dla oszczędności trzeba było gasić lampę, mama lubiła wspominać dawne czasy. Odstępując od reguły chronologicznego zapisu wydarzeń, autorka sugestywnie ukazywała dysonans między przeszłą i obecną rzeczywistością.

Ważnym uzupełnieniem pamiętnikarskiej relacji jest bogaty materiał ilustracyjny, pochodzący z rodzinnego archiwum, a także indeksy osobowy i geograficzny. W konkluzji chce podkreślić, że po książkę warto sięgnąć co najmniej z kilku względów. Zawiera ona bowiem wiele ważnych treści, podaje udokumentowane fakty i jest dobrze napisana. Traumatyczne doświadczenia rodziny nie pozabawiły autorki obiektywizmu, przez co jej wspomnienia są cennym zapisem losów Polaków, uwikłanych w zaborczą politykę sąsiednich państw. Niosą też przesłanie, że „zawsze i wszędzie warto być przyzwoitym człowiekiem”.

Anna Milewska-Młynik

- **Helena Morawska-Stec, *Wacław Zaleski (1868-1913). Wspomnienia rodzinne*, Poznań 2010, s. 206.**

Helena Morawska-Stec dedykuje swoją książkę dzieciom: Aleksandrowi, Krzysztofowi i Marii Barbarze. Chce, by zapamiętali. „Gdy siedzę w moim małym mieszkaniu w Warszawie i patrzę na uratowane dawne rodzinne obrazy, zastanawiam się, cóż mi właściwie zostało po Luboni i po Lwowie? Nic, tylko parę drobiazgów”. To zdanie, wyjęte ze wstępu, znajduje się też na okładce książki. Książka podzielona została na trzy części zatytułowane: *Wacław Zaleski we wspomnieniach bliskich*, *Aneksy historyczne* oraz *Materiały źródłowe*. Część pierwsza zawiera rozdziały zatytułowane: *Między Lwowem a Wiedniem*, *Czasy wiedeńskie*, *Wspomnienia ze Szwajcarii*. Biogramy zamieszczone w części drugiej dotyczą dzieci Wacława i Heleny Zaleskich: Aleksandra, Romana, Marii z Zaleskich Morawskiej, Elżbiety i Teresy. W tekście książki wykorzystano fragmenty listów z archiwum rodzinnego oraz kopie rodzinnych fotografii. Autorka książkę dzieli się wspomnieniami, dołącza je do „drobiazgów, które zostały”.

Wacław Zaleski był austriackim ministrem skarbu, wnukiem Wacława, pierwszego polskiego gubernatora Galicji, synem Filipa, namiestnika autonomicznej Galicji. Został ministrem do spraw Galicji w styczniu 1911 roku, a w listopadzie tego samego roku ministrem skarbu. Pół roku po śmierci Zaleskiego wybuchła pierwsza wojna światowa. W wyniku wojny i narzuconej władzy komunistycznej Zalescy i ich krewni utracili rodzinne majątki. Wspomnienia Heleny Morawskiej-Stec, jak pisze we wstępie historyk Maciej Przybyliński, dotyczą dziadka autorki oraz jego bliskich. Autorka pisze o życiu rodzinnym, zwyczajach domowych, pracy oraz działalności charytatywnej ministra. Według wspomnień

dzieci, Waław Zaleski uchodził za pokornego i skromnego człowieka. Kochał rodzinę i, pomimo licznych zajęć, „śpieszył do domu kiedy to tylko było możliwe, by zdążyć na wieczorne modlitwy”. W opinii jednego ze znajomych duchownych przytoczonej przez autorkę, Waław Zaleski „patriotyzmu swego nie objawiał w słowach, ale w czynach, ratując taktem, rozumem i sercem najtrudniejsze sytuacje, jakie nam groziły katastrofą w centralnym urzędzie”.

Wspomnienia o Waławie Zaleskim połączyła autorka ze wspomnieniami o innych członkach rodziny, między innymi o Waławie, Romanie. Roman urodził się szesnastego marca 1897 roku we Lwowie. W 1914 roku Roman znalazł się z matką i rodzeństwem (Aleksandrem, Marią, Elżbietą i Teresą) w Szwajcarii, najpierw w Lozannie, a potem w Genewie i Fryburgu. Uczył się nie tylko według programu szkoły średniej, ale chodził też do konserwatorium i pobierał w domu lekcje gry na fortepianie. Wraz z siostrą Marią dawali koncerty, z których dochód rodzina przeznaczała na cele charytatywne. Po zdaniu matury zaczął studiować prawo i ekonomię we Fryburgu, jednak nauki nie ukończył, bo został powołany do służby wojskowej i skierowany do jednostki stacjonującej we Lwowie. W 1918 roku poważnie zachorował na groźną odmianę grypy. W czasie choroby opiekowała się nim matka Helena. Mieszkali wówczas przy ulicy Mickiewicza. W noc sylwestrową polska artyleria oddała kilka strzałów z Wysokiego Zamku witając nowy rok. Ukraińcy omyłkowo potraktowali te wystrzały jako atak i odpowiedzieli ostrzałem artyleryjskim miasta. Jeden z pocisków wpadł do pokoju w momencie, gdy Helena podawała synowi lekarstwo. Wybuch pozbawił ją życia, a Roman został ciężko ranny, jednak ocalał. W 1920 roku przebywając latem w Krynicy poznał Krystynę (Titę) Woźniakowską, wnuczkę Henryka Rodakowskiego, polskiego portrecisty. W sierpniu wzięli ślub i zamieszkali przy ulicy Potockiego we Lwowie. W roku 1921 urodziła im się pierwsza córka Helena, półtora roku później Maria. Na początku lat dwudziestych Roman uzyskał tytuł doktora prawa i zaczął pracować w Banku Hipotecznym, a następnie w Związku Górzeln Rolniczych. Zgodnie z wolą zmarłego w 1926 roku Dawida Abramowicza został dziedzicznym kuratorem Fundacji Abramowiczów, która była zakładem wychowawczym dla synów zubożałych ziemian. Do wybuchu drugiej wojny światowej zakład im. Abramowiczów, dzieło Romana, rozwijał się, kurator i jego współpracownicy snuli plany rozbudowy zakładu. W ostatnich latach przed wojną Roman był też kuratorem Zakładu Ociemniałych przy kościele Świętej Zofii we Lwowie. Podczas okupacji sowieckiej Roman walczył o zachowanie zakładu, ale władze zamknęły zakład, a dzieci zostały wywiezione w głąb Rosji.

Według relacji Heleny Morawskiej-Stec, Romanowie Zalescy na wiosnę 1940 roku mieli zamiar przejść granicę w Rawie Ruskiej i dostać się do Krakowa znajdującego się pod okupacją niemiecką, ale tydzień przed planowanym opuszczeniem Lwowa, 10 kwietnia 1940 roku, zostali uprowadzeni z mieszkania przez NKWD i zesłani na Syberię. Po zawarciu 30 lipca 1941 roku umowy między rządem polskim w Londynie a sowietami, wielu zesłańców odzyskało wolność. Udało się też rodzinie Zaleskich. Gdy Roman dotarł z rodziną do Teheranu, dzięki rekomendacji polskiego konsula dostał pracę w angielskiej firmie transportowej. Za uzyskaną z góry zaliczkę małżonkowie opłacić mogli mieszkanie i rozpoczęli w miarę normalne życie. Po niedługim czasie Roman został przeniesiony na stanowisko sekretarza do spraw personalnych i miał angażować

polski personel do prowadzenia pięciu domów pracowniczych w Teheranie. Znalazł pracę dla ponad osiemdziesięciu polskich uchodźców z sowieckich łagrow. Miał też nadzór nad magazynami sprzętu samochodowego, pracował w Komitecie dla Uchodźców. W 1944 roku rodzice wraz z córkami przenieśli się do Bejrutu, gdzie Roman dostał pracę w kancelarii wydziału lekarskiego przy uniwersytecie francuskim. Zorganizował Dom Polski w Libanie, który mieścił restaurację, kawiarnię, bibliotekę, czytelnię, salę zebrań i niewielki hotel. Helena Morawska-Stec cytuje w swojej książce telegram Romana do rodziny z lutego 1942 roku. „Córki zdają maturę, brat u Nilowskich (w Egipcie, przyp. HMS), wszyscy zdrowi, bądźcie o nas spokojni. Uściski, Romanowie”. Po wojnie Romanowie zamieszkali w Londynie. Roman dostał zasiłek rządowy, żona zarabiała korepetycjami z języka francuskiego.

Życie i działalność Waława, losy Romana oraz innych członków rodziny opisane są w tonie serdecznym, rodzinnym. Są to wspomnienia osoby, która jest jednym z ostatnich żyjących świadków zdarzeń, pisze więc tak, jakby snuła opowieść z troską o to, by „nasze dzieci i wnuki potrafiły zrozumieć dziejowy dorobek wielu pokoleń”.

Ryszard Sawicki

- **Andrzej Eligiusz Paszkiewicz, *Zbyt ciekawe dzieciństwo*, Grodzisk Mazowiecki 2010, s. 99, ilustracje.**

Choć wydaje się to nieprawdopodobne – autor tych wspomnień z zesłania wrócił do kraju jako analfabeta. Wywieziony w czasie drugiej wywózki 1940 r. z Wileńszczyzny za Ural nie miał jeszcze sześciu lat. Gdy dzięki różnym okolicznościom wrócił z matką (nazywa ją Matulą – zawsze z dużej litery) i bratem Zbyszkim, był już ponad jedenastoletnim chłopcem. I znów dzięki pomyślnym okolicznościom, ale i zdolnościom ukończył szkołę w Stalowej Woli z wyróżnieniem. W nagrodę został wytypowany na studia w Związku Radzieckim, z czego jednak udało mu się wymówić. Ukończył warszawską Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego. Doktorat uzyskał z zakresu historii techniki i w tej dziedzinie jest dziś liczącym się znawcą problemu.

Przyśpieszony tryb nauki w szkole powszechnej, dobrzy nauczyciele w szkole średniej i na uczelni, ale przede wszystkim odziedziczone po rodzicach nauczycielach cechy charakteru, zdecydowały, że wspomnienia swe, pisane po 2007 r., ujął prosto i oszczędnie. Jako dziecko zapamiętał ojca w mundurze, udającego się na front 1939 r. Ostrzejszy obraz pozostał mu w pamięci po kilku miesiącach, gdy z matką i braćmi Zbigniewem i Mirosławem zostali wyrzuceni z własnego domu w Opsie. Oczywiście w pamięci pozostał dzień wywózki na Syberię do okolic Pietropawłowska. Miał świadomość warunków jazdy w bydłącym wagonie. Ale to, że przekraczając Ural niektórzy z wywiezionych na ścianach skalnych odczytali nazwiska budowniczych kolei – w tym Polaków – to już obraz wzmocniony później opowieścią innych.

Rozdziały wspomnień dotyczące pobytu na Syberii w latach 1940-1944 mają nazwy miejscowości, w których przebywali: Mamlutka, Nowa Dierewnia, Kondratówka, Adyr, Czaksy, Atbasar-Akmolińsk, Jesil, Kazarma koło Kajbagonu, Kuszmurun. To pogranicze rosyjsko-kazachskie. Obrazu życia Kazachów tu niemal nie ma. Mało jest także o Rosjanach. Znacznie więcej o Polakach, zesła-

nych Tatarach krymskich, Niemcach nadwołżańskich, a nawet Czeczenach i Inguszach. Dziecko zapamiętało kolędę śpiewaną przez Polki w okresie Bożego Narodzenia, czystość Tatarów, rozpaczliwy płacz Niemki nad zwłokami zmarłego syna. W pamięci pozostały i inne obrazy: wilków atakujących domostwo, bajki opowiadane przez gospodarzy przed zaśnieciem na legowisku na piecu. Inne wspomnienia wiązały się raczej z przeżyciami matki, którą np. denerwowała arogancka postawa „męża zaufania” ambasady polskiej, jej wędrowni po paczkę do odległej poczty (wtedy z Wileńszczyzny w mące przysyłano jajka!). Miał już pełną świadomość odmowy przez jedną z Polek przyjęcia paszportu radzieckiego. Gdy zabierano ją do łagru, oddali jej bowiem woreczek sucharów.

Wiedza wśród zesłańców o toczącej się wojnie niemiecko-radzieckiej była wręcz śladowa. Matka i starsi synowie pracowali jak inni w kołchozie, a później przy układaniu torów kolejowych. Stąd zmiany miejsc pobytu oraz kontakty z nowymi ludźmi, przesiedlonymi zwłaszcza z terenów przyfrontowych. Chłopiec nie dostrzegł polepszenia warunków w okresie naboru młodzieży do formującej się armii gen. W. Andersa (odjechał wtedy najstarszy brat Mirosław). Wiedział jednak o aresztowaniu „mężów zaufania” rządu polskiego. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest Związek Patriotów Polskich, gdzie nie udało mu się dostać od urzędniczki upragnionych butów.

To, że cierpiąc stale głód zdołali przeżyć zawdzięczali w dużym stopniu matce, nieprawdopodobnie dzielnej kobiecie. Nie miała czasu by uczyć synów, ale przykładem postępowania wpoila im podstawowe zasady kultury. Jakże zmienny jest obrazek pobytu autora na cmentarzu, gdy zobaczył na grobach prawosławnych położone kolorowe jajka. Namawiano go by je zjadł. Odmówił.

Dzięki staraniom matki, a bardziej pewnemu zbiegowi okoliczności, udało się im – legalnie – dostać do transportu wiozącego niektórych zesłańców na zachód. Dotarli do miasta Smieła, już na prawobrzeżnej Ukrainie, gdzie podjęli pracę przy odbudowie zniszczonych przez Niemców zabudowań cukrowni. Najwyraźniej zapamiętany obraz zaraz po przyjeździe to przypadkowe spotkanie z miejscową mieszkanką, która poczęstowała 11-letniego chłopca barszczem ukraińskim z mięsem. Epizody dotyczące jedzenia są stałym elementem treści wspomnień wszystkich zesłańców. Tu pojawia się jeszcze jeden, z mszy w Rembertowie w 1945 r., gdy ksiądz komunikował wiernych. Chłopiec był przekonany, że skoro dają coś do jedzenia to trzeba brać.

Ze Smielej matka zdecydowała, że nielegalnie udadzą się do Lwowa, by przez tamtejszy oddział Związku Patriotów Polskich dostać skierowanie na powrót do Polski. Udało się, choć nie bez przygód. Za radą urzędniczki – nielegalowie, jak ich nazywano – wykorzystali wspomnienia rodzinne matki z pracy przymusowej w Niemczech w czasie I wojny światowej. Przesłuchującym matkę NKWD-zistom udało się wmówić, że wrócili z Niemiec do Lwowa w poszukiwaniu rodziny. Uwierzyli, przystawiając pieczęcie na stosownym dokumencie. Przez Przemyśl dotarli do Krakowa. Rodzinę odnaleźli w Stalowej Woli. O ojcu po latach dowiedzieli się, iż ze swoim oddziałem został internowany na Litwie. Później, gdy Litwę zajęli sowieci, jako oficer zesłany został do łagru i w czasie transportu został rozstrzelany.

Typowe losy rodziny kresowej z lat II wojny światowej. Tyle, że starszy brat autora – Mirek – przeszedł szlak bojowy na Zachodzie. Później osiadł w Australii.¹ Przez to autor nie mógł studiować na wybranym kierunku Politechni-

¹ Mirosław Paszkiewicz z Australii finansowo wspierał „Zesłańca”.

ki Łódzkiej. Pozwolono mu jednak na naukę w warszawskiej szkole gospodarstwa wiejskiego. Takie to były czasy.

Tytuł wspomnień *Zbyt ciekawe dzieciństwo* oddaje wiernie losy chłopca na zesłaniu i później. Poza walorami literackimi, co oczywiste, jest to także dokument historyczny i socjologiczny. Literackość swą zawdzięcza nie tylko przywoływanym obrazom doli zesłańczej w zgoła niecodziennych warunkach, ale również zaletom narracji. Walory historyczne to setki zapisanych zdarzeń, choćby o Tatarach, ale także i tych Rosjanach, którzy okazywali pokrzywdzonym wiele serca. Socjologów zainteresuje sposób reagowania chłopca na warunki w jakich się znalazł, ale i to jak o tym pisał już w zaawansowanym wieku. Z tego względu z pewnością w polskiej literaturze zsyłkowej (jak to nazywał Adam Mickiewicz) jest to opracowanie o ważnym znaczeniu poznawczym.

Zbigniew J. Wójcik

Krzysztof Gilewicz, *Polska wieś Wierszyna w syberyjskiej tajdze*, Lublin 2010, s. 124.

Wśród zatłoczonego różnymi publikacjami rynku księgarskiego natrafiłem na interesującą opowieść o syberyjskiej wsi Wierszyna opodal Irkucka, zamieszkiwanej przez naszych rodaków. Tak niewiele jest w powojennym dorobku wydawniczym publikacji na ten temat, chociaż przyznać należy, że często-kroć dziennikarze z czasów PRL – W. Giełżyński, D. Sidorski, Z. Suchar i inni, podróżujący po syberyjskich obszarach ZSRR wspominali o tym, że na szlaku swych reporterskich wojaży napotykali osady, w których mieszkali nasi rodacy. Trzeba jednak tu dodać, że autorzy tych reportażowych książek mieli cenzorską opiekę, można rzec niełatwe życie twórcze i bolesną świadomość, że nie o wszystkim co widzieli na Syberii mogli pisać. Dlatego też tylko lakonicznie wspominali o tej polskości trwającej za Uralem ujmując to w formę potoczystej narracji i luźno powiązanych ze sobą faktów.

Wolna od tych ograniczeń jest współczesna działalność edytorska wprowadzająca do czytelniczego obiegu książki powiązane z dawną i dzisiejszą polsnością za Uralem. Do takich właśnie należy książka K. Gilewicza, który we wstępie napisał „O Wierszynie wiedzieliśmy od dawna. Nazwa tej małej miejscowości przewijała się w rozmowach z goszczącymi w Polsce „Sybirakami”, ba, zanim do Wierszyny pojechaliśmy, oni odwiedzili nas. Bo to w Lublinie corocznie organizowane są przez Urząd Miasta i stowarzyszenie „Wspólne Korzenie” pielgrzymki Sybiraków, do ziemi ojców, tak naprawdę dzięki inicjatywie i poświęceniu znanej w środowisku lubelskim postaci Zbigniewa Wojciechowskiego oraz pana Józefa Husarza, pracownika UM.”

Książka to interesująca i zachęcam do jej przeczytania. Tutaj tylko dopowiem, że dawna gubernia lubelska dała syberyjskiej ziemi też swoich mieszkańców, np. z okolic Chełma i Hrubieszowa, którzy dobrowolnie pod koniec XIX i na początku XX w. udawali się za Ural bo tam otrzymywali nadziały ziemi i wpisali się w rozwój rolnictwa tej odległej od nas krainy. Ale to już temat do innej opowieści.

Bronisław Przesmycki

- **Dariusz Radziwiłłowicz, *Polskie formacje zbrojne we wschodniej Rosji oraz na Syberii i Dalekim Wschodzie 1918-1920*, Olsztyn 2009, s. 572 + ilustracje.**

Podjęta przez Dariusza Radziwiłłowicza problematyka jest mało znana, a nawet marginalizowana w polskiej historiografii wojskowości. 5. Dywizja Strzelców Polskich jest jedną z najliczniejszych i zarazem najbardziej ze wszystkich polskich formacji zbrojnych zaprawioną w walkach. Jej dowódcą był płk Kazimierz Rumsza. Dywizja liczyła 770 oficerów i przeszło 11 000 żołnierzy. Największą bitwę z regularnymi oddziałami sowieckiej 5. Armii dywizja stoczyła 23 grudnia 1919 r. na stacji Tajga. Wyczerpanie fizyczne i moralne, mrozy syberyjskie, epidemia tyfusu, a przede wszystkim zablokowanie stacji kolejowej pod Klukwiennaja przez Korpus Czechosłowacki zachwiało wiarę w sens dalszego przebijania się na wschód. 10 stycznia 1920 r. dowództwo polskie wbrew opinii części oficerów zdecydowało o kapitulacji oddziałów polskich. Część oficerów i żołnierzy, która nie pogodziła się z kapitulacją, przebiła się do Harbinu. Z ocalałych żołnierzy sformowano tu batalion.

Dzięki staraniom Polskiej Misji Wojskowej zorganizowano powrót batalionu do kraju na wynajętym statku „Yaroslavl”. Po blisko trzech miesiącach podróży 1 sierpnia 1920 r. statek przybył do Gdańska. Do Polski dotarło 120 oficerów i około 800 szeregowych. Oddział został skierowany do grupy pod Grudziądzem, gdzie na jego bazie sformowano Brygadę Syberyjską. W końcu lipca brygada liczyła 5000 żołnierzy i na początku sierpnia weszła w skład 5 Armii, broniącej Warszawy. Od tej chwili Brygada Syberyjska brała udział we wszystkich walkach wojny 1920 r. aż do zawarcia pokoju. Praca Dariusza Radziwiłłowicza, napisana z niemal benedyktyńską pieczołowitością, ma charakter poznawczy i jest cennym uzupełnieniem wiedzy na temat polskich formacji wojskowych walczących na frontach I wojny światowej. Autor przygotował ją po wnikliwych kwerendach w archiwach krajowych i zagranicznych, dotarł do wielu opracowań nawet o przyczynkarskim charakterze. W pracy zamieszczono siedem map ilustrujących przebieg walk. Tom zamyka obszerny aneks z wybranymi dokumentami oraz fotografie.

*Z noty redakcyjnej Wydawnictwa
Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego
w Olsztynie*

Od redakcji:

Książka znalazła się wśród 10 nominowanych do nagrody „Książka Historyczna Roku – 2009”. O 5. Dywizji Strzelców Polskich pisaliśmy już na łamach „Zesłańca”, a listy napływające do redakcji przekonały nas, że dzieje tej syberyjskiej dywizji wzbudziły szerokie zainteresowanie naszych Czytelników. Książkę D. Radziwiłłowicza można nabyć w Wydawnictwie Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego w Olsztynie: www.uwm.edu.pl/wydawnictwo/

Dział Dystrybucji: tel. (89) 523 49 05; fax (89) 523 34 38 e-mail: wydawca@uwm.edu.pl

Konkurs o wypędzonych Polakach w czasie II wojny światowej

Niepubliczne Centrum Edukacji „Kubajak” jest inicjatorem i organizatorem konferencji dla nauczycieli i konkursu dla uczniów gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych pt.:

„Wypędzenia, wywózki, martyrologia i osiągnięcia Polaków lata 1936-1956”

Konkurs jest organizowany wspólnie z Regionalnym Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli (Wojewódzki Ośrodek Metodyczny) w Katowicach i uzyskał patronat Śląskiego Kuratora Oświaty w Katowicach oraz Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach. Dużą pomoc otrzymujemy też od Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Bytomiu i audycji radiowej „Lwowska Fala” na antenie Radia Katowice, szczególnie w zakresie propagowania konkursu.

Ideą przewodnią konferencji dla nauczycieli i konkursu dla uczniów jest przekazanie wiedzy na temat wypędzeń mieszkańców województwa śląskiego w czasie II wojny światowej. Byli to **mieszkańcy Żywiecczyzny**, którzy zostali wypędzeni przez okupacyjne władze niemieckie Trzeciej Rzeszy ze swoich domów i gospodarstw (co połączone było z konfiskatą całego ich majątku), głównie do Generalnej Guberni. Wypędzenia te rozpoczęły się od lipca 1940 r.

Drugą grupą ludnościową, którą dotknęły deportacje byli **mieszkańcy ziem wschodniej części Polski międzywojennej**, które na mocy postanowień Paktu Ribbentrop-Mołotow (1939) znalazły się w granicach ZSRR, czyli pod okupacją sowiecką. W latach 1940–1941 liczne rzesze mieszkańców tych ziem były deportowane przez władze radzieckie na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Po wojnie musieli oni wraz z pozostałą polską ludnością z Kresów Wschodnich opuścić swoje rodzinne strony. Część z nich osiedliła się w województwie śląskim.

Górnoślązacy to trzecia grupa, która doznała represji. Górnicy, hutnicy ale również kobiety, już po „wyzwoleniu” czyli wkroczeniu Armii Czerwonej na Śląsk w 1945 r. zostali wywiezieni do Rosji Sowieckiej do pracy w kopalniach i hutach. Zbyt mało ludzi zna

całościową historię wypędzeń, które dotknęły różne grupy Polaków, tym bardziej, że w czasach PRL nawet mówienie na ten temat było niewskazane.

Tematyka konkursu wzbudziła zainteresowanie nauczycieli, którzy dość licznie wzięli udział w konferencji i uczniów, którzy dobrowolnie zgłaszali chęć uczestnictwa w konkursie. W I etapie konkursu, który odbył się w połowie lutego br. wzięło udział około 50 szkół i prawie 400 osób. Ocena wyników I etapu konkursu pokazała, że młodzież biorąca w nim udział dobrze się przygotowała i reprezentowała wysoki poziom wiedzy. Do II etapu, który odbędzie się w połowie marca br. zakwalifikowało się prawie 100 uczniów. Tematyka II etapu jest rozszerzona o lata „wielkiej czystki”, ludobójstwo na Wołyniu, męczeństwo duchownych.

Całość materiałów dla uczniów startujących w konkursie zarówno do I etapu (opracowanych przez IPN Katowice oraz NCE Kubajak), jak i II etapu została zamieszczona w internecie na stronie

www.nce.kubajak.pl

Ułatwiło to wielce pracę uczniów, tym bardziej, że część materiałów mogłaby być dla nich dość trudno dostępna.

Planujemy, by konkurs ten prowadzić w kolejnych latach i ewentualnie rozszerzyć obszarowo, z tym że podtytuł byłby już inny tematycznie i dotyczył innego okresu np. odzyskiwania przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej

Czytelników „Zesłańca” zapraszamy na stronę internetową, gdzie można zapoznać się z materiałami konkursowymi:

NCE Kubajak (www.nce.kubajak.pl)

Wykorzystując materiały i książki Wydawnictwa Kubajak zamieszczamy również prezentacje z licznymi zdjęciami, które nauczyciele mogą wykorzystać na lekcjach w szkole. Pierwsze dwie zamieszczone prezentacje, będące też tematem II etapu konkursu, nawiązują do zbliżającej się beatyfikacji Jana Pawła II i przedstawiają świętych i błogosławionych męczenników II wojny światowej, tj. św. o. Maksymiliana Kolbe i 108 męczenników, których Ojciec Święty Jan Paweł II wyniósł na ołtarze. Ks. T. Kaczmarek, postulator generalny mówił: „Jeśli ludzkość będzie chciała żyć w świecie godnym, będzie musiała wziąć pod uwagę wartości, za które 108 męczenników oddało życie”.

Dr Anna Kubajak

Organizatorzy konkursu dziękują redakcji „Zesłańca” za propagowanie jego idei i założeń merytoryczno-organizacyjnych.